

Jarosław Dobrzański
Zagrabiona historia Solidarności

Polska wieś tonie
w śmieciach

Nędza polskiej nauki
mimo unijnych dotacji

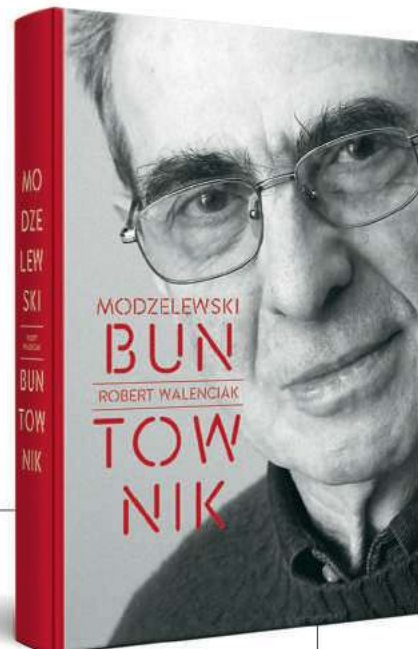
Policja brutalna
jak nigdy

OPERACJA MOST

**POMOGLI TYSIĄCOM ŻYDÓW,
W NAGRODĘ MAJĄ
OBNIŻONE EMERYTURY**

Człowiek, który nigdy nie zdradził ideałów Solidarności

Książka PRZEGLĄDU!



65 zł



Czy można wyobrazić sobie polską politykę bez Karola Modzelewskiego? W roku 1956 był na warszawskim Żeraniu obok Lechosława Goździka. W roku 1964 wraz z Jackiem Kuroniem napisał list do partii, za który został skazany na trzy i pół roku więzienia. W roku 1968 rzucił hasło „Niepodległość bez cenzury!”, które skandowali demonstrujący studenci. W roku 1980 był pomysłodawcą nazwy związku Solidarność, a potem jego rzecznikiem.

W III RP z buntu się nie wyleczył. Konsekwentnie krytykował plan Balcerowicza. „Celem PiS jest władza, której nie odda” – to tytuł jego ostatniego wywiadu dla PRZEGLĄDU.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 65 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka wRUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

CYTATY

ADRIAN ZANDBERG,
lider partii Razem
*PiS jest spenetrowane
przez lobbing. Ta
polityka ma swoich
beneficjentów, którzy na
tym świetnie zarabiają.*
„Polska The Times”

PROF. MONIKA PŁATEK,
prawniczka
*To nie jest dobry kraj
dla starych ludzi.*
„Wysokie Obcasy”

PIOTR PAZIŃSKI, pisarz
*Nadmorskie
miejscowości są – jak to
zwykle we współczesnej
Polsce – bez pomysłu,
bez dbania o przyrodę,
za to z nowobogacką
pazernością.*
„Tygodnik Powszechny”

**JANUSZ
TOMASZEWSKI,** były
wicepremier, minister
spraw wewnętrznych
i administracji
*Służby zawsze ze sobą
konkurowały i nadal
będą – niezależnie
od czasów i ustroju.*
„Angora”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Białoruski ból głowy

Kończy się pewna epoka u naszego sąsiada na wschodzie. Prognozy dla Białorusi są złe, a nawet bardzo złe. Społeczeństwo tego kraju jest już zmęczone paroma dekadami niepodzielnych rządów Aleksandra Łukaszenki. I tak fenomenem jest, że bardzo długo jego rządy popierała większość Białorusinów. Mieli zresztą ku temu realne powody. Przez prawie dekadę gospodarka rosła w tempie 8% rocznie.

A określenie *batka* przez lata nie było przecież epitetem. Opozycję Łukaszenka miał przez lata niemrawą. Bardziej zorientowaną na poparcie Zachodu niż pracę organiczną wśród swoich rodaków. Ale to już przeszłość. Młodsze pokolenia Białorusinów mają wyższe aspiracje, inne wyobrażenia i oczekiwania wobec głowy państwa. Widać, że jeszcze nie do końca wiedzą, czego chcą. Za to dużo lepiej – czego nie chcą. Młodzi, często ideowi i coraz bardziej sfrustrowani Białorusini, już nie odpuszczają. Rządy Łukaszenki w starym, dobrze znanym stylu dobiegają kresu. Co zrobi? Może swoje działania jeszcze bardziej zaostrzyć albo też szukać porozumienia z niezadowolonymi. Jeszcze może. Ma też ku temu duże umiejętności. Bez nich przecież już od dawna nie byłby szefem państwa.

Niestety, Białorusini mają problem większy niż sam Łukaszenka. Utrzymanie statusu państwa niepodległego wymaga od nich ogromnego wysiłku. I wielkiej zręczności politycznej. Nie mają przecież tak silnych kart, by stawiać warunki. A chętni na zdominowanie i podporządkowanie tego kraju są. I wcale tego nie kryją.

Nie bacząc na te uwarunkowania, część polityków europejskich, a polscy w szczególności, popycha Białoruś w stronę, w jaką poszła Ukraina. Rewolucyjnie wzmożeni politycy chcą powtórki kijowskiego Majdanu. Tym razem w Mińsku lub innym miejscu na Białorusi. Taki scenariusz jest dla tego państwa bardzo niebezpieczny. Grozi katastrofą, której wszystkie koszty poniesie naród białoruski.

Obiecywanie białoruskiej opozycji wielkiego wsparcia i pomocy jest oszustwem. W razie wojny domowej będzie powtórka z Ukrainy. Świat nie wyjdzie poza słowa i deklaracje. Polska też. Skończy się na apelach i potępianiu przemocy.

Polska po własnych wyborach prezydenckich, które nie były uczciwe ani równe, a z głosowaniem za granicą też były ogromne problemy, ma bardzo skromny mandat, by uczyć świat demokracji i praworządności.

Zmiany na Białorusi to dłuższy proces. I oby u naszych sąsiadów był pokojowy.

**ELEKTRONICZNE
WYDANIE**

**PRZEGLĄDU
KUPISZ JUŻ**

W  **Publico24**
NEWSSTAND

JEDNAK NAJTANIEJ

W SKLEP 
TYGODNIKA **Przegląd**

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

BAKOWSKI



W NUMERZE

PUBLICYSTYKA I OPINIE

- 8** Klementyna Suchanow
Wychowanie przez przemoc
- 40** Jerzy Czech
Pamięć zwykła i narodowa

KRAJ

- 12** Kto się nadaje na bohatera
Bezsilni wobec nienawiści
- 15** Operacja Most
Ukarani za przerzut 40 tys. Żydów
z ZSRR do Izraela
- 20** Ani spokojna, ani wesoła
Polska wieś tonie w odpadach
- 23** Ciemny horyzont
Unijne dotacje a stan nauki

ZAGRANICA

- 26** Pierwsza pani prezydent
Czy Kamala Harris zmieni politykę USA?
- 28** Pożar w Kraju Cedrów
Libańczycy żądają reform
- 32** Bardzo chore Stany
Porażka z koronawirusem

HISTORIA

- 34** Ludowa historia Solidarności
Zapomniane postulaty
- 36** Realizm polityczny Mikołajczyka
Co zawdzięczamy PSL

KULTURA

- 42** Albo jest się synonimem,
albo anonimem
– rozmowa z Lechem Majewskim
- 46** Culturalia
- 66** Stasys Eidrigevičius. Rozdroża koloru

ZDROWIE

- 47** Biosztuczna nerka?
To niejedyna przyszłość
– rozmowa z prof. Ryszardem Gellertem

SPORT

- 50** Trener może wszystko
Nadużycia w brytyjskiej gimnastyce

OBSERWACJE

- 54** Ostatnie flamenco w Madrycie
Bary nie przetrwały pandemii
- 56** Woda – towarzysz człowieka

PSYCHOLOGIA

- 58** Zakochani w smartfonie
Portale społecznościowe a lęk
przed bliskością

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Białoruski ból głowy
- 11** Roman Kurkiewicz
Policja jest polityczna zawsze
- 31** Tomasz Jastrun
W stronę Białorusi
- 39** Agnieszka Wolny-Hamkała
Nie bój się



KLEMENTYNA SUCHANOW

Wychowanie przez przemoc

50
SPORT



TRENER MOŻE WSZYSTKO

Nadużycia w brytyjskiej gimnastyce



56
OBSERWACJE

WODA – TOWARZYSZ CZŁOWIEKA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. THE JEWISH LENS ZION OZERI



Prof. Andrzej Szahaj
Inny kapitalizm jest możliwy

**Bartosz Józefiak
i Wojciech Górecki**
W Łodzi dzieje się, dzieje

Jacek Wasilewski
Mowa ciała Andrzeja Dudy

f Co zrobić, żeby było mniej śmieci

Po pierwsze, zlikwidować sprowadzanie do Polski na masową skalę odpadów toksycznych i trujących. Uniemożliwić proceder „pożar w składowisku odpadów” (*vide*: dawne zakłady Boruta w Zgierz). Po drugie, wrócić do opa-



kowań szklanych i uruchomić punkty skupu. I po trzecie, najważniejsze: budować spalarnie odpadów. Tym kieruje polityka. „Jak postawię spalarnię, to mnie nie wybiorą – myśli wójt czy prezydent. – Jak nie postawię spalarni, to może jednak wybiorą”. W Łodzi problem śmieciowy to prawdziwy węzeł gordyjski. Pracownik jednego z odbiorców odpadów powiedział mi jasno: „Przecież i tak nie mamy gdzie tego wywozić”. No i na

wszelki wypadek nie zawierają nowych umów na odbiór odpadów. A urząd na to łupie po krzyżu tych bez umów. I kasa jest! W Politechnice Łódzkiej zespół pod kierownictwem prof. Grzegorza Wielgosińskiego zaprojektował wspaniałą spalarnię. I od lat projekt odbija się od ściany. A my mamy tak, jak mamy.

Ewa Gojawczyńska

Trzeba najpierw odpowiedzieć sobie na pytanie, czy zależy nam na braku śmieci, czy na Matce Ziemi. Bo jeśli na tej drugiej, to musimy powrócić do szklanych opakowań. Drugie wyzwanie to zmiana bieguna gospodarczego. Musimy zacząć produkować trwałe przedmioty i sprzęt AGD i RTV. Korporacja po wyczerpaniu zapotrzebowania klienta (bo trwałe, bo już mamy wiele) musi wówczas zmienić branżę. Choćby na podróże (będzie nas stać, bo zaoszczędzimy na trwałym telewizorze). Na razie jednak tego nie zrobimy, ale za 20 lat brak ropy już nas do tego zmusi. Pierwsze we wprowadzaniu oszczędności będą Chiny.

Jerzy Krawiec-Mostowiak

f Tropię kłamstwa Morawieckiego

Do cech charakterystycznych patologicznego kłamcy należy głęboko zakorzeniony egocentryzm. W większości przypadków



można zaobserwować nadmierne samouznanie, bardzo mało sympatii w stosunku do innych i nieliczenie się z cudzymi opiniami. Patologiczni kłamcy często wyobrażają sobie siebie w bohaterskich rolach i te wyobrażenia zajmują centralne miejsce w ich opowieściach.

Stanisław Gąsior

ZDJĘCIE TYGODNIA



Rośnie temperatura sporu o historyczne tablice z postulatami Sierpnia '80. Piotr Duda żąda ich zwrotu i umieszczenia w Sali BHP stoczni, Europejskiemu Centrum Solidarności grozi oskarżeniem o kradzież. ECS wraz z władzami Gdańska odmawia. Przeniesieniu tablic sprzeciwiają się też ich autor Maciej Grzywaczewski i Małgorzata Rybicka, wdowa po współtwórcy Arkadiuszu Rybickim.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy czerwone strefy zmieniają zachowania Polaków w czasie pandemii?

DR HELENA CHMIELEWSKA-SZLAJFER,
socjolożka, Akademia Leona Koźmińskiego

Nie jestem przekonana, czy wprowadzenie stref wiele zmieni, ponieważ ludzie nadal nie mają jasności, jak poważna jest sytuacja, oraz które regulacje obowiązują. Do pewnego czasu strach wygrywał z poczuciem zmęczenia epidemią, dlatego Polacy przestrzegali zaleceń. Później jednak premier kilkakrotnie oświadczył, że pokonaliśmy epidemię, zezwolono na obchodzenie hucznych wesel itd. Niedawno wszedł w życie obowiązek noszenia maseczek w sklepach, a chwilę wcześniej Sąd Rejonowy w Kościanie orzekł, że karamie za brak maseczki jest niekonstytucyjne. Ludzie od miesięcy dostają sprzeczne informacje na temat tego, jak powinni postępować, a egzekwowalność przepisów jest żadna. Nie dziwny się więc, że panuje coraz większy chaos, a obywatele zachowują się tak jak sami uważają za właściwe. Wszystko to wynika z grzechu pierwotnego niewprowadzenia stanu nadzwyczajnego.

PROF. ANDRZEJ GŁADYSZ,
specjalista chorób zakaźnych

Cały czas mam nadzieję, że nowe regulacje zmienią mentalność Polaków.

Jestem przerażony niefrasobliwością narodu, któremu się wydaje, że koronawirus nie stanowi większego zagrożenia. Nie da się przewidzieć, kogo dotknie zakażenie i jak będzie u niego przebiegało, a wprowadzenie czerwonych stref przynajmniej w jakimś stopniu ograniczy narażenie najbardziej zagrożonych części populacji. Jednocześnie społeczeństwo musi sobie uświadomić, że granica ryzyka się przesuwają – słyszymy o kolejnych przypadkach ciężkiego przebiegu COVID-19 u ludzi w średnim wieku i młodych. Miejmy trochę pokory wobec nieprzewidywalności przyrody.

PROF. KRYSZYNA SKARŻYŃSKA,
psycholożka społeczna, Uniwersytet SWPS

Już od końca maja społeczne postawy wobec zachowania dystansu, unikania dużych zgromadzeń czy noszenia maseczek przestały być związane z realnym poziomem zagrożenia, a stały się zależne od preferencji partyjnych. Z badań jasno wynikało, że zwolennicy Zjednoczonej Prawicy dopiero od końca maja byli bardziej zdyscyplinowani niż wyborcy pozostałych ugrupowań. Co więcej, stopniowo wzrastał procent osób – w ciągu dwóch miesięcy o ponad 20 punktów procentowych – które nego-

wały zagrożenie koronawirusem. Osoby te akceptowały teorie spiskowe, ale także widziały, że władza wykorzystuje epidemię do celów politycznych. Zwolennicy partii opozycyjnych przypisują obywatelom większą odpowiedzialność za poziom zarażalności niż zwolennicy partii rządzących. Jeśli chodzi o dalszy rozwój wypadków, to moim zdaniem lepiej nie będzie. Obserwujemy bowiem dwie tendencje. Pierwszą jest wzrost dziennej liczby nowych zakażeń, stąd decyzja o przywróceniu pewnych restrykcji w miejscach występowania ognisk epidemii. Drugą – dość ryzykowne wakacyjne gry i zabawy młodych i starszych Polaków, zwłaszcza nad morzem oraz w górach. Ponieważ tak dużo osób nie zachowuje dystansu i nie nosi maseczek, spodziewam się, że za dwa-trzy tygodnie liczba zachorowań znacząco wzrośnie.

MICHAŁ CZARNOWSKI,
czYTELNIK PRZEGLĄDU

Oczywiście, że nie. Polak to taki osobnik, że kiedy mu się dokręca śrubę obostrzeniami, nakazami, przykazaniami, wtedy tym bardziej staje okoniem. Im więcej czerwonych stref, tym większy będzie przepływ między nimi a zielonymi.



Not. Michał Sobczyk

Wychowanie przez przemoc

Policja działa nie dla zapewnienia bezpieczeństwa obywateli,
ale jako narzędzie władzy do represji politycznych

Klementyna Suchanow

Zdjęcia ludzi przyciśniętych policyjnym butem do bruku z piątku 7 lipca mocno na mnie działają. Tło podobne, bo pomnik Kopernika znajduje się przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie pod koniec 2017 r. przyciskano takim butem do bruku mnie. Zdjęcie z tego zdarzenia obiegrało media, wzbudziło emocje. Abstrahuję od dyskusji na temat powodów, które wtedy sprowadziły mnie, a teraz młodzież na ulice, bo chcę pisać o przemocy.

Chwyтали kogo popadnie, rzucali na bok, na chodnik, na ulicę, na innych ludzi.

Warszawa jest specyficzną sceną. W zasadzie każda kostka bruku, każda ulica, każdy budynek ma wpisana w siebie przemoc. To miasto, gdzie kozackie oddziały rozganiały demonstrujących, to sceny licznych zamachów na władze carskie, to przemoc wojsk maszerujących ulicami podczas I wojny. Potem przemoc endecka na ulicach w latach 30., aż wreszcie od 1939 r. bombardowania, rozstrzelania i powstanie, a potem miejsca pamięci, tablice pamiątkowe umieszczane na co drugiej kamienicy. Można by stworzyć swoistą mapę miasta szlakiem przemocy politycznej, nakładać się będą ulice, place i pomniki, bo okolice pomnika Kopernika, któremu zawieszono tęcza i gdzie rozegrały się piątkowe zdarzenia, są szczególne. Z tego pomnika w 1942 r. „Alek” odkręcił w ramach sabotażu tablicę z niemieckim napisem, za co został ukarany, bo decyzję podjął spontanicznie sam, a potem nagrodzony, bo akcja się udała. I przyszedł rok 1968 oraz rozgramianie tłumu studentów pod Jezusem niosącym krzyż, tym samym, którego ręka symbolicznie

sterczała z powojennych ruin i któremu teraz dodano flagę LGBT.

Warszawa miastem przemocy jest jak najbardziej. Istnieje jednak pewna różnica. Do tej pory Polacy walczyli przeciwko okupantom albo rodacy z prawa i lewa przeciwko sobie, dzisiaj policja demokratycznego państwa działa nie dla zapewnienia bezpieczeństwa obywateli, ale jako narzędzie władzy do represji politycznych. Nie da się tego rzucić na okupację, na zabory, na ZOMO.

Niby nie żyjemy w przemocowych czasach, dużo bardziej przemocowe były lata 90. minionego wieku. Walka subkultur na ulicach, mafia, dzikość wczesnego kapitalizmu. Także na tle innych krajów Polska jawi się jako miejsce dość bezpieczne. Ale to właśnie tutaj, niedaleko Ministerstwa Kultury, gdzie kilka tygodni wcześniej przyjmowano mnie jako ekspertkę od Gombrowicza, doznałam po raz pierwszy w życiu przemocy – nie z rąk skina czy przemocowego partnera, ale z rąk policjanta tej demokratycznej Polski. Od tego czasu minęło kilka

Przy zatrzymaniu nikt nie podał żadnego powodu, podstawy prawnej, nikt się nie wylegitymował.

lat, odbyło się wiele protestów oraz demonstracji przeciwko władzy i dzisiaj to dzieciaki w wieku mojej córki, licealiści, studenci trafiają pod ten but. Trafiają liczone w dziesiątki. I co ważne – nie są puszczane, jak ja i moje koleżanki ze Strajku Kobiet z jakimś tam zarzutem z Kodeksu wykroczeń. Są wywożone na komisariaty, czasem za miasto i stawia się im zarzuty z Kodeksu karnego.

Przy zatrzymaniu nikt im nie podał żadnego powodu, żadnej podstawy prawnej, nikt się nie wylegitymował. Młodzież ta była wkurzona, ale nie

stosowała przemoc fizyczną, lecz bierny opór – dozwolony przez prawo. Ale i tak ofiarą tej łapanki można było zostać bez powodu, wystarczyło być obok na lodach, wyjść z pobliskiego sklepu albo być włoskim turystą i przystanąć, by przyrzeć się zbiegowisku. Nikt o nic nie pytał, tylko rzucał i pakował na chłama do suk lub samochodów osobowych.

Policja pod kościołem św. Krzyża, oddalona od miejsca łapanki o jakieś 100 m, naradzała się, w sposób nawet nieutajony, bo i ja, i kamerzysta Michał Szymanderski-Pastryk byliśmy w stanie zbliżyć się na tyle, by ich słyszeć. Co tam się działo, podczas gdy młodzież LGBT i heterosojusznicy blokowali samochód z aresztowaną pod pomnikiem Kopernika? Kilkunastu napakowanych panów w cywilnych ubraniach, w obcisłych koszulkach i umundurowani policjanci z prewencji omawiali plan pacyfikacji. Na filmie Szymanderskiego-Pastryka słychać wyraźnie – słowem kluczem jest „siłowo”, dokładnie „bardzo siłowo”. Zgromadzenie miało być rozgonione w sposób siłowy. Chwilę potem ruszyli do akcji.

Ton temu siłowemu rozwiązaniu nadawali cywilni. Kim byli? Do tej pory media nie podjęły tego tematu, nie wyjaśniono tego podczas przesłuchania w Senacie. To ci panowie wbiegali jako pierwsi w tłum, choć nie widać tego dobrze na filmach – ludzie nie byli przygotowani na akcję, kamery zwrócone były jeszcze w inną stronę. To nauczka dla wszystkich, którzy budują swoje teorie na urywkach scen. Na zdjęciach widzimy sekundy, na filmach tylko fragmenty, zależy, gdzie filmujący skieruje kamerę. Będąc na miejscu



Protest aktywistów LGBT brutalnie spacyfikowany przez policję, 7 sierpnia 2020 r.

samemu – jako uczestnik czy reporter – widzi się znacznie więcej i wie się więcej. A więc to ci napakowani wbiegli w tłum pierwsi. Wiem, bo byłam tam i widziałam to.

Zaczęły się sceny jak z kreskówek. Rozpychali się ramionami, chwyтали kogo popadnie, rzucali ludźmi w prawo i w lewo, na bok, na chodnik, na ulicę, na innych ludzi, jakby człowiek był zapalką. Ludzie padali sobie pod nogi, objęli się o krawężnik lub słupki, wstawali, po czym ponownie ktoś ich popychał i rzucał albo targał do radiowozu.

Przyglądałam się protestom na świecie, pisałam o nich w książce „To jest wojna” i wiem, że polska policja, nawet gdy była wobec nas brutalna, różniła się jednak od policji z innych krajów na plus. Tłumaczę to sobie tym, że jest w narodzie jakaś trauma, że Polak może się bić z wrogiem-okupantem, ale brat przeciwko bratu w stylu ZOMO jest przekroczeniem jakiejś symbolicznej granicy. A tu w 2020 r. nie tyle brat, ile ojciec rzucał dzieckiem o bruk. Dorośli faceci rzucaли dziećmi. Było jasne, że celem łapanek była młodzież, jak

najbardziej kolorowa. Widziałam tam studentów, którzy przy proteście uniwersyteckim dwa lata temu, poważni i skupieni, uważali, że trzeba stosować tylko legalne i wyważone metody, że trzeba rozmawiać na argumenty. Wypadałam przy nich jak radykałka. Teraz robili to samo, co odbywało się przy protestach smoleńskich czy przy blokadach wokół

Było jasne, że celem tej łapanek była młodzież, jak najbardziej kolorowa.

Sejmu. Wycierali bruk tyłkiem. Zradyzalizowali się, nikt nie chce słuchać ich głosu, nie mają jak wyrazić swojego sprzeciwu, bo „wyważone” metody na argumenty nie odnoszą żadnego skutku, nie ma nawet pozorów, że ktoś w ogóle zwraca na nie uwagę. Pazerna władza brnie do przodu bez oglądania się na maluczkich. Rośnie frustracja i ona prowadzi do działań bardziej radykalnych.

Koleżanki ze Strajku Kobiet czy Obywateli RP nieraz wywożono na komisariaty, przetrzymywano

wprawdzie nielegalnie, ale puszczano. Tu młodzież trafiała od razu skuta na dołek, gdzie upokarzano kontrolą osobistą, naruszaniem intymności, groźbami gwałtu przez klawiszy, nie dopuszczano prawników, namawiano do przyznania się do winy. Zatrzymani nie dostawali picia (a to był upalny dzień) ani jedzenia. Równolegle w sobotę, gdy jeszcze byli przetrzymywani, policja ruszała do ich domów na kontrolę, wchodziła do mieszkań i robiła wywiady wśród sąsiadów i w rodzinie. Takie naruszenie cielesności, a potem przestrzeni prywatnej przez władzę, zwłaszcza wobec młodego człowieka, ma tylko jeden oczywisty cel – zastraszenie.

Moje wrażenie po piątkowych wydarzeniach było wyraźne – rozkazy wyszły z samej góry. Przyglądałam się minie wiceministra spraw wewnętrznych Macieja Wąsika podczas przesłuchań w Senacie i wysłuchałam komendanta głównego policji Jarosława Szymczyka, żaden nie przyznał się do kierowania akcją, za to uznali, że operacja była przeprowadzona „profesjonalnie i adekwatnie”. Wąsik dodał, że młodzi specjalnie wybrali Krakowskie Przedmieście na protest, bo tam trudno przeprowadzać operacje, i żeby potem – jak sugerował

– „można było całemu światu powiedzieć: zobaczcie, tęczyowych biją w Warszawie”. Ale jakoś nie zająknął się, że tłum wraz mającą być aresztowaną Margot przeszedł wcześniej przez pół miasta z Solca do centrum i po drodze było wiele miejsc dużo bardziej korzystnych do przeprowadzenia aresztowania. Dlaczego więc policja wybrała takie wąskie gardło na centralnej, turystycznej ulicy w mieście?

Policja – choć pojawiły się wątpliwości, wciąż niewyjaśnione, czy

► w operacji nie brały udziału Wojska Obrony Terytorialnej – zachowywała się jak w amoku, ze zwierzęcą przyjemnością wykonując ten „siłowy” rozkaz. Podobny schemat działania widziałam na Wilczej, pod jednym z komisariatów, gdzie wieczorem gromadzili się ludzie, którym udało się uniknąć zatrzymania po drodze

go zagadnąć, dowiedzieć się, kim jest, ale był zbyt zaaferowany. Kryminalni, jakaś inna jednostka? Koło 10 osób zapakowano do suk i wywieziono. Jedna dziewczyna zgubiła but, zaniósł ją, okazało się, że nie ma też drugiego, szukałam w ciemności (wyłączono latarnie) – znalazłam, doniosłam, nikt mnie nie zatrzymywał

choć tłum nie był tak agresywny. Nieraz pod Sejmem widziałam protestujących dużo bardziej gotowych na starcie, ale jednak nigdy nie dochodziło do tak masowych i brutalnych zatrzymań. Sprawiało to wrażenie z góry zaplanowanej operacji. Jednocześnie na naszych oczach rozgrywają się protesty w Białorusi. I nie można oprzeć się wrażeniu, że wygląda to jak projekcja tego, co czeka nas w przyszłości w Polsce. Prym wiodą w tych protestach młodzi, to oni wychodzą wieczorami na miasto, budować barykady. Represje, zatrzymywanie, wymuszanie – wiem to dobrze – powodują, że człowiekowi grubieje skóra. Jak raz przekroczysz ten próg strachu, to co jeszcze mogą ci zrobić? Młodzież wyjdzie z tego zdarzenia doświadczona, ale i zradikalizowana. Już złamano im młodość. Wysiłki, by wychować ich przez przemoc, pójdą w całkiem innym kierunku niż zamierzony.

Nigdy nie dochodziło do tak brutalnych zatrzymań. Sprawiało to wrażenie z góry zaplanowanej operacji.

czy wyłapywania z metra za tęczęwą torbę. Chwilę po godz. 22 głośno domagający się uwolnień tłum został spacyfikowany w podobny sposób. Banda policjantów na czele z cywilem mięśniakiem z radymkiem w rękę ruszyła, wyłapując młodych. Stałam na ich drodze, przebiegli obok i zdecydowanie zmierzali do grupki dziewczyn i chłopców stojących dalej za warzywniakiem. Akcją komenderował ubrany na czarno po cywilnemu mężczyzna. Próbowałam

po drodze. Przy drugiej łapance na Wilczej, jakieś pół godziny później, z satysfakcją zatrzymano osobę trans. Stałam obok, podobnie jak kilka innych osób, ale profilowanie zatrzymanych było ewidentne.

Przyglądam się protestom od kilku lat, chodziłam nawet obserwować protesty przedsiębiorców w pełnej pandemii. Widzieliśmy w mediach te sceny, które wstrząsały opinią publiczną. Tu nieusprawiedliwionej przemocy było więcej,

Klementyna Suchanow

ZA TYMI DRZWIAMI MIESZKA MAJA

Zamiast w szkole czy na podwórku, spędza teraz czas w domu. Ale życie Mai jest inne niż jej rówieśników.

BO MAJA MIESZKA Z KIMŚ, KTO JĄ KRZYWDZI.

JEŻELI MAJA MIESZKA OBOK CIEBIE, ZADZWOŃ POD 112.

Każde zgłoszenie może pomóc.

współpraca:

DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

ZAGREB CHILD AND YOUTH PROTECTION CENTER

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Policja jest polityczna zawsze

„Co to za interwencja?”. „Uczestniczy pan w nielegalnym zgromadzeniu”. „Ale przecież stoję sam, w promieniu co najmniej 5 m wokół mnie nikogo nie ma. Gdzie pan tu widzi zgromadzenie?”. „Nie są zachowane odstępów”. „Jedyną grupą, która tutaj nie zachowuje odstępów, jesteście wy, policja. Bieriecie udział w nielegalnym zgromadzeniu, to czego pan chce ode mnie? Jak się pan nazywa, jaki ma pan stopień, skąd pan jest, z jakiej jednostki, na jakiej podstawie odbywa się ta interwencja, gdzie jest dowódca?”. „Nie ma dyskusji, do radiowozu z nim”. „Ale to dziennikarz...”.

Tym razem legitymacje dziennikarskie tygodnika PRZEGLĄD i Halo Radio okazały się skuteczną tarczą przed policyjnym bezprawiem. Byłem pod komendą na ulicy Wilczej w Warszawie, kiedy odbywała się spontaniczna demonstracja solidarnościowa z zatrzymaną Margot i innymi osobami, które stawaly w jej obronie i protestowały przeciwko aresztowi za rzekome zniszczenie homofobicznej furgonetki nienawiści i szarpnięcie z jej kierowcą. Decyzją gdańskiego sądu manifestacyjne przejazdy takich pojazdów są naruszeniem prawa. Ale nikt ich nie ściga, nie zatrzymuje, nie kontroluje. Ale jeśli tylko zrobi to aktywista/aktywistka, cały aparat przemocy państwa rusza do akcji z determinacją nieznaną podczas burd kibicowskich czy manifestacji skrajnej prawicy.

Byłem pod tą i innymi komendami na takim proteście dziesiątki razy, ale takiej brutalności i bezpardonowości oraz przypadkowej przemocy policyjnej nie widziałem w podobnych sytuacjach nigdy. To nie był wypadek przy pracy, jednostkowe zapędzenie, błąd pojedynczej osoby. To były rozkazy, to było polecenie. To była polityczna decyzja. Dzisiaj nie wiemy, czyja. Kiedyś się dowiemy. Interweniujący policjanci nie mieli odznak z numerami, dystynkcji, naszywek z nazwiskiem, mieli maski

albo kominiarki. Wiedzą, co robią, kryjąc swoją tożsamość. Wiedzą, że działają poza prawem i wbrew prawu, a działania obecnej formacji policji pokazały, że władza jest w stanie rozliczać na ślepo nawet po kilkunastu latach, jak to się dzieje za PiS wobec funkcjonariuszy MO i SB za rzeczywiste czy urojone przewiny, wystarczy pretekst. Policjanci nie chcą ryzykować. Interweniują. Niektórzy z oddaniem i bezkompromisowo. Cóż, łatwiej przewrócić, przynieść, wykręcić rękę, zakuć w kajdanki kogoś, kto nie ucieka, jest lekki, nie stawia oporu,

Ma być mocno, ma boleć, ma być chaos i poczucie, że policja się nie patyczkuje. I tak było.

ma kilkanaście lat, jest dziewczyną czy nastolatkiem. Te konfrontacje, gdyby nie były brutalne, czasem krwawe czy kończące się złamaniami, naruszeniem intymności, samym zatrzymaniem na policyjnym dołku, byłyby czymś radykalnie ośmieszającym. Opisuje to słowo nadmiar. Nadmiar siły, nadmiar przemocy, nadmiar złości, nadmiar bezprawia.

Policjantów formalnie chroni przepis zawieszający jawność takich interwencji, powołujący się na działanie w szyku zwartym. Co to znaczy? A to, co dowództwo chce lub tak nazwie. To ślepa ścieżka policji. Te zakryte twarze policjantów (a nawet nie wspomnę o jeszcze brutalniejszych popisach tajniaków czy, jak się podejrzewa, użyciu jednostki antyterrorystycznej do interwencji wobec pokojowo demonstrujących) to jawna deklaracja skrajnego upolitycznienia policji. Niby nie dziwi, ale jednak miałem nieodparte wrażenie, że biorę udział w politycznym przesileniu. Ktoś decydujący, nadzorujący policję wydał rozkaz: ma być mocno, ma boleć, ma być chaos i przypadkowość, ma być poczucie, że policja się nie patyczkuje. I tak było. Zły bardzo prognostyk, kiedy

policja jest tak wykorzystywana. Bo, że się daje tak wykorzystywać, to nic nowego pod słońcem. Poza tym jeden ze związkowców policyjnych wyznał: „Kupili nas”.

Policja jest zawsze polityczna. Innej policji niż polityczna nie ma. Drogówka, obyczajówka, kryminalna, gospodarcza, prewencja. Wszystkie formacje działają wedle reguł politycznych, teoretycznie wedle prawa, które jest polityczne. Oczywiście prawo z różną intensywnością i jawnością kieruje swoje polityczne ostrze. W największym skrócie

można powtórzyć to, co krzyczą manifestanci: prawo broni bogatych przed biednymi, prawo nie broni kobiet, prawo broni uprzywilejowanych, prawo przymyka oko, prawo broni silnych i tych w wielkich grupach. A policja tylko takie prawo egzekwuje. Przyjdzie jej za to zapłacić.

Bycie policją nigdy nie może jednak oznaczać bycia polityczną bojówką z legitymacją państwa. A taką polską policja w ostatnich dniach się okazała. Policja musi sama sobie powiedzieć: stop policyjnej przemocy.

Kto się nada na bohatera

Dla części lewej strony niepokorna Margot jest zbyt kontrowersyjna, by uznać ją za ikonę ruchu

Anna Brzeska

Najpierw są obrazki z Maryją w tęczowej aureoli. Potem, podczas gdańskiego marszu równości w maju 2019 r., dziewczyny niosą nawiązujący kształtem do monstrancji transparent z waginą. W końcu czerwca tego roku jest jeszcze ostrzej – transpłciowa aktywistka kolektywu Stop Bzdurom, Małgorzata Margot Sz., uszkadza i maże farbą furgonetkę fundacji „PRO – Prawo do życia”, na której wypisano hasła szkalujące społeczność LGBT+. Działacze kolektywu atakują także kierowcę samochodu, przewracając go na ziemię – usiłują zapobiec nagrywaniu przez niego całego zdarzenia.

Nie można gnoić grupy ludzi przez lata i oczekiwać, że będzie się zachowywać „grzecznie”.

Margot zostaje zatrzymana w połowie lipca, do aresztu policjanci wiozą ją bez butów. Wychodzi za poręczeniem. Kilkanaście dni później, 29 lipca, na kilku warszawskich pomnikach, w tym na figurze Chrystusa przed kościołem św. Krzyża, pojawiają się tęczowe flagi. To znów Stop Bzdurom. „To jest szturm! To tęcza. To atak! Postanowiliśmy działać. Tak długo, jak będę się bać trzymać cię za rękę. Tak długo, aż nie zniknie z naszych ulic ostatnia homofobiczna furgonetka”, głosi ich manifest.

Kilka dni później Margot znów trafia do aresztu – na skutek prokuratorskiego zażalenia, do którego przychylił się sędzia. Tym razem aktywistka ma tam spędzić dwa miesiące. W męskiej celi, bo w papierach wciąż figuruje jako mężczyzna. Opinia publiczna nie doczekała się uzasadnienia dla tak surowego środka zapobiegawczego.

W obronie Margot na ulice wychodzą osoby LGBT+ i ich sojusznicy. Zjawiają się też m.in. posłanki i posłowie Lewicy oraz posłanka KO Magdalena Filiks.

Policja zatrzymuje 48 osób. Głównie „za udział w zbiegowisku”, ale też znieważanie policjantów i uszkodzenie radiowozu – choć według świadków „na dołek” pojechały też osoby zachowujące się pokojowo, po prostu wyglądające na aktywistów.

Apel o natychmiastowe uwolnienie Margot wystosowuje komisarz ds. praw człowieka Rady Europy Dunja Mijatović. Potem syją się kolejne tęczowe protesty. Za Warszawą idą m.in. Gdańsk, Opole, Bydgoszcz, Kraków, Lublin, Poznań, Rzeszów, Tarnów, Zielona Góra, Katowice.

Czy będzie polski Stonewall? Tak nazywał się nowojorski klub, pod którym kilkaset osób LGBT+ i ich sojuszników starło się z policją po jej nalocie na gejowski lokal w czerwcu

obrazoburczość tęczy zbladł jednak wobec dyskusji o zasadności fizycznego ataku na człowieka. Pojawiają się głosy, że Margot nie nada się na twarz ruchu LGBT+.

– Nie popieram totalnie tego, co zrobiła, ponieważ to zwykły wandalizm. Ruch LGBT+ miałby sens, gdyby był w 100% pokojowy. Ale jak w każdym środowisku znajdą się najgłośniejsi osobnicy, którzy psują tylko wizerunek dobrych i miłych ludzi – mówi mi Bartek Skała, młody artysta, deklarujący się jako osoba „prawdopodobnie biseksualna”.

Podobnie twierdzi inny sojusznik LGBT+, muzyk (chce pozostać anonimowy): – Wybranie Margot jako twarzy protestów to jak krzyczenie, by „uwolnić Barabasa”. Jeśli środowisko LGBT+ domaga się praw, musi potępiać akty bezprawia. Agresywne wkraczanie w przestrzeń publiczną skutkuje właśnie powstawaniem idei „homopropagandy”. W dodatku Stop Bzdurom nie tylko nie odcięło się od aktów przemocy, ale w dalszym ciągu subtelnie do niej nawołuje.

Strategię odcinania się od radykałów od lat stosuje centrowa PO. Po zatrzymaniu aktywistki Radosław Sikorski przekonywał w TVN 24: „Można działać na rzecz praw mniejszości metodą Mahatmy Gandhiego, a można to próbować robić przy pomocy noża. Gandhi był skuteczniejszy”. Rafał Trzaskowski przed wyborami prezydenckimi publicznie przyznał zaś, że nie popiera adopcji dzieci przez pary jedнопłciowe.

Prawo jak 90 lat temu

Tyle że w oczach młodych aktywistów apele o „wzajemny szacunek” dorobiły się opinii wyświechtanych frazesów. Dlaczego? W sprawach LGBT+ od niemal wieku żaden polski rząd nie podjął istotnej decyzji. Ostatnim znaczącym wydarzeniem było wprowadzenie w 1932 r. Kodeksu karnego zastępującego funkcjonujące wcześniej kodeksy karne

1969 r. Wydarzenie przeszło do historii jako początek zorganizowanej walki o prawa mniejszości seksualnych w USA.

Schować punków, czy stać „murem za”?

Już rok temu, po akcjach z „tęczowymi Maryjkami” lewicowo-liberalna strona internetu podzieliła się. Choć najczęściej solidaryzowano się z aktywistkami, nie brakowało też głosów oburzenia ze strony osób deklarujących się jako sojusznicy LGBT+, wskazujących jednak, że granice zostały przekroczone.

„Niestety, przemoc symboliczna (...) cofnęła naszą gdańską debatę równościową o kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt kroków, cofnęła działania, które prowadzimy konsekwentnie, takie jak Model na rzecz Równego Traktowania”, pisała prezydentka Gdańska Aleksandra Dulkiewicz.

W tym roku, po akcji Margot i tęczowych flagach na pomnikach, widać powtórkę. Spór o rzekomą



7 sierpnia Margot została aresztowana na dwa miesiące.

zaborców. Homoseksualność po prostu nie pojawiła się na liście czynów zabronionych. I tak już zostało. Polska społeczność LGBT+ zmuszona jest opierać swoje funkcjonowanie na lukach prawnych i ogólnikowych stwierdzeniach, nieodnoszących się do ich sytuacji. Nie ma nawet ustawy, która umożliwiłaby prawną korektę płci – legalnie możliwe jest to jedynie na drodze długotrwałego często procesu sądowego jako konsekwencji... pozwania własnych

zachowania pokoju nie powinny być więc skierowane do nas, lecz do obozu rządowego. Nie rozumiem, dlaczego wymaga się dotrzymywania wyższych standardów moralnych od grupki dzieciaków robiących spontaniczne happeningi niż od prezydenta czy premiera RP. Oni jako najważniejsze osoby w państwie powinni dochowywać najwyższych zasad moralnych i dbać o szacunek do wszystkich obywateli i obywaterek, nie zaogniać konfliktów. Ale to się nie dzieje.

ludzi przez lata i oczekiwać, że będzie się zachowywać „grzecznie”.

Dzieciaki w areszcie

Wejdźmy w buty tęczyowej młodzieży. Facebookowy wpis Aleksandra Wentykiera, młodego aktywisty o twarzy dziecka i fioletowych włosach: „Jestem groźnym przestępcą, bo śmiałem przejść obok pomnika Kopernika w tęczyowej masce na ryju, co uraziło jego kamienne uczucia. Tak groźnym, że nie szło podać mi podstawy prawnej zatrzymania, kiedy złapano mnie za plecy i popchnięto w policyjny wóz. (...) Ale wiecie, co mnie wk****a w tym najbardziej? Nie bezpodstawne zatrzymanie mnie za rzekome »nielegalne zgromadzenie«. (...) Nie to, że nie dostałem przez ten czas ani łyka wody, a jedynie kubeczek herbaty na śniadanie, ponad 10 godzin od zatrzymania. (...) Nie. To, co mnie w****a, to pi****ni symetryści, co wciąż myślą, że prawda leży pośrodku i że jasne, brzydko bić gejów, ale geje sami sobie są winni, bo jak wychodzą z domu, to nie przestają nagle być gejami. Obudźcie się, po prostu. To wy tworzycie ten system i pozwalacie, aby to wszystko miało miejsce”.

„Mam nadzieję, że wdzięki pani Margot zostaną docenione przez współosadzonych”, napisał na Twitterze emerytowany policjant.

rodziców. Mniejszości seksualne nie są w żaden szczególny sposób chronione ani przez Kodeks karny, ani przez ustawę antyprzemocową, ani nawet prewencję w postaci edukacji. Pary jednopłciowe nie mogą w żaden sposób legalizować swoich związków ani adoptować dzieci. Jest wprowadzie ustawa antydyskryminacyjna z 2010 r., ale odnosi się głównie do sfery zawodowej.

Mateusz Sulwiński z Grupy Stonewall, polskiej organizacji LGBT+: – Mówienie, że „wszyscy powinni się szanować”, od lat nie załatwia żadnego problemu. Nawoływania do

Aktywista nie zgadza się też z tym, że ostrzejsze akcje dają złe efekty: – Walka o podstawowe prawa człowieka to nie jest konkurs popularności czy w pełni zaplanowane działania jakiejś „wyższej rady LGBT+”, która siada sobie codziennie przy stole i kombinuje, jak się przypodobać większości, będącej rzekomo dysponentem praw, których żądamy. Pewne procesy przebiegają przecież spontanicznie. To nie jest więc kwestia podjęcia decyzji, co się bardziej opłaca, ale raczej tego, że coraz większa grupa ludzi ma dość. Nie można – użyję mocnego słowa – gnoić grupy

► Młody aktywista wyszedł z aresztu po dobre. Dalej pisze: „Nie każdy miał tyle szczęścia co ja. Niektórzy, jak Margot (...), będą w takim samym areszcie spędzać najbliższe dwa miesiące. (...) Jeśli możecie, wesprzyjcie pomoc prawniczą dla tych osób, wesprzyjcie Stop Bzdurom, wesprzyjcie Kampanię Przeciw Homofobii. (...) Nie pozwólcie, by tęcze osoby w naszym otoczeniu żyły w strachu”.

Antonina Lewandowska, edukatorka seksualna: „Mój *wall* (prywatna strona na FB – przyp. red.) to obecnie zdjęcia, nagrania i świadectwa z ostatnich protestów. Obite twarze znajomych, wykręcane ręce, kajdanki, nagrane krzyki, policyjne buty na twarzach ludzi. (...) Wiele osób najchętniej by nas widziało jako grzeczne, ułożone, co najwyżej robiące partyzantkę – na pierwszy rzut oka dla centrystów i innych pseudosojuszników

wrześniu ubiegłego roku fundacji „PRO-Prawo do życia” wycofać z użytkowania niektóre furgonetki z najdramatyczniejszymi bzdurami na temat osób LGBT+, reszta samochodów, oklejona zmanipulowanymi i wciąż kłamliwymi informacjami, nadal bezkarnie jeździ po ulicach.

Mateusz Sulwiński: – Trudno mi wyobrazić sobie sytuację, w której dwumilionowa społeczność osób LGBT+ w Polsce biernie znosi tę nagonkę. Dlatego bardzo szanujemy aktywistki kolektywu Stop Bzdurom za to, że dały impuls do bezpośredniej konfrontacji, do wyładowania frustracji i złości, która narasta w nas od dekad. Mimo wszystko do tej pory działaliśmy w bardzo pokojowym stylu. Nie przypominam sobie ani jednego marszu równości, którego uczestnicy niszczyliby mienie czy atakowali fizycznie inne osoby. To raczej my

ona uwagę współwzięniom, by „traktowali ją jak kobietę”. Dalej jest krążąca wokół tematu gwałtu sugestia co do potencjalnego zachowania współosadzonych.

Mateusz Sulwiński: – Żarty na ten temat jasno pokazują, jaka jest nasza codzienność. Ta sytuacja wynika czasem ze złej woli, a czasem z braku wiedzy – myślę, że na lekcjach WDŻ w polskiej szkole nigdy nie padło określenie „osoba niebinarna”. A właśnie taką osobą jest Margot.

W sieci można się spotkać z zarzutami, że aktywistka tylko podaje się za osobę LGBT+, że „przyłapano” ją na używaniu męskich zaimków w odniesieniu do siebie.

Mateusz Sulwiński: – Zjawisko transpłciowości jest opisywane w seksuologii od dekad i w miarę dobrze znane nawet w Polsce. Ale pod parasolem transpłciowości znajduje się też tzw. niebinarność, czyli odejście od rozróżniania wyłącznie dwóch płci – męskiej i żeńskiej. Osoby niebinarne nie utożsamiają się z żadną z nich – to również jest uznawane przez seksuologów. Jeśli chodzi o używanie męskich zaimków przez Margot, to weźmy pod uwagę, że osobom trans i niebinarnym często trudno zdobyć się na odwagę przełamania utartych konwencji. Dlatego bywa, że używają jakichś zaimków dla „świętego spokoju”, ale potem spotykają się z zarzutami o niekonsekwencję – to hipokryzja większości społeczeństwa, która nie rozumie osób transpłciowych, ale nie waha się ich osądzać. Zdarza się więc, że pojęcie niebinarności wzbudza obleśny rechot, zgodnie z zasadą „jeśli czegoś nie rozumiem, muszę to wyśmiać”.

I jest to widoczne nie tylko w środowisku konserwatystów. Również dla części lewej strony niepokorna Margot – przedstawiająca się żeńskim imieniem, niewyglądająca jak stereotypowa kobieta, z zarzutami o przemoc wobec człowieka – jest zbyt kontrowersyjna, by uznać ją za ikonę ruchu. Może woleliby „ładną i bezbronną” lesbijkę albo tę leżącą na ziemi dziewczynę ze zdjęcia od posłanki Filiks? Tyle że to Margot siedzi teraz w areszcie. I to na nią zwrócone są oczy wszystkich, a dyskusja o prawach osób LGBT+ wrze w przestrzeni publicznej. Czy jesteśmy na tyle odważni, by być z nimi solidarni?

Anna Brzeska

Państwo nie daje osobom LGBT+ właściwie żadnych narzędzi do obrony przed pomówieniami.

– niewidzialną. Cichociemną, ukrytą, martyrologiczną w najbardziej polski sposób. (...) I do tych osób mówię – wsadźcie sobie tę cichociemność, uciśnianie protestu, który was uwiera, bo wymaga ruszenia tyłka z wysiedzianej, nagrzananej kanapy. Wsadźcie sobie upupianie i protekcyjne uwagi o wyższości prawa, które was nie atakuje, więc na pewno jest słuszne. (...). Jesteśmy i będziemy. Bezczelnie, butnie i bez przeproszania”.

Bezsilni wobec furgonetek nienawiści

Postępowanie Margot tłumaczy Mateusz Sulwiński: – To, co zrobiła, to wyraz pewnej frustracji. Państwo nie daje nam, osobom LGBT+, właściwie żadnych narzędzi do obrony przed pomówieniami. Tymczasem od lat trwa ogólnopolska kampania, w której mówi się wprost, że nasza społeczność to lobby pedofilskie, które chce krzywdzić dzieci. Co możemy z tym zrobić? Wyczerpaliliśmy już możliwości mieszczące się w granicach prawa. Różne osoby próbowały wchodzić na drogę sądową, ale żadna z tych spraw nie zakończyła się powodzeniem.

I rzeczywiście. Mimo że Sąd Okręgowy w Gdańsku nakazał we

jesteśmy atakowani przez drugą stronę. Wiele osób powtarza też, byśmy „edukowali”, „rozmawiali” itd. Tyle że my robimy to już od dekad. Ale niestety, nawet najlepiej zorganizowana społeczność nie wygra z telewizją publiczną. Ich reportaż „Inwazja” wprost sugerował, bez żadnych podstaw, że celem społeczności LGBT+ jest zalegalizowanie pedofilii. Pani Danuta Holecka codziennie dociera do 2 mln ludzi. Garstka aktywistów LGBT+ nie ma takiego zasięgu.

Obleśny rechot niezrozumienia

Tuż po aresztowaniu Margot Jacek Wrona, emerytowany policyjny kryminolog, napisał na swoim twitterowym profilu: „Mam nadzieję, że wdzięki pani Margot zostaną docenione przez współosadzonych”. Wpis wywołał falę oburzenia, ale nic nie wiadomo o tym, by zainteresowała się nim prokuratura, choć Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych zinterpretował notkę „Komisarza” jako nawoływanie do gwałtu.

To niejedyny przypadek, kiedy policjanci żartują z tożsamości płciowej Margot. Na jednej z policyjnych grup na FB pojawiło się przerobione zdjęcie aktywistki, na którym zwraca

Robert Walenciak

Lato 1990 – jesień 1992

OPERACJA MOST

Pomogli tysiącom Żydów, w nagrodę mają obniżone emerytury

Obrazy były wręcz bliźniacze. Albo dworzec Warszawa Gdańska, albo lotnisko Okęcie. Przyjeżdżał pociąg Moskwa-Paryż albo lądował samolot z Moskwy. I wysypywał się tłum ludzi. Niepewnych siebie, dźwigających wielkie zielone worki. Szybko zajmowali się nimi ludzie w cywilnych ubraniach i kierowali do autokarów.

Piotr Niemczyk, wówczas zastępca szefa wywiadu, a potem szef „białego wywiadu”, jeden taki przyłot obserwował. „Zabrał mnie na lotnisko Wojtek Brochwicz (zastępca szefa kontrwywiadu), żeby zobaczyć, jak to wygląda. I rzeczywiście – scena jak z filmu. Świt, ludzie wysypujący się z samolotu, z tymi workami. I każdy coś niesie. Jego zdaniem – cennego. To było lato, a były kobiety w futrach”.

Autokary, eskortowane przez policyjne radiowozy, odwoziły ich do hotelu na warszawskim Bemowie albo na Mokotowie. Stamtąd, najczęściej następnego dnia, przewożeni byli na lotnisko. Niektóre grupy, te, które przyleciały z Rosji samolotem, nawet w Warszawie nie nocowały, tylko po krótkiej przerwie przesiadały się do jumbo jeta linii El Al. Wszystko odbywało się pod okiem służb. Polskich i izraelskich.

Jerzy Dziewulski, którego jednostka ochraniała Okęcie, tak opisuje to w swojej książce, której podtytuł brzmi „O kulisach III RP”: „Dwie godziny przed przyłotem moje transportery opancerzone plus radiowozy z załogą polsko-izraelską patrolują płytę lotniska. Do tego antyterroryści obstawiający lotnisko. Poza tym ciągle w gotowości są jeepy i helikopter Mi-2. Kiedy izraelska maszyna ląduje, przejmujemy ją na głównym pasie lądowania, dalej UAZ-ami jedziemy obok i za samolotem, kontrolujemy, by nikt nie wykręcił jakiegoś numeru. (...) Maszyny były stawiane na uboczu, chodziło o to, żeby zawsze były z każdej strony osłonięte, przesłonięte hangarem czy innym samolotem. (...) W samolocie otwierały się drzwi, opuszczały się schody, wychodziło kilku oficerów ochrony z jednostki Sajjeret Matkal. Ich zadaniem było



Policyjne radiowozy i transportery opancerzone konwojowały grupy do hoteli.

pilnować samolotu. Jeden siedział z przodu samolotu, drugi pilnował ogona. Do samolotu nie można było podejść, był jakby eksterytorialny... Jego bezpośrednią ochroną zajmowały się izraelskie służby specjalne”.

Drugi krąg ochrony tworzyły jednostki polskie.

Tak przebiegała tajna akcja przerzutu rosyjskich Żydów do Izraela. Trwała ona od połowy 1990 r. przez ponad

Na podstawie Prawa Powrotu ściągano do Izraela Żydów z Etiopii, z Ameryki Łacińskiej, z Europy. Ale najważniejsza okazała się operacja powrotu Żydów ze Związku Radzieckiego.

Poważne starania w tej sprawie zaczęły się w drugiej połowie lat 80. Pierestrojka Gorbaczowa okazała się operacją trudniejszą, niż zakładano, Związek Radziecki popadał w coraz

W przerzut 40 tys. Żydów z ZSRR do Izraela zaangażowanych było około 1000 oficerów różnych służb.

dwa lata. W tym czasie przerzucono ponad 40 tys. ludzi. Cały czas obawiano się o bezpieczeństwo – nie tylko pasażerów, ale i obywateli polskich.

Prawo powrotu

Wszyscy Żydzi są obywatelami Izraela. Tak głosi Prawo Powrotu, co oznacza, że każdy Żyd ma prawo przyjechać i zamieszkać w Izraelu. A także jego dzieci, wnuki i nieżydowscy małżonkowie.

większe kłopoty. Dlatego rząd premiera Icchaka Szamira z pomocą USA zaczął coraz mocniej naciskać Gorbaczowa, by pozwolił na wyjazd rosyjskich Żydów. Doszło do ugody. W zamian za złagodzenie sankcji gospodarczych i za nowe kredyty Gorbaczow zgodził się na ich wyjazd. Pod warunkiem że emigranci pozostawiają swoje majątki bez prawa roszczeń.

Wyjazdy zaczęły się w roku 1988. Początkowo rosyjscy Żydzi wyjeżdżali przez Wiedeń, Budapeszt

► i Bukareszt. To były główne kierunki tranzytu. Jednak Wiedeń okazał się za dużym, za bardzo wyeksploatowanym portem lotniczym, by taką operację prowadzić. Rumunia zrezygnowała z przerzutu. Zrezygnowali też Węgrzy. W Budapeszcie przestraszano się gróźb organizacji arabskich, które zapowiedziały zamachy na grupy przetrzucanych Żydów i na obywateli węgierskich.

Nagle okazało się, że nawet jeśli jest zgoda Gorbaczowa, to nie za bardzo wiadomo, jak te setki tysięcy Żydów przenieść z Rosji do Izraela.

A Polska? Wydawała się naturalną drogą tranzytu. On zresztą już trwał, od roku 1988 za zgodą gen. Jaruzelskiego małe grupy rosyjskich Żydów były przetrzucane przez Warszawę *via* Dworzec Gdański. Odbывало się to bez większych kłopotów. Ale to była kropla w morzu potrzeb.

Zaczęto więc sondować możliwość rozszerzenia współpracy. 8 marca 1990 r. ambasada Izraela przesłała do naszego MSZ notę: „Wrzecz ze zwiększeniem liczby emigrantów, powyższe drogi [Bukareszt i Budapeszt] okazują się niewystarczające i władze izraelskie szukają dróg alternatywnych (...). Ambasada Izraela zwraca się zatem do władz Rzeczypospolitej Polskiej z prośbą o pomoc”.

26 marca 1990. Hotel Plaza, Nowy Jork

Za datę kluczową w historii operacji Most uważa się 26 marca 1990 r. Było to dwa miesiące po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Izraelem, podczas wizyty premiera Tadeusza Mazowieckiego w USA. Premier podejmowany był też przez Amerykański Kongres Żydów. Spotkanie odbyło się w hotelu Plaza w Nowym Jorku. I tam padło pytanie, czy Polska zamierza pomóc żydowskim uchodźcom z ZSRR.

Sprawa była ważna, bo po decyzji Węgrów tranzyt Żydów się zatrzymał.

I Mazowiecki powiedział tak. „Polska nie uchyli się od humanitarnej pomocy emigrantom ze Związku Radzieckiego”, zadeklarował. I za te słowa otrzymał owację



Rosyjscy Żydzi docierali do Izraela jumbo jetami linii El Al.

na stojąco. „Uważałem, że naszym moralnym obowiązkiem jest wyrazić zgodę”, mówił, pytany po latach o tamten dzień.

Ale ten gest niósł ze sobą jasno określone następstwa. Już cztery dni po spotkaniu w Nowym Jorku i deklaracji Mazowieckiego, 30 marca 1990 r., do *attaché* handlowego polskiej ambasady w Libanie Bogdana Serkisa otworzono ogień z kałasznikowów. *Attaché* i jego żona zostali ciężko ranni. Inna grupa terrorystyczna, pod nazwą Islamski Front Militarny, zapowiedziała ataki na polskie placówki, biura LOT i polskich dyplomatów, jeśli nasz kraj nie wycofa się z obietnicy tranzytu.

Przed szefem MSW Krzysztofem Kozłowskim zarysował się realny scenariusz – że polskie placówki za granicą będą atakowane, że możemy się spodziewać ataków na Okęcie, zwłaszcza na odlatujące do Izraela samoloty. „Okęcie nie było żadnym portem lotniczym, to był kurnik. Czekaliśmy na nieszczęście. Wydawało się nam, że zmierzamy nieuchronnie do dramatycznego wydarzenia”, mówił, wspominając tamte dni.

Rzeczywiście, z punktu widzenia ochrony przed zamachem Okęcie jest portem lotniczym wręcz odsłoniętym. Leży praktycznie w środku aglomeracji, jest otoczone domami i ulicami.

Jedną z głównych arterii Warszawy, aleją Krakowską, prowadzi wręcz przy lotniskowym ogrodzeniu, a z leżącej przy niej górką można podziwiać startujące tuż nad głowami samoloty.

„Byliśmy kompletnie nieprzygotowani – mówi Brochwicz. – W strukturze państwa nie było żadnych sił antyterrorystycznych. Była tylko jednostka Dziewulskiego na Okęciu”.

Trzeba więc było szybko zbudować dobrze działające struktury, które zabezpieczyłyby lotnisko i zapewniły bezpieczeństwo przewożonym Żydom. Struktury, które by zneutralizowały potencjalnych zamachowców, mieszkających w Polsce, i wzmocniłyby ochronę polskich placówek w świecie.

Z perspektywy lat widać, że to się udało. „Nie doszło do żadnego zamachu. Włożono w to ogromną pracę. I tylko tyle mogę powiedzieć” – to słowa Brochwicza. „To się nie wzięło z nieba – mówi. – Dzięki temu, że w służbach przeprowadzono weryfikację, a nie opcję zerową, mieliśmy doświadczonych oficerów, z ich agenturą krajową i zagraniczną. Oni odegrali ogromną rolę. Neutralizowali wrogie operacje wobec Polski. Pamiętamy, w kraju mieliśmy ponad 12 tys. osób pochodzenia bliskowschodniego. Wielu z nich przeszło przez obozy szkoleniowe OWP.

Do roku 1990 nikomu to nie przeszkadzało, ale gromadzono informacje na ich temat. Prowadzono rozpoznanie i werbunek. Dzięki temu mieliśmy w tych środowiskach dobre rozeznanie”.

I dodaje: „Nadzorowałem operację ochrony kontrwywiadowczej operacji Most. Istniało centrum koordynacji w Komendzie Głównej Policji. Współpracowaliśmy ze służbami polskimi, z policją, strażą graniczną, wojskami nadwiślańskimi i z Mossadem. To był pierwszy epizod intensywnej z nimi współpracy”.

Zaczęła się ona już niespełna miesiąc po deklaracji premiera Mazowieckiego. W kwietniu 1990 r. do Warszawy przyjechało dwóch pułkowników Mossadu. Przywieźli informacje na temat ugrupowań terrorystycznych i zagranicznych agentur, które mogłyby zagrozić planowanej operacji.

Jak chronić Okęcie?

W polskich planach dowódcą odpowiedzialnym za fizyczne zabezpieczenie Mostu został mjr Jerzy Dziewulski, szef jedynej polskiej jednostki, która była przygotowana do działań antyterrorystycznych.

Procedury lądowań i startu samolotów z emigrantami były ściśle określone. Opisał to zresztą Dziewulski w swojej książce. Było więc tak, że samoloty do Izraela kołowały specjalnie na bok płyty lotniska. Nie można było do nich się zbliżyć. „Zaznaczaliśmy pracownikom LOT-u, że strefa jest ok. 30-50 m, żeby jej, broń Boże, nie przekraczać. Nikt nie mógł wejść do samolotu. Nikt nie mógł podjechać, powiedzieć, że ma jakiś transport. Nikt nie mógł powiedzieć, że chce coś tu sprawdzić albo naprawić. Każdy ruch był kontrolowany”, wspomina Dziewulski. Na jego rozkaz akcję przeprowadzano w ostonie innych maszyn – choćby autobusów – tak by nikt spoza lotniska nie doszł, co się dzieje.

Początkowo odprawy pasażerów odbywały się w zamkniętym na ten czas terminalu lotniska. Potem przeniesiono je do hotelu, w którym nocowali emigranci. Przeprowadzała je specjalnie przeszkolona przez Izraelczyków polska ekipa. Autokar z przewożonymi ludźmi mógł więc podjeżdżać bezpośrednio pod samolot.

W asyście radiowozów policji oraz transporterów opancerzonych.

Transportery patrołowały też drogę kołowania. Na słupach z reflektorami siedzieli snajperzy, a na wieży kontrolnej przebywał za każdym razem izraelski oficer. Zawsze przygotowany też był do działania oddział antyterrorystów. Podczas startu boeinga wznosił się też śmigłowiec wojskowy. W razie ataku miał przyjąć na siebie uderzenie pocisku. Wszystko działo się późną nocą lub nad ranem.

Terenu wokół lotniska pilnowali zwykli policjanci. Ale byli oni przeszkoleni i uczuleni, na co zwracać uwagę.



Wojciech Brochwicz: Nie doszło do żadnego zamachu. Włożono w to ogromną pracę.

Mobilizacja służb przyniosła rezultaty. Policja na bieżąco informowała o podejrzanych sprawach, m.in. o podłożonych ładunkach wybuchowych. Dwa z nich osobiście rozbroił Dziewulski. Nie chwalono go za to, bo to nie było jego zadaniem, ale zawodowego sapera.

Nie mogło też być żadnych przykrych niespodzianek ze strony mieszkających w Polsce Arabów. „Siatka arabska w Polsce była na tyle słaba i rozpoznana, że łatwo ich przekonać, by nie angażowali się w niebezpieczne przedsięwzięcia”, opowiada gen. Gromosław Czempiński, który przez parę miesięcy koordynował pracę MSZ i polskich służb.

Kolejni nasi rozmówcy mówią praktycznie jednym tonem – to był czas absolutnej mobilizacji wszystkich służb i ich sprawnego współdziałania.

Nawiasem mówiąc, ta gorliwość kończyła się różnie. „Policjanci mieli zwracać uwagę na samochody zaparkowane w zacisznych miejscach koło lotniska – opowiada Piotr Niemczyk. – I zwracali. Z reguły w tych samochodach natykali się na pary oddające się miłosnym porywom”.

Ale też pod Okęcie podjeżdżały limuzyny na dyplomatycznych rejestracjach i parkowały tak, by mieć jak najlepszą możliwość obserwacji i nagrywania obrazu z płyty lotniska. To byli różni *attaché* państw arabskich. Póki nie wysiadali z samochodów, chronił ich immunitet. Jedyńą na nich metodą był radiowóz lub pojazd techniczny, który parkował obok lub zastanawiał widok.

Zainteresowanie szczegółami całej operacji nie ograniczało się jedynie do filmowania. Mówi o tym Dziewulski: „Jeden z moich funkcjonariuszy, który m.in. zabezpieczał pomieszczenie arabskich linii lotniczych, otrzymał propozycję finansową za udzielenie informacji o czasie i miejscu lądowania samolotu izraelskiego. Otrzymał jak na owe czasy propozycję naprawdę bardzo dobrą, kilku tysięcy dolarów za przekazanie tego typu informacji”.

Nie tylko GROM

Operacja Most niósła nie tylko zagrożenie dla Okęcia i startujących z lotniska samolotów. Zmiana sojuszy oznaczała, że dawni sojusznicy mogą zwrócić się przeciwko Polsce. Informacje na ten temat przychodziły z różnych źródeł. Między innymi KGB przekazało Polakom informację, że pod koniec 1989 r. odbyło się spotkanie przedstawicieli radykalnych ugrupowań arabskich, na którym ustalono, że w odpowiedzi na nawiązanie relacji dyplomatycznych z Izraelem dojdzie do akcji terrorystycznych na sieć komunikacyjną.

W marcu 1990 r. mieliśmy z kolei sygnał ze służb Izraela, że „istnieje duże prawdopodobieństwo prób zamachów ze strony arabskich grup terrorystycznych”. Sygnał potwierdził zamach w Bejrucie.

Te wszystkie elementy wskazywały, że Polska musi zbudować strukturę, która zdolna byłaby podjąć działania antyterrorystyczne. Myślał o tym m.in. ppłk Sławomir Petelicki, wówczas naczelnik Wydziału

► Ochrony Polskich Placówek za Granicą. Między innymi po rozmowach z przedstawicielami służb amerykańskich Petelicki przygotował projekt wojskowej jednostki antyterrorystycznej. Miała być wzorowana na brytyjskim SAS oraz amerykańskiej Delta Force i służyć do ewentualnego odbijania zakładników oraz zajętych przez terrorystów ambasad. Petelicki przedstawił swój plan Krzysztofowi Kozłowskiemu. Po paru tygodniach projekt został zatwierdzony. 13 lipca 1990 r. szef MSW podpisał rozkaz o sformowaniu jednostki GROM. Można więc rzec, że GROM jest „dzieckiem” operacji Most, zresztą tak niektórzy tłumaczą jego skrót, jako Grupa Realizacji Operacji Most. W rzeczywistości GROM osiągnął zdolność bojową, gdy operacja Most została już zakończona. Nie brał więc w niej udziału.



Piotr Niemczyk: Scena jak z filmu. Świt, ludzie wysypujący się z samolotu. To było lato, a były kobiety w futrach.

Oprócz jednostki GROM w MSW powołano strukturę, która na bieżąco monitorowała stan zagrożenia polskich placówek i polskich obywateli. Szefem zespołu został szef wywiadu gen. Zdzisław Sarewicz, w jego skład wchodził też Gromosław Czempiński. „Zespół miał za zadanie, poprzez nasze rezydentury, rozpoznawać zagrożenia dla Polski – mówi Czempiński. – Dostaliśmy w tym czasie wiele sygnałów, że istnieje potencjalne zagrożenie zamachami na placówki i na naszych obywateli. Na szczęście sygnały okazały się mało groźne”.

Dlaczego udało nam się przejść przez ten okres suchą nogą? Gen. Czempiński wskazuje, że pomogła w tym dobra współpraca ze służbami zachodnimi, CIA, Mossadem, francuską DGSE... „Po operacji w Iraku (operacja Samum – ewakuacja oficerów CIA z Iraku w czasie wojny w 1990 r., przeprowadzona przez grupę oficerów UOP – przyp. aut.) naszym było łatwiej rozmawiać z przedstawicielami zachodnich służb – mówi. – Oni uznali już nas za swoich”. Bezpieczeństwo Polski było więc wspólnym bezpieczeństwem Zachodu.

Swoją rolę odegrało też Ministerstwo Spraw Zagranicznych, choć dowiedziało się o całej operacji stosunkowo późno. Krzysztof Płomiński był wówczas wicedyrektorem Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu i jak sam mówi, o operacji Most został poinformowany krótko przed jej rozpoczęciem. Było to pewnie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ambasador Egiptu wyraził w imieniu szefów placówek państw arabskich zaniepokojenie pogłoskami dotyczącymi tranzytu rosyjskich Żydów do Izraela.

A jak nasze MSZ próbowało złagodzić to odwrócenie sojuszy? Przecież w tym czasie tysiące Polaków realizowało kontrakty w krajach arabskich, w Iraku, w Libii... Rzecz w tym, że kraje te pogrążone były w finansowym kryzysie. A był to okres spadku cen ropy naftowej. Więc i ich możliwości były coraz mniejsze.

„Przedstawiciele krajów arabskich zdawali sobie sprawę, że coś zasadniczego zmienia się na świecie – tłumaczy Płomiński. – I że nie można temu zapobiec. My z kolei tłumaczyliśmy, że jesteśmy tylko krajem tranzytowym. Że to Związek Radziecki, Rosja, zdecydował, że wypuszcza swoich obywateli. Żeby pretensje tam kierować. A my – to tylko tranzyt”.

Mit założycielski

Wojciech Brochwicz o operacji Most mówi z dumą. „Dwie operacje – operacja Samum i operacja Most – to mit założycielski nowych służb i GROM-u. One pokazały, jak Polacy potrafią współpracować, ci ze starego zaciągu i z nowego. Ale one pokazały też Zachodowi, że jesteśmy partnerem szczerym i sprawnym. Że można na nas liczyć”.



Jerzy Dziewulski: Do izraelskiego samolotu nie można było podejść, był jakby eksterytorialny.

Oczywiście, były to różne operacje. Samum to dzieło niewielkiej grupy, na obcym terenie. W efekcie operacja przyniosła Polsce umorzenie miliardów dolarów długów. Most z kolei żadnych pieniędzy Polsce nie przyniósł. Ba! Polski nie było stać na finansowanie operacji, więc część funduszy wyłożyła spółka Art-B („Poproszono nas, MON nas poprosił”, mówią jej właściciele, Bagsik i Gąsiorowski). Poza tym to była operacja długa i angażująca bardzo wiele osób („Oceniam, że w operację Most zaangażowanych było w sumie około 1000 oficerów, w różnych służbach”, mówi Brochwicz). Ale obydwie wymagały profesjonalizmu, dyscypliny i zaangażowania.

Podobnie mówi Gromosław Czempiński – po operacjach Samum i Most pozycja polskich służb na Zachodzie bardzo wzrosła. Rozszerzono współpracę, szkolenia, możliwość kupowania sprzętu. Zmieniło się też miejsce Polski w światowej polityce. Byliśmy ważnym partnerem USA, dług wdzięczności miał też Izrael.

Dziś to jest już w dużej mierze przeszłość. A symbolem tego jest ustawa zabierająca oficerom MSW emerytury. Gen. Czempiński otrzymuje miesięcznie 1800 zł. To i tak, na tle innych funkcjonariuszy, dużo – bo niektórzy otrzymują 1200 zł.

Pisowska ustawa represyjna obejmuje 42 tys. byłych funkcjonariuszy. Czy raczej osób, bo na skutek nieprzemyślnych zapisów dotknęła ona także tych, którzy nigdy nie przekroczyli progu komendy. Na przykład byłych sportowców, którzy trenując w klubie gwardyjskim, byli „zaczepieni” na etacie w SB, bo akurat takim etatem klub dysponował.

Ustawa ma też swoją szaloną logikę. Gdy likwidowano Wojska Ochrony Pogranicza i tworzone Straż Graniczną, mniej więcej połowa z 12 tys. wopistów trafiła do SG. Ci, którzy w tamtym czasie przeszli na wojskową emeryturę, nadal ją pobierają. Ci, którzy podjęli pracę w Straży Granicznej, dziś mają emerytury obniżone, bo ustawa represyjna stawia Zarząd Zwiadu WOP obok Wojskowej Służby Wewnętrznej, Służby Bezpieczeństwa itd. Tymczasem struktura WOP była taka, że 70% żołnierzy tam służących było na etacie ZZ WOP, o czym twórcy ustawy represyjnej najwyraźniej nie wiedzieli.

Podobnie było z Biurem Ochrony Rządu. BOR powstał w 1954 r. jako komórka Służby Bezpieczeństwa. Potem raz był w MSW, innym razem w MON. Jeżeli ktoś przeszedł na emeryturę, gdy BOR był w MON – pobiera emeryturę wojskową. Jeżeli w czasie, gdy BOR był w strukturze MSW – ma resztki.

Ustawa brutalnie traktuje wszystkich tych funkcjonariuszy, którzy po upadku Polski Ludowej pracowali dla III RP. Ostatni dwaj żyjący oficerowie, którzy prowadzili akcję Samum, Gromosław Czempiński i Andrzej Maronde, mimo że ich działania pozwoliły na umorzenie Polsce 16,5 mld dol., są traktowani jak „komunistyczni oprawcy”.

Trudno nazwać to inaczej niż zemstą. Zresztą udokumentowana jest śmierć 60 oficerów, którzy – gdy otrzymali informację o obniżeniu emerytury – albo dostali zawału czy wylewu krwi do mózgu, albo popełnili samobójstwo.

Czy ustawę, która mija się z zasadami państwa prawa, lekceważy prawa nabyte, wprowadza odpowiedzialność zbiorową, po raz drugi karze za to samo (bo pierwszą ustawą represyjną była ta uchwalona przez koalicję



Sławomir Petelicki przygotował projekt wojskowej jednostki antyterrorystycznej GROM.

PO-PSL), można uchylić? Ciekawe rzeczy mogą się zdarzyć 18 sierpnia. Trybunał Konstytucyjny będzie wtedy kontynuował przerwane posiedzenie nad tą właśnie ustawą.

Wcześniej sędzia Julia Przyłębska cztery razy je przekładała, teraz już chyba nie będzie miała wyboru. Możemy więc spodziewać się wyroku. To o tyle ważne, że większość funkcjonariuszy po otrzymaniu decyzji

o obniżeniu emerytury odwołała się do sądu. A sądy czekają na oficjalną wykładnię TK.

Tak więc po wyroku Trybunału Konstytucyjnego sądy będą mogły zacząć procedować. I wówczas może ruszyć lawina wygranych spraw. Jeżeli wyrok TK będzie dla funkcjonariuszy niekorzystny, będzie to także miało pozytywną stronę. Bo zamknie krajową drogę prawną. A odwoływać się do Strasburga można tylko wtedy, gdy krajowa droga prawna zostanie wyczerpana.

Inny Izrael

Operacja Most zmieniła też Izrael. Jeżeli Izrael liczy 7,5 mln mieszkańców, to milion przybyłych z dawnego ZSRR nie tylko wzmocnił liczebność armii.

Izrael jest inny politycznie nie tylko dlatego, że partie rosyjskich Żydów odgrywają w izraelskiej polityce dużą rolę, ale też dlatego, że wraz z przybyciem nowych obywateli pojawiły się w Izraelu nowe elementy. Te złe to wypadki samochodowe po alkoholu, nowe mafie, nowa przestępczość. A te dobre to rozwój nauk ścisłych, informatyki.

Nastąpiła też wielka zmiana w polityce międzynarodowej. Obserwujemy to, widząc częstotliwość spotkań Władimira Putina i Benjamina Netanjahu. To Izrael jest dziś głównym partnerem Rosji na Bliskim Wschodzie. A Rosja jest dla Izraela coraz ważniejszym partnerem, zresztą ku zadowoleniu jego rosyjskojęzycznych obywateli. Mamy więc trwałe związanie się Rosji i Izraela, współpracę dyplomatyczną, wojskową, wywiadowczą. Tak zmienił się świat.

Robert Walenciak

Płać mniej przez kwartał! Jeden egzemplarz w prenumeracie ~~7,50 zł~~ **5,69 zł**

Zamów pocztową prenumeratę PRZEGLĄDU

Zamówienia można składać do 25 sierpnia 2020 r.

Realizacja od października 2020 r. po dokonaniu przedpłaty 74 zł na IV kwartał

- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl



ANI SPOKOJNA, ANI WESOŁA



Polska wieś dusi się w oparach toksycznych dymów i wylewanych nielegalnie szamb, a śmieci wyrzuca do lasów. Dlaczego?

Beata Igielska

Niewielka wioska na Mazowszu, sierpień, godzina 20. Zaczyna się tzw. podgrzew wody. Z kominów buchają dymy w kolorach tęczy. Albo czarne jak smoła. Trzeba pędem zamykać okna, bo jeśli opary wpadną do domu, w nocy gryzą w gardło. Ta sama wioska, sierpień, godzina 22. Okien pod żadnym pozorem otworzyć nadal nie sposób. Zaczyna się spuszczenie szamb w krzaki, a nawet pod płót sąsiada. A co nam kto robi? Stanowiska gminne w tzw. ekologii nie rzadko od lat obsiadają rozkładający ręce na wszystko krewni i znajomi

królika, czytają: wójta lub burmistrza. Posadka ciepła, byle do emeryturki. Urzędnicy mówią: zgłoszeń nie ma, nic nie możemy. Jakby sami cierpieli na zanik powonienia.

By nam buty mogły śmierdzieć...

Nawet jeśli urzędnikom wydaje się, że mieszkańcy ich gminy dobrze się czują w oparach gryzących dymów i szamb, myślą się.

– A co on ma za mentalność, skoro szambo jego rodzica w łańcuch leci do rowu. Wszyscy o tym wiemy – mówi daleka sąsiadka urzędnika od ekologii. Tak samo w innej wiosce – wszyscy wiedzą, że największym

śmierdziuchem jest sołtys spuszczający zawartość szamba do lasku. A w jeszcze innej wójtacz terenu chwali się, że właśnie przechrzcił rząd i na portalu aukcyjnym zakupił nielegalnie kopciucha za 9 tys. Teraz wali do niego wszystkie plastiki i opony i jest super. Nie może jednak pojąć, skąd jego dzieci mają alergię. A znajoma Zosia właśnie zachorowała na raka. No dlaczego? Ano m.in. dlatego, że wylała jej pod nos szambo i napaliła w piecu płytą pilśniową. A twoje dachy nadal pokrywa eternit zawierający śmiertelnie niebezpieczne włókna azbestowe.

Z badań prof. Adama Grochowalskiego z Zakładu Chemii Analitycznej Politechniki Krakowskiej przeprowadzonych na użytek Polskiego Alarmu Smogowego wynika, że jajka z wolnego wybiegu w małych gospodarstwach są silnie zanieczyszczone dioksynami pochodzącymi ze spalania w piecach. Dlaczego? Bo kury grzebią w ziemi w poszukiwaniu pożywienia. Zjadają popioły ze spalania np. opon i plastików. Jajko kumuluje zaś w żółtku zanieczyszczenia. Dioksyny rozpuszczają się w tłuszczach, a żółtko zawiera ich płaską łyżeczkę. Badane jaja prosto ze wsi miały czterokrotnie przekroczony dopuszczalny poziom dioksyn. Paradoksalnie jaja z ferm nie były zanieczyszczone.

Dyskusje na forach internetowych pokazują zmęczenie śmierdzącym problemem. Ertao38 pisze: „LUDZIE! Czy Wy macie pojęcie, jak trujecie siebie i okolicę, paląc płytami wiórowymi? Wiecie, ile jest zachorowań na raka przez to? (...) A choroby oskrzeli, skąd się biorą, jak myślicie?”. Już: „No niestety (...) przyzwyczajenia i mentalność ludzka zmieniają się najtrudniej”.

Bo palenie śmieciami często nie jest kwestią biedy, lecz fatalnej mentalności właśnie. Najpaskudniejsze dymy lecą z domu właściciela nowego modelu mercedesa rozbijającego się po miasteczku. Na Zachodzie to normalne, że sąsiad zwróci uwagę sąsiadowi, żeby mu nie kopał pod nos. Na polskiej wsi takich malkontentów czeka kara: kamień w szybę, zrobienie lekkiej krzywdy w celu nastraszenia albo wykluczenie z grupy.

– W Polsce nagminnie myli się sygnalizowanie zła z donosicielstwem. Jeśli zgłoszę policji czy innym

służbom, że ktoś wpuszcza mi truci-
zny przez okno, jestem donosicielem,
ba, nawet zdrajcą, więc jakaś forma
przemocy mi się należy. Taka bezre-
fleksyjna kalka behawioralna bierze
się z naszej historii: poinformować
władzę oznaczało przez cały wiek
XIX, a także dużą część wieku XX,
kolaborować z zaborcą lub okupan-
tem – tłumaczy dr Łukasz Polowczyk,
filozof i etyk. – Ta bezmyślna postawa
uniemożliwia lub znacznie utrudnia
dokonywanie pozytywnych zmian

zaoszczędzić, ludzie wyłącza-
li je, a to powodowało uszkodzenia. Ser-
wis stwierdzał przerwę w zasilaniu,
co odnotowały układy elektroniczne
oczyszczalni, i odmawiał naprawy
gwarancyjnej. Problemem są też
osady ściekowe, które gmina powin-
na przyjąć od mieszkańca, osuszyć
je i odkazić w wysokiej temperaturze
na specjalnych poletkach. Tak po-
wstają kolejne koszty. Możliwe jest
także zagospodarowanie osadów
w rolnictwie. Ale wtedy gmina

COVID nam to przystopował. Będzie-
my składać kolejny wniosek na foto-
voltaikę, bo jeden został odrzucony.

Łatwiej egzekwować przepisy tam,
gdzie jest straż gminna. Od 1 listopa-
da 2018 r. straż miejska ma upraw-
nienia, by od razu karać mandatem
za nieprzestrzeganie postanowień
uchwał antysmogowych. Wystarczy
zadzwoić i podać miejsce oraz czas
palenia odpadami. W małych gmi-
nach straży jednak nie ma. Wójt, bur-
mistrz lub działający w jego imieniu
urzędnik nie ma możliwości nakła-
dania grzywny, więc prosi o pomoc
policję lub zgłasza sprawę do sądu.
Najczęściej jednak urzędnicy starają
się pouczać. Skutek? Krótkotrwały,
nieraz marny lub żaden. Na terenach
małych gmin jest wiele wiosek, gdzie
ledwie dwie, trzy osoby mogą po-
kazać kwit za opróżnienie szamba.
Usługa jest droga. Gdy szambo jest
szczelne, a rodzina spora, trzeba je
opróżniać dwa razy w miesiącu.

Gdzie trafiają więc pozostałe
przydomowe ścieki? Wystarczy po-
ciągnąć nosem w nocy, wyjść na
świeżo przeorane pole, które wyglą-
da jak pokryte śniegiem, bo leży na
nim słabo rozkładający się wybielany
papier toaletowy. Potem zajadamy
się truskawkami i ziemniakami wy-
hodowanymi na tym papierze i na
chemii do szorowania WC i umywa-
lek. W przedostających się do gleby
i wód gruntowych ściekach są groźne
wirusy, grzyby, pierwotniaki, pasoży-
ty i bakterie. Niestety, wielu rolników
traktuje ścieki jako nawóz i „użyźnia”

Wszyscy wiedzą, że największym śmierzduchem jest sołtys spuszczający zawartość szamba do lasku.

społecznych i środowiskowych i ry-
suje naszą przyszłość w stylu wiersza
Kazimierza Przerwy-Tetmajera: „By
nam buty mogły śmierzdieć / Jak
śmierzdziały przed stu laty”.

Na problem śmieci trzeba też
spójrzeć globalnie. Odpady krążą po
świecie od Afryki po Azję. Do 2018 r.
wiele trafiało do Chin, ale te zaczęły
się przyglądać, co ląduje u nich na
wysypiskach. Tak więc kontenery
popłynęły do Afryki, bo biedne kra-
je Południa wciąż chętnie przyjmują
śmieci. Zaczynają jednak się dusić
pod ich ciężarem. Podobnie jak Pol-
ska dusi się od dymów płonących
coraz częściej wysypisk śmieci, które
gromadzą np. odpady poszpitalne od
bogatyh Niemców czy Duńczyków.

Co może gmina?

Idea przejęcia odpadów przez gmi-
ny była piękna. I przez chwilę nawet
Polska wyglądała czystiej. Do czasu
podniesienia cen za wywóz odpa-
dów. Artur Maślankiewicz zajmuje
się ochroną środowiska w gminie
Sanniki, powiat Gostynin, i tłumaczy,
że wszystko rozbija się o pieniądze,
a raczej ich brak.

– Żeby restrykcyjnie podejść do
problemu szamb, powinniśmy mieć
na naszym terenie jeszcze ze dwie
oczyszczalnie ścieków, bo ta, którą
mamy, pracuje już na pełnych obro-
tach. A przydomowe oczyszczalnie
też generują problemy. Kiedyś na
szkoleniu mówiono o oczyszczal-
niach wybudowanych przez gminę
za unijne pieniądze. Przez pięć lat
instalacje miały być własnością gmi-
ny. Żeby działać poprawnie, muszą
nieustannie czerpać prąd. Chcąc

powinna badać zarówno glebę, jak
i osady – mówi Maślankiewicz.

Największym problemem w ma-
łych gminach jest mentalność i niska
świadomość ekologiczna mieszkań-
ców. Nikt na nikogo nie donosi, bo
każdy tu zna każdego. Dlatego w se-
zonie grzewczym jest mało zgłoszeń
z powodu palenia odpadami. A kiedy
bogaty widzi, że biedny pali plasti-
kiem, sam zaczyna to robić, bo dla-
czego miałby nie zaoszczędzić.

Artur Maślankiewicz: – Owszem,
w naszej szkole gminnej odbywa-
ją się specjalne ekologiczne lekcje
i apele, ale musi minąć co najmniej
pokolenie, żeby coś drgnęło. A że
ostatnio rowy i lasy znów pokryły się
dużymi gabarytami? To z powodu
znacznego wzrostu kosztów odbioru
i zagospodarowania odpadów, w tym
zw. opłaty marszałkowskiej. Chcąc

W lasach i rowach znów pełno zużytych wersalek, lodówek i części samochodowych.

ograniczyć koszty, gminy próbują
limitować ich ilość. A coś trzeba ro-
bić z odpadami pobudowlanymi czy
z małych zakładów. Wynajem konte-
nera jest drogi, więc nierzadko resztki
lądują w lasach. Ostatnio zajmowali-
śmy się też ewidencją szamb, ale

W Europie z powodu dużego zanie-
czyszczenia powietrza umiera przed-
wcześnie 400 tys. osób rocznie, a tyl-
ko w Polsce ponad 40 tys. To jedyne
państwo w UE, w którym rośnie za-
nieczyszczenie groźnym dla ludzkiego
zdrowia pyłem zawieszonym – PM10.

nim glebę pod lepsze plony, przeko-
nując, że szkodliwe zanieczyszczenia
z czasem się rozłożą. Ale zanieczysz-
czenia wchłaniane są przez rośliny,
w tym warzywa i owoce w przydo-
mowych ogródkach. Ludzie nie łączą
licznych zachorowań na raka z takim
postępowaniem.

Jacek Brygman, wójt gminy Cek-
cyn, wiceprzewodniczący Związku
Gmin Wiejskich: – U nas z szamba-
mi nie mamy problemu, ludzie coś
zrozumieli, wybudowali właściwe
zbiorniki. Natomiast wciąż jest kłopot
z paleniem śmieciami, mimo że od
15 lat edukujemy, tłumaczymy, że od
tego są alergie i raki, że mieszkańcy

niszczą sobie piece i kominy. Jesienią zaczynamy pokazywać slajdy, od wielu lat na okrągło. Zimą analizujemy, jakie kto oddaje plastiki. Jeśli przez dwa miesiące nie wystawia żadnego worka, zapala nam się czerwona lampka. Piszemy od razu pismo z pytaniem, co gospodarz robi z odpadami. Brak odpowiedzi skutkuje kontrolą gospodarstwa. Ta z reguły wystarcza, żeby przestraszyć palacza śmieci. Niestety, nasze kontrole musimy zapowiedzieć, wtedy całe obejście jest pięknie wysprzątane. To wojewódzki inspektor ochrony środowiska powinien wejść z niespodziewaną kontrolą.

Sprzątamy nie nasze śmieci

Do lasu najlepiej podjechać nocą, kiedy nikt nie widzi, i wywalić kontener śmieci. Tak samo nocą najlepiej kraść drewno. Albo w dzień uważnie zerknąć w lusterko i jak nikogo nie widać, rzucić worami w las. Alfred Mesjasz, zastępca nadleśniczego w Nadleśnictwie Łąck, jest podłamyany niską świadomością ekologiczną mieszkańców. W lasach i rowach znów pełno starych wersalek, lodówek, części samochodowych. Pozbyli się ich złodzieje samochodów, jakiś warsztat? „Utylizowanie” w ten sposób dużych gabarytów Mesjasz wiąże z uciążliwością systemu. Sam ostatnio robił remont domu. Miał worki po cemencie, skrawki styropianu. Gmina tego nie odbiera. Musiał wynająć kontener za 1000 zł.

– Drogo, ale ktoś świadomy ekologicznie jak ja, zapłaci. Natomiast inny wywiezie odpady do lasu. Nawet jak zostanie przyłapany, zapłaci maksymalnie 500 zł – tłumaczy Mesjasz. – Uprzątnięcie rowów należy do zarządu dróg, ale zwyczajowo staramy się je sprzątać. Sami organizujemy akcje sprzątania lasu z uczniami. I nawet, gdy nam się wydaje, że tym razem jest czysto, po akcji jest zapelnionych 12 worków. Sprzątanie zlecamy też firmom. Nie ukrywam, że czekamy, aż śmieci uzbiera się więcej, by ich uprzątnięcie się opłacało. Większe sprzątania urządzamy po zimie i po sezonie grzybobrania. Nasi dwaj strażnicy działają. Jeśli złapiemy kogoś na gorącym uczynku, natychmiast wymierzamy maksymalny mandat 500 zł. Zdarza się to jednak bardzo rzadko. Nawet

jeśli znajdziemy w wyrzuconych śmieciach zapłatą fakturę, trudno udowodnić przedsiębiorcy, że to on wyrzucił śmieci. Możemy jedynie płać i sprzątać. Ratujemy się sprawdzaniem obrazu z kamer, ale 12 tys. to nie sposób objąć monitoringiem. Teraz Ministerstwo Środowiska chce podniesienia kar za śmiecenie. Moim zdaniem, musi za tym pójść

Wielu rolników traktuje ścieki jako nawóz.

poważniejsza zmiana legislacyjna, żeby np. móc wymierzyć karę miesięcznego sprzątania lasu za darmo. Najbardziej boli, gdy gmina z terenu naszego nadleśnictwa pisze: ktoś wyrzucił śmieci, uprzątnijcie. Ale zapewniam, że wciąż będziemy robić więcej niż mniej. Choć naszym zadaniem nie jest sprzątanie.

Smog? Nie u nas

– Jaki smog? Smog, to macie w miastach – mówi mieszkanka małej gminy na Mazowszu.

Czyżby? Na wsiach brakuje mierzniaków jakości powietrza. Ale jak w Godowie nieopodal granicy polsko-czeskiej zainstalowano takowy, jakość powietrza okazała się tragiczna. Godów co roku trafia do

pierwszej dziesiątki najbardziej zanieczyszczonych miejscowości w Unii Europejskiej. Podobne parametry z pewnością pokazywałyby mierniki zimą w większości polskich wsi. W 95% jest to efekt „kopciuchów”, czyli kotłów opalanych węglem i odpadami. Nie bez winy są też właściciele pieców na ekogroszek. Co znaczy w tym przypadku „eko”?

Zwykły, pokruszony węgiel. Dlatego stacje diagnostyczne, proste czujniki zamontowane np. na budynku urzędu gminy, na mieszkańców mogłyby podzielać otrzeźwiająco. Najprostsza stacja pomiarowa kosztuje 2-3 tys. zł. Urządzenie zaopatrzone w tablicę ledową to wydatek kilku tysięcy.

Domy jednorodzinne stanowią niemal 60% wszystkich budynków na wsiach, a większość z nich ma piece węglowe zasypowe o przestarzałej technologii, generujące dziesięciokrotnie więcej pyłów niż piece najnowszej generacji. W kopciuchach spalane są tony śmieci i tworzyw sztucznych.

„Regulacje prawne dotyczące samorządów nie gwarantują ich aktywnej roli w walce ze smogiem i nie określają precyzyjnie ich udziału w realizacji programu „Czyste Powietrze”, wskazują autorzy raportu na temat smogu „Wykorzystanie potencjału OZE w walce ze smogiem na obszarach wiejskich”. Ich zdaniem powinny być większe zachęty do wymiany pieca na odnawialne źródła energii. Oraz wysokie kary za palenie odpadami. Jak zauważają, najtańszym ekologicznym sposobem ogrzewania i podgrzewania ciepłej wody byłoby połączenie pompy ciepła z instalacją fotowoltaiczną.

Eksperti niezbyt pochlebnie oceniają też rządowy program „Czyste Powietrze”. Dotacje są skierowane do osób ze zbyt niskim progiem dochodowym, co ogranicza liczbę potencjalnych beneficjentów. Nie zachęca do kompleksowej termomodernizacji budynków i zmiany sposobu pozyskiwania ciepła. Jedynie masowe wykorzystanie odnawialnych źródeł energii w walce ze smogiem gwarantuje radykalne zmniejszenie poziomu zanieczyszczenia powietrza na polskiej wsi.

Beata Igielska

Od 1 listopada 2018 r. straż miejska ma uprawnienia, by karać mandatem za nieprzestrzeganie postanowień uchwał antysmogowych. Podstawą prawną jest Ustawa z 14 grudnia 2012 r. o odpadach, Dz.U.2013.21 z dnia 8.01.2013 r.

Art. 155. [Nakaz prowadzenia termicznego przekształcania odpadów w spalarniach odpadów lub we współspalarniach odpadów] Termiczne przekształcanie odpadów prowadzi się wyłącznie w spalarniach odpadów lub we współspalarniach odpadów, z zastrzeżeniem art. 31.

Art. 191. [Naruszenie nakazu termicznego przekształcania odpadów w spalarni odpadów lub współspalarni odpadów] Kto, wbrew przepisowi art. 155, termicznie przekształca odpady poza spalarnią odpadów lub współspalarnią odpadów podlega karze aresztu albo grzywny.

Marek Czarkowski

Zapewne 99% Polaków nie ma pojęcia, kim są Krzysztof „Kris” Matyjaszewski czy Frank Wilczek, zapewne nigdy nie słyszało o Harrym Kroto, Hilarym Koprowskim czy Joannie Karinie Hoffman. A szkoda.

„Kris” Matyjaszewski to absolwent Politechniki Łódzkiej i moskiewskiego Instytutu Petrochemicznego, dziś profesor Carnegie Mellon University w Pittsburghu, autor 20 książek i ponad 1000 recenzowanych artykułów, prawdopodobnie najczęściej cytowany chemik na świecie. Prof. Hilary Koprowski to absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, twórca pierwszej w świecie skutecznej szczepionki przeciw wirusowi polio, wywołującemu chorobę Heinego-Medina. Frank Wilczek to matematyk i fizyk teoretyk, profesor Massachusetts Institute of Technology, laureat Nagrody Nobla w roku 2004. Sir Harold Walter Kroto jest bardziej znany jako Harry Kroto – chemik, noblista z roku 1996, związany z Uniwersytetem Sussex. Jego rodzina pochodziła z Bojanowa w Wielkopolsce, a ojciec nazywał się Krotoschiner (czyli Krotoszyński). A Joanna Karina Hoffman to córka reżysera Jerzego Hoffmana, absolwentka MIT. Była bliską współpracownicą Steve’a Jobsa, współtwórczynią sukcesów firmy Apple.

Wszyscy oni, i bardzo wielu innych, odnieśli sukces według ukochanego przez Polaków scenariusza, czyli za granicą. Bo od pokoleń wiadomo – nad Wisłą to niemożliwe.

Stracone złudzenia

Nasi politycy, bez względu na poglądy, gdy mówią o stanie nauki polskiej, podkreślają ogromne możliwości, jakimi dysponują rodzime uniwersytety i instytuty naukowo-badawcze. I tak jak prezydent Andrzej Duda pociesza się słowami: „Jesteśmy inteligentnym narodem, jesteśmy ludźmi, którzy wiele zrobili dla świata na przestrzeni historii właśnie jeżeli chodzi o rozwój naukowo-techniczny”.

Mają przy tym świadomość, że dziś Polska niewiele może zaoferować młodym, dobrze wykształconym ludziom. 1 października 2018 r. podczas inauguracji nowego

Ciemny horyzont

Unijne dotacje ujawniły nędzę polskiej nauki



Pomorski Park Naukowo-Technologiczny w Gdyni kosztował 183 mln zł.

roku akademickiego na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie premier Mateusz Morawiecki mówił: „W ciągu ostatnich 25 lat z Polski wyjechało 25-30 tys. lekarzy, co oznacza, że nasz kraj – wychodzący z biedy po okresie PRL – finansował bogatym państwom Zachodu znakomitych polskich lekarzy”.

Powinien dodać, że także fizyków, matematyków, biologów, chemików i inżynierów najrozmaitszych specjalności. Wyjeżdżali ci, którzy dobrze znali języki obce i mieli doświadczenia w kontaktach z zachodnimi placówkami badawczymi.

Proces ten będzie się pogłębiał, ponieważ dzięki członkostwu w Unii Europejskiej młodzi Polacy mają zapewniony dostęp do zagranicznych tanich kredytów studenckich. I jeśli tylko chcą, mogą wybrać studia na francuskich, niemieckich, włoskich, czy brytyjskich uczelniach. Jest to tym bardziej sensowne, że we wszelkich międzynarodowych rankingach rodzime politechniki i uniwersytety wypadają bardzo słabo. Na przykład w „Times Higher Education World University Rankings 2020”, który

obejmuje 1400 uczelni z 92 krajów, najlepszy nasz uniwersytet – Jagielloński – znalazł się między szóstą a ósmą setką w towarzystwie takich potęg jak hiszpański University of the Balearic Island czy Beni-Suef University w Egipcie. Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Politechnika Gdańska zmieściły się w przedziale 801-1000. A krakowska Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica poniżej tysięcznego miejsca. Inne nasze *Almae Matris* wypadły jeszcze gorzej.

Politycy uważają, że największym problemem jest brak środków. W latach 90. doszło do tragedii – na naukę z budżetu wydawano symboliczne środki. Pochodzący z Polski francuski uczony Georges Charpak, laureat nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, nazwał przeznaczanie 0,8% PKB na szkolnictwo wyższe i 0,47% PKB na naukę – sabotażem i zbrodnią. Ten stan trwał do roku 2004, gdy Polska została pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej. Pojawiły się pierwsze większe pieniądze w formie dotacji na badania i rozwój oraz nadzieja, że teraz będzie lepiej. ▶

- Jak się okazuje, niewiele się zmieniło. Co prawda rodzima nauka ma coraz więcej środków, lecz według unijnych rankingów stoimy w miejscu. I to w końcówce tabeli.

Pieniądze cudów nie czynią

Fakt, że dzięki unijnym dotacjom polskie wyższe uczelnie dysponują nowoczesnymi, coraz lepiej wyposażonymi laboratoriami i placówkami badawczymi, teoretycznie powinien wpłynąć na poprawę wyników prac, większą liczbę wynalazków i wdrożeń w przemyśle. Dzięki czemu polska gospodarka stałaby się nowocześniejsza, a uczeni mogliby sięgnąć po kolejne środki. W praktyce od lat liczy się jedno – kto najskuteczniej „zaabsorbuje” przyznane Polsce pieniądze. Bez względu na efekty.

I tak Wrocławskie Centrum Badań „EiT+” uzyskało dotacje na kwotę blisko 1 mld zł, by potem niemal zbankrutować. I gdyby nie pomoc państwa, do tego by doszło. Centrum Badań Przedklinicznych i Technologii

prokuratura i Centralne Biuro Antykorupcyjne. Miało tam bowiem dojść do nieprawidłowości.

Ponad 194 mln zł włożono w budowę Centrum Czystych Technologii Węglowych. Ciekawe tylko, czym za kilka lat będą się zajmowali pracujący w nim naukowcy, skoro nasz kraj odchodzi od technologii węglowych w energetyce, co oznacza systematyczne ograniczanie wydobycia i zamknięcie kopalń?

Unijne Horyzonty nie dla nas

Znamienny jest fakt, że o przydziale wszystkich tych dotacji decydowano w Polsce. Ale do wzięcia były też znaczne środki na naukę dzielone w Brukseli. Pochodziły one z funkcjonujących od 1984 r. i zarządzanych bezpośrednio przez Komisję Europejską tzw. programów ramowych, których celem było finansowanie badań naukowych i rozwoju technologicznego w krajach Unii. Zakładano, że dzięki międzynarodowej współpracy naukowców nastąpi szybszy

roku 2018 na 28 krajów unijnych, jeśli chodzi o pozyskane środki, Polska z 237,7 mln euro znajdowała się na 15. miejscu, wyprzedzając nieco Węgry i Czechy. Wydawać by się mogło, że nie jest tak źle, tyle że Węgry liczą 9,8 mln mieszkańców, Czechy – 10,6 mln, a nasz kraj 38 mln. Pierwsza trójka to Niemcy (4,37 mld euro), Wielka Brytania (3,93 mld euro) i Francja (2,73 mld euro).

Nasi uczeni i inżynierowie nie kwapią się do składania wniosków o granty i udziału w konkursach. Było tak najpierw w ramach Siódmego Programu Ramowego, a następnie programu Horyzont 2020. Dr Jolanta Adamiec, autorka opracowania „Finansowanie badań naukowych z budżetu Unii Europejskiej. Wnioski dla Polski”, stwierdza: „Polscy naukowcy i inżynierowie wydają się wyjątkowo pasywni na tle Unii Europejskiej. Na jednego z nich przypada średnio 8,5 aplikacji w porównaniu z 27 przeciętnie dla całej UE. W efekcie ponad połowa środków z Horyzontu 2020 (czyli ponad 38 mld euro – przyp. aut.) trafiła do zaledwie pięciu państw: Wielkiej Brytanii, Włoch, Niemiec, Hiszpanii i Francji. Z drugiej strony państwa te przodują także pod względem własnych wydatków na badania i rozwój, odpowiadając za ponad 70% inwestycji w infrastrukturę badawczo-rozwojową realizowanych w Unii”.

Jak wynika z badań na temat wykorzystania przez polskich beneficjentów dotacji unijnych w ramach programu Horyzont 2020 zrealizowanych w roku 2017 na zlecenie Ministerstwa Inwestycji i Rozwoju, cechuje nas niska innowacyjność prowadzonych działań oraz składanych wniosków. Kiepsko też nam idzie tworzenie międzynarodowych konsorcjów. Najczęściej ograniczamy się do bycia partnerami w projekcie kierowanym przez kogoś innego. Niska jest mobilność polskich uczonych spowodowana np. słabą znajomością języków obcych. Do tego większość polskich naukowców żyje z prowadzenia wykładów, a nie prac badawczych, więc z czasem utracili oni umiejętności niezbędne w pracy laboratoryjnej.

W praktyce oznacza to, że jesteśmy skazani na dreptanie w miejscu. Fakt, że w ostatniej dekadzie w rankingach unijnych obejmujących naukę oraz badania i rozwój

Wydawać by się mogło, że polscy uczeni powinni aktywnie zabiegać o unijne granty. Nic bardziej mylnego!

(CePT), wybudowane przez Warszawski Uniwersytet Medyczny, kosztowało ponad 392 mln zł, a Centrum Zaawansowanych Materiałów i Technologii, którego właścicielem jest Politechnika Warszawska – 384 mln zł. Każdy uniwersytet, każda politechnika w kraju miała ambicję budowy nowoczesnych laboratoriów, najlepiej bio- i nanotechnologicznych. Tak powstały krakowski Akademicki Centrum Materiałów i Nanotechnologii oraz Małopolskie Centrum Biotechnologii (MCB). Lecz ani na jotę nie poprawiliśmy swoich notowań w tych obszarach.

W stolicy Wielkopolski za blisko 100 mln zł powstało Centrum Badawcze Polskiego Internetu Optycznego, a na Wybrzeżu Gdański Park Naukowo-Technologiczny – za ponad 164 mln zł. W Gdyni zaś Pomorski Park Naukowo-Technologiczny – za 183 mln zł. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie za ponad 143 mln zł wybudował ECOTECH-COMPLEX – Człowiek, Środowisko, Produkcja, którym pod koniec listopada 2019 r. zainteresowały się

rozwój dziedzin priorytetowych z punktu widzenia polityki, gospodarki i społeczeństwa. Jako zasadę przyjęto podział środków w ramach konkursów grantowych. Realizowany w latach 2007-2013 Siódmy Program Ramowy miał budżet w wysokości 53,22 mld euro. Program na lata 2014-2020 o nazwie Horyzont 2020 zamknął się kwotą 75,92 mld euro. Planowany na lata 2021-2027 program Horyzont Europa ma mieć wartość 100 mld euro. Wydawać by się mogło, że polscy uczeni, którzy od zawsze narzekali na brak środków, powinni aktywnie zabiegać o brukselskie granty. Otóż nic bardziej mylnego!

W roku 2018 Europejski Trybunał Obrachunkowy dokonał oceny funkcjonowania programu Horyzont 2020. Wynikało z niej, że do początku roku 2017 złożono ponad 100 tys. wniosków o dofinansowanie. Większość projektów miała być realizowana przez konsorcja międzynarodowe. Zauważono też, że prawie dwa razy więcej wniosków pochodziło z krajów tzw. Starej Unii. W połowie

Polska zajmowała ostatnie miejsca, rywalizując z Rumunią i Bułgarią, świadczy o nas źle. Nic dziwnego, że nie cieszymy się opinią kraju, w którym rodzą się nowe teorie naukowe, prowadzone są prace badawczo-rozwojowe, a przedsiębiorstwa słyną z innowacyjności. Utrudnia to nawiązywanie nowych kontaktów mogących zaowocować wspólnymi

Niebezpieczne są więc obawy, że w ramach kolejnego programu ramowego Horyzont Europa rodzime wyższe uczelnie i instytuty naukowo-badawcze niewiele uszczkną z zapowiadanych 100 mld euro. Będzie się utrwałała niska pozycja polskich uczelni. A co za tym idzie, także przemysł skazany zostanie na starzejące się

gospodarczego na nowoczesnych technologiach, skazany jest na porażkę. Może konkurować z innymi jedynie niskimi kosztami pracy i niskimi podatkami. Dobrze rozwinięta nauka, szybkie wdrażanie nowoczesnych technologii, dobrze wykształcona i obyta w świecie kadra to główne warunki powodzenia. Tego wszystkiego nam brakuje. A przed Polską

Kraj, który nie jest w stanie oprzeć swojego wzrostu gospodarczego na nowoczesnych technologiach, skazany jest na porażkę.

projektami. Jeśli nawet komuś to się udaje, jest to wyjątek, a nie reguła.

Dochodzi do tego praktyka polegająca na tym, że konsorcja, których uczestnikami są podmioty z wysoko rozwiniętych krajów zachodnich, korzystając ze zdobytego doświadczenia są w stanie składać nowe atrakcyjne wnioski i tym sposobem pozyskiwać dofinansowanie. Takie konsorcja nie dopuszczają nowych partnerów, więc nie mamy czego tam szukać.

technologie i powolną utratę konkurencyjności. Chcąc utrzymać dystans, będziemy musieli płacić za niemieckie, francuskie, brytyjskie technologie, finansując w ten sposób badania i rozwój u sąsiadów.

Jakiś czas temu politycy Prawa i Sprawiedliwości mówili o zagrożeniu, jakim jest „pułapka średniego rozwoju”. Dziś na naszych oczach spełniane są warunki, byśmy w niej utknęli. Kraj, który nie jest w stanie oprzeć swojego wzrostu

stoi wielkie wyzwanie w postaci konieczności dokonania transformacji energetycznej całej gospodarki. Trzeba będzie nie tylko zamykać kopalnie, ale też zapewnić mieszkańcom Śląska nowe miejsca pracy. Kto będzie to robił?

Gdyby nie analizy wykorzystania środków unijnych, trudno byłoby się zorientować, jak bardzo odstajemy od sąsiadów. Fakt, że jesteśmy członkami Unii Europejskiej, sprawia, że w miarę obiektywnie możemy porównać się z innymi. Szkoda tylko, że płyną z tego bardzo smutne wnioski.

Marek Czarkowski

Szkolenia WORDPRESS

Dedykowane szkolenia dla firm:

- projektowanie stron internetowych
- zarządzanie stroną www
- administrowanie stroną www
- modyfikacja / rozbudowa strony
- sklep WooCommerce

www.cmswordpress.edu.pl



Mateusz Mazzini

Tej decyzji łatwo przypiąć łatkę politycznej poprawności. Dopiero czwarta kobieta w historii Stanów Zjednoczonych z oficjalną nominacją jednej z dwóch największych partii, w dodatku pierwsza pochodzenia afroamerykańskiego. Znana z aktywności na rzecz praw kobiet, choć daleka od jej najradykałniejszych form. Rozpoznawalna w mediach, z silną pozycją w krajowej polityce i z czteroletnim doświadczeniem w Kongresie. Jednocześnie wciąż uznawana za młodą twarz, relatywnie nową na scenie politycznej. Mało kontrowersyjna, choć wyrazista na newralgicznych płaszczyznach, jak reforma wymiaru sprawiedliwości. Potencjalnemu przyszłemu szefowi nie odbierze głosów i raczej nie zagrozi. Nie będzie wychodzić przed szereg, ale nie da się też permanentnie spychać w cień. Najprawdopodobniej znajdzie sobie po prostu wycinek politycznej rzeczywistości, który będzie jej domeną w Białym Domu. Słowem – idealny „numer 2”, jak w amerykańskiej polityce zwykło się nazywać kandydatów na stanowiska z przedrostkiem „vice”.

Ogłoszona w zeszłym tygodniu decyzja Joe Bidena o nominowaniu senator Kamali Harris na stanowisko wiceprezydent w przypadku listopa-

Pierwsza pani prezydent

Czy Kamala Harris, stojąc u boku Joe Bidena, naprawdę zmieni amerykańską politykę?



Kamala Harris jest ambitna, nie chce się zatrzymywać w politycznym rozwoju.

dowej wygranej nie wzbudziła jednak aż takiej fali entuzjazmu, na jaką być może liczyli partyjni sztabowcy. Stało się tak z kilku powodów.

Po pierwsze, podobnie jak wszystko na świecie, amerykańska polityka też się zmienia. Sam fakt nominowania niebiałej kobiety nie zapewnia już nikomu głosów za darmo. Te czasy się skończyły nawet w rasowo podzielonej i miejscami ultrakonserwatywnej Ameryce. Nie tylko kampania Hillary Clinton, ale też przebojowe wystąpienia w Kongresie Alexandrii Ocasio-Cortez czy Ilhan Omar przyzwyczyły elektorat liberałów i centrystów do tego, że polityką nie rządzą już sami męczyźni.

Po drugie, dla wielu wyborców nie do przełknięcia jest sam Biden. Reprezentujący ścisłe polityczne centrum, a przede wszystkim poprzednią polityczną epokę, czasy nie tylko Obamy, ale też Clintonów, jest postrzegany przez progresywne środowiska bardziej jako wielki hamulcowy niż wielki reformator.

Po trzecie wreszcie, sama Kamala Harris ma etykietkę koncesjonowanej rewolucjonistki. Jej dorobek w służbie publicznej to mieszanina deklaracji poparcia dla głębokich zmian w amerykańskiej rzeczywistości i faktycznych działań, które tę samą rzeczywistość betonowały.

Z wykształcenia prawniczka, karierę w administracji zaczynała od

pracy w prokuraturze kalifornijskiego hrabstwa Alameda. Potem trafiła poziom wyżej, do rejonu w San Francisco. Tam przeskakiwała kolejne zawodowe szczeble, aż równo dekadę temu stanęła do wyborów na prokuratora stanowego całej Kalifornii. To ważny punkt nie tylko w karierze jej samej, ale w wielu życiorysach późniejszych gwiazd amerykańskiej polityki. Prokuratorzy są tam bowiem urzędnikami wyłanianymi w wyborach powszechnych, mają demokratyczną legitymację do sprawowania urzędu, przez co często ich decyzje postrzegane są w kontekście przynależności partyjnej i ideologicznych deklaracji, a nie pragmatycznego podejścia do prawa i działania wymiaru sprawiedliwości. W dodatku inaczej niż w wielu czysto politycznych wyścigach, kandydatów na prokuratorów jest często więcej niż dwóch, więc głosowanie nie jest

zero-jedynkowym wyborem między dwoma prawnikami. Dlatego kampania prokuratorska często stanowi test zdolności budowania politycznych struktur i przede wszystkim zbierania poparcia wśród możliwych darczyńców. Bo bez pieniędzy w amerykańskiej polityce nie da się wygrać absolutnie niczego.

Harris, córka imigrantów z Jamajki i Indii, swój test zdała, chociaż ledwo ledwo. Wprawdzie wygrała wybory z republikaninem Steve'em Cooleyem, ale jej przewaga wyniosła

głównie za handel miękkimi narkotykami i ich posiadanie. Jednak ze zdecydowaniem i skutecznością ścigała właśnie tego typu wykroczenia. Fakt ten wyciągnięto przeciwko Harris po latach w jednej z debat praw wyborczych Partii Demokratycznej w 2019 r. Tulsi Gabbart, wywodząca się z Hawajów członkini Izby Reprezentantów, zarzuciła jej wówczas systemowe prześladowanie posiadaczy i konsumentów marihuany. Od Kamali Harris domagała się nawet publicznych przeprosin. Eksprokurator

reakcję władz federalnych i nielekceważenie zagrożenia. W trakcie antyrasistowskich protestów po śmierci George'a Floyda często pojawiała się wśród demonstrantów, występowała też publicznie z propozycjami reformy wymiaru sprawiedliwości i wyeliminowania tzw. profilowania rasowego. Dobrze rozumie też grę symboli w polityce. Jeśli już pokazuje się poza formalnymi okazjami, często ma na sobie ubrania czy emblematy nawiązujące do konkretnych ruchów i postulatów społecznych. Jak chociażby tęcza bluzę, w której obfotografowały ją już chyba wszystkie największe gazety w USA. Na plus należy zapisać jej też wyrazisty głos sprzeciwu wobec kandydatury Bretta Kavanaugh na sędziego Sądu Najwyższego. Prawnik oskarżony o molestowanie znajomej z czasów licealnych został ostatecznie zaprzyszczony w 2018 r., ale Harris była jedną z liderów feministycznej krucjaty przeciwko niemu i walki o prawa ofiar napadów seksualnych.

Przed wszystkim jednak do kandydatury Bidena wnosi entuzjazm, energię i sporo świeżego powietrza. Sztabowcy wzięli ją do zespołu również dlatego, że jest ambitna, nie chce się zatrzymywać w politycznym rozwoju. Wycofanie się z kampanii prezydenckiej potraktowała jako lekcję, a nie wielką katastrofę. Chce wrócić do walki o najwyższe cele, tak przynajmniej twierdzi. Najpierw jednak zapowiada, że zrobi wszystko,

Do kandydatury Bidena Harris wnosi entuzjazm i energię.

mniej niż pół punktu procentowego. W liczbach bezwzględnych było to nieco ponad 74 tys. głosów. Od początku sprawowania urzędu chciała zbudować wokół siebie aurę otwartości na reformy. Sama wymyśliła sobie nawet przydomek – „progresywna pani prokurator”. I choć na początku rzeczywiście sprawiała wrażenie, jakby głębokie zmiany ją interesowały, a nawet stanowiły realny polityczny cel, szybko zesła z rewolucyjnej ścieżki. Jeszcze w czasie kampanii z 2010 r. opowiedziała się jednoznacznie przeciw karze śmierci, ale już po wyborach wielokrotnie jej broniła. Złożyła nawet apelację przeciw decyzji sędziego federalnego, który karę tę uznał za sprzeczną z amerykańską konstytucją. Argumentował, że sposób jej stosowania w Kalifornii jest dysfunkcyjny, bo w 2014 r., kiedy ogłaszał decyzję, na terenie stanu przebywało prawie 900 osób z wyrokiem śmierci, a kar tych wykonano od 1978 r. jedynie 13. Dla Harris tłumaczenie to było niewystarczające, zwracała też uwagę na niedociągnięcia formalne i proceduralne w decyzji sędziego. Jej sprzeciw miał jednak wymiar polityczny – pani prokurator nie chciała antagonizować sporej części centrowego elektoratu, która cały czas popiera karę śmierci w Kalifornii.

Owszem, możliwa zastępczyni Joe Bidena podejmowała próby ambitnych projektów. Uruchomiła chociażby program „Back on Track” (metaforycznie „powrót do gry”), ułatwiający powrót do społeczeństwa przestępców z pojedynczym wyrokiem niskiej szkodliwości,

na zarzuty nie umiała odpowiedzieć i momentalnie posypała się jej linia obrony. Nie było przeprosin ani kontrofensywy. I wkrótce potem nie było już kampanii prezydenckiej. Harris nie była w stanie zaistnieć wśród establishmentu demokratów ze Wschodniego Wybrzeża, szybko wysychały też źródła finansowania. Musiała się wycofać, bo i tak nie miała szans ani z Bidenem, ani z pozostającym jeszcze wtedy w grze Bernieem Sandersem.

Niemal od razu zaczęto ją jednak wymieniać jako kandydatkę na „numer 2”. Jak ważna to rola w amerykańskiej polityce, sam Joe Biden, wiceprezydent obu kadencji Baracka Obamy, wie akurat doskonale. Dlatego decyzji nie chciał podjąć od razu,

Budując wizerunek osoby otwartej na reformy, wymyśliła sobie przydomek – „progresywna pani prokurator”.

kalkulował. Czy Harris będzie lepsza od Elizabeth Warren, kandydatki doskonalonej merytorycznie, w dodatku z nośnymi postulatami ścisłej kontroli nad gigantami technologicznymi, ale jednak wywodzącej się z białych elit partyjnych? Ostatecznie jego sztab zdecydował się na związaną z Kalifornią prawniczkę, która z prokuratury awansowała w 2017 r. do Senatu. W dużej mierze pomogła mu w tym jednak sama Harris i jej bardzo skuteczna działalność polityczna w ostatnich ośmiu miesiącach.

Kiedy do Stanów doszła pandemia koronawirusa, Harris jako jedna z pierwszych apelowała o szybką

by listopadowe wybory były dla głosujących bezpieczne. Koronawirus rzucił Stany Zjednoczone na kolana, a Donald Trump już przemycył pomysły przedłużenia swojej kadencji. Dla Bidena porażka w tym roku byłaby zaprzeczaniem wielkiej, a jednocześnie ostatniej szansy na stanie się głównym lokatorem Białego Domu. Dla Harris – może nawet końcem marzeń o kolejnych sukcesach w federalnej polityce. Wygrana natomiast da jej wielką przestrzeń do działania, w dalszej perspektywie pewnie też szefostwo Partii Demokratycznej. A później do zrobienia zostanie już tylko jeden krok. ■

Pożar w Kraju Cedrów

Libańczycy domagają się nie tylko wymiany rządu, ale reformy, która pozwoli na obejmowanie stanowisk według kompetencji, a nie wyznania



Obecne demonstracje to w rzeczywistości kontynuacja protestów, które wybuchły już w zeszłym roku, Bejrut, 11 sierpnia 2020 r.

Jakub Katulski

W poniedziałek 10 sierpnia do dymisji podał się cały libański rząd premiera Hassana Diaba. Gabinet, którego głównym zadaniem miało być uporanie się z głębokim kryzysem, w jakim pogrążony jest Kraj Cedrów, nie sprostał swojej misji i po niecałych ośmiu miesiącach od zaprzysiężenia musiał ustąpić na skutek coraz bardziej masowych demonstracji. Choć może się wydawać,

prezydenta Michela Aouna złożył Sad al-Hariri, którego rząd Libańczycy uważali za skorumpowany. Dymisja została przyjęta, ale al-Hariri pozostał premierem do zaprzysiężenia Diaba w styczniu 2020 r.

Październikowe demonstracje antyrządowe wybuchły po tym, jak rząd ogłosił rozwiązania mające ratować podupadający budżet kraju. Ich częścią były nowe podatki, w tym podatek na tytoń, opłaty nałożone na użytkowników komunikatorów

Prezydent Libanu musi być maronitą, premier sunnitą, a przewodniczący parlamentu szyitą.

że antyrządowe wystąpienia są wynikiem tragicznej w skutkach eksplozji w bejruckim porcie, to w rzeczywistości są one kontynuacją protestów, które wybuchły już w zeszłym roku. Diab nie jest też pierwszym premierem, który ustąpił w trakcie tzw. rewolucji październikowej. 29 października 2019 r. rezygnację na ręce

internetowych, takich jak WhatsApp, oraz podniesienie opłat za paliwo. Nie spodobało się to Libańczykom, którzy masowo wyszli na ulice. I choć rząd bardzo szybko wycofał się ze swoich propozycji, protestów nie udało się ugasić. Na transparentach pojawiały się hasła domagające się uporządkowania

sytuacji gospodarczej kraju, zlikwidowania korupcji w sektorze publicznym i konfesjonalizmu w systemie politycznym.

Wielu Libańczyków uważa, że to właśnie system, w którym najwyższe stanowiska państwowe rozdzielane są według wyznania, jest źródłem problemów. Liban jest najbardziej zróżnicowanym religijnie krajem Bliskiego Wschodu. Oficjalnie uznaje 18 religii i wyznań. Największymi grupami religijnymi w zamieszkanym przez 6 mln ludzi kraju są maronicki chrześcijanie, sunnici i szyici. Między nich rozdzielone są najważniejsze stanowiska w kraju. Prezydent zawsze musi być maronitą, premier sunnitą, a przewodniczący parlamentu szyitą. Zgromadzenie Narodowe, w którym zasiada 128 delegatów, podzielono po równo między chrześcijan i muzułmanów. Taki podział kraju, z drobnymi zmianami, obowiązuje już od przyjęcia niepisanego Paktu Narodowego w 1943 r., pozwalającego Libanowi na osiągnięcie niepodległości od francuskiego mandatariusza.

Oparty na wyznaniu system potwierdzony został także przez porozumienie z Taif, podpisane w 1989 r., by zakończyć trwającą od 1975 r. krwawą wojnę domową, w którą zaangażowane były także Izrael i Syria. Układ z Taif miał sprawić, że nigdy więcej nie dojdzie już do walk między różnymi grupami etnicznymi i religijnymi. Dzisiaj, 31 lat po zakończeniu konfliktu, wielu Libańczyków jest przekonanych, że ten argument jest już nieaktualny, a podział władzy sprzyja jedynie korupcji. Wiedząc, że protestujących konieczne są głębokie reformy, które pozwolą na obejmowanie stanowisk na podstawie kompetencji, a nie wyznania. Niektórzy uważają też, że władza wcale nie jest równo rozdzielona między wyznania, a w rzeczywistości w Libanie ścierają się interesy zagranicznych mocarstw.

Powitanie bez prądu

W libańskim systemie politycznym obecne partie polityczne wykształciły się przede wszystkim z bojówek z czasów wojny domowej. Oprócz tego okrutnego konfliktu kraj wycierpiał wiele – od dwóch wojen z Izraelem, przez syryjską okupację, aż po

zamachy na przywódców. Dawni wrogowie, którzy podczas wojny domowej występowali w mundurach, dzisiaj w garniturach brylują na salonach. W Zgromadzeniu Narodowym szycki Hezbollah, uznawany m.in. przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię za organizację

Funt libański ma dzisiaj tak niską wartość, że wielu obywateli nie stać na jedzenie.

terrorystyczną, zasiada razem z chrześcijańskimi Falangami Libańskimi, które w 1982 r. dokonały masakry palestyńskich uchodźców w obozach Sabra i Szatila, co odbyło się z pełnym przyzwoleniem izraelskich władz wojskowych. Libańczycy mają już dość życia pod rządami układu stworzonego przez różnych watazków i bojowników, co wyraźnie pokazali, gdy po eksplozji w porcie ich kraj odwiedził Emmanuel Macron.

Kiedy francuski prezydent przyleciał 7 sierpnia do Bejrutu, żeby zobaczyć zniszczenia, media donosiły, że dotarł na miejsce przed lokalnymi politykami i spotkał się tam z mieszkańcami, którzy prosili go o pomoc, mówiąc, że watażkowie manipulowali nimi przez lata. Macron obiecał, że francuska pomoc dla Libanu trafi bezpośrednio do ludzi i organizacji pozarządowych. Spotkanie Libańczyków z Macronem było pełne emocji i nadziei. Francja nie jest jednak fundacją charytatywną i jej działania wiążą się z zabezpieczeniem własnych interesów na Bliskim Wschodzie, które wynikają z lat wspólnej historii, kiedy Liban był terytorium mandatowym należącym do Francuzów. Dla wielu Libańczyków jest to jednak kwestia wtórna, bo ich kraj od lat jest krytycznie źle zarządzany. Francuski prezydent sam zresztą przekonał się o złej sytuacji, podczas ceremonii powitalnej z udziałem Michela Aouna doszło bowiem do awarii elektryczności. W Libanie to nic nadzwyczajnego, bo do wielogodzinnych przerw w dostawach prądu dochodzi codziennie.

Macron zobowiązał się, że zorganizuje konferencję z udziałem Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych, na której omówiona zostanie humanitarna sytuacja Kraju Cedrów, wykraczająca poza kłopoty spowodowane wybuchem azotanu amonu.

Funt libański ma dzisiaj tak niską wartość, że wielu obywateli nie stać na jedzenie. Zresztą w wielu sklepach po prostu brakuje żywności. Tego problemu szybko się nie naprawi, bo Liban importuje większość produktów spożywczych, a 60% towarów przybywało przez port w Bejrucie.

Drugi największy port, mieszczący się w Trypolisie, przygotowuje się do przejęcia roli stołecznego portu, ale nie ma infrastruktury, która pozwoliłaby na zaspokojenie potrzeb całego kraju.

Wysypisko przy lotnisku

Sytuacja jest krytyczna także w innych obszarach. Eksplozja w bejruckim porcie wyłączyła na pewien czas trzy szpitale, a pozostałe placówki ochrony zdrowia apelowały, by osoby z powierzchownymi ranami opatrzywały się same i nie przychodziły do szpitali. Dodatkowo ledwie dwa dni po eksplozji w kraju odnotowano

osoby zakażone. Wtedy protestujący Libańczycy posłuchali apelu władz i wielu z nich zrezygnowało z udziału w demonstracjach.

Uspokojeniu nastrojów nie sprzyja galopujące bezrobocie. Bank Światowy szacuje, że co roku na rynek pracy wkracza ok. 23 tys. młodych Libańczyków. Tylko co szósty z nich znajduje zatrudnienie. Z tego powodu niemal co drugi młody Libańczyk myśli o wyjeździe. Dzięki emigracji zarobkowej, zwłaszcza do bogatych krajów Półwyspu Arabskiego, wielu obywateli zapewnia byt sobie i rodzinie. Młodzi Libańczycy często myślą jednak o emigracji, bo nie przekonuje ich zarówno taki sposób życia, jak i brak perspektyw. Prezydent Aoun przekonywał jednak swego czasu, że głównym powodem wysokiego bezrobocia jest niechęć Libańczyków do przyjmowania gorzej płatnych posad i praca razem z syryjskimi uchodźcami.

Los 1,5 mln Syryjczyków przebywających w Libanie również jest tragiczny. Rodziny zmuszane są do przeżycia za grosze, a połowa dzieci w wieku szkolnym nie ma dostępu do edukacji. Ponadto Liban nie



Mieszkańcy Bejrutu prosili prezydenta Macrona o pomoc.

rekordową liczbę 355 nowych przypadków zachorowań na COVID-19. Pograżony w długach Liban może mieć poważne problemy z leczeniem chorych, o czym wprost mówił premier Diab w marcu, kiedy w szpitalach pojawiały się pierwsze

zdecydował się na wybudowanie obozów, w których mogliby mieszkać Syryjczycy. Wiele z nich wynajmuje pokoje w obozach, w których mieszkają uchodźcy palestyńscy.

Kolejnym problemem są składowane niemal wszędzie odpady. ▶

► Jedno z największych wysypisk śmieci, nazwane Costa Brava, usytuowane jest w sąsiedztwie jedyne- go cywilnego lotniska. Żerujące na wysypisku ptaki w każdej chwili mogą spowodować uszkodzenie silnika lądującego lub startującego samolotu i katastrofę. Śmieci są też problemem dla rybaków, którzy często wyławiają plastik zamiast ryb. Ministerstwo Rolnictwa wielokrotnie obiecywało, że poprawi ich sytuację, ale nie widać żadnych efektów tych działań.

Libańczycy narzekają też na dziką zabudowę, zwłaszcza drogich parcel zlokalizowanych na klifach, którymi naznaczone jest 225 km linii brzegowej kraju. Powstają tam budynki mieszkalne i ośrodki wypoczynkowe w miejscach niedostępnych dla przeciętnego mieszkańca. Choć deweloperzy są w stanie przedstawić stosowne pozwolenia, to mieszkańcy i aktywiści miejscy nie są przekonani, że zostały one zdobyte w legalny sposób. Głośnym przykładem była budowa ośrodka Lancaster Eden Bay, uruchomionego w 2017 r. na ostatniej publicznej plaży Bejrutu.

Tyle że plaże nie są bezpieczne. Do morza spływa bowiem część miejskich ścieków, powodując zanieczyszczenie. Zeszłego lata Reuters donosił, że niemal wszystkie publiczne plaże nie mieszczą się w określonym przez Światową Organizację Zdrowia zakresie oznaczającym

bezpieczny poziom szkodliwych substancji, pochodzenia zarówno biologicznego, jak i chemicznego. Z tego powodu w wielu miejscach obowiązuje zakaz kąpieli, co dodatkowo odstrasza turystów.

W całym roku 2019 Liban odwiedziło nieco ponad pół miliona gości. Izrael, z którym Liban pozostaje oficjalnie w stanie wojny, przyjął ich dziewięć razy więcej. Wielu podróżnych jest przekonanych, że Liban może mieć problemy z bezpieczeństwem, do czego z pewnością przyczyniają się doniesienia medialne i zła sława Hezbollahu. W rzeczywistości

Zbrojne skrzydło ugrupowania ma liczebność małej armii. Według ostatnich szacunków dysponuje 25 tys. bojowników i niemal 30 tys. rezerwistów. Taka siła, wraz ze wsparciem ze strony Iranu, sprawia, że trudne będzie odsunięcie organizacji od władzy. Jednak nie wszyscy Libańczycy tego chcą, Hezbollah uzyskał poparcie zapewniające mu 10% miejsc w Zgromadzeniu Narodowym.

Hezbollah wchodzi też w skład tzw. Sojuszu 8 Marca – grupy organizacji politycznych, które cieszą się zaufaniem Syrii i Iranu. Ich koalicjantem jest partia prezydenta Michela Aouna

Co roku na rynek pracy wkracza ok. 23 tys. młodych Libańczyków. Jedynie co szósty znajduje zatrudnienie.

jednak polskie MSZ i ministerstwa w innych krajach Europy odradzają jedynie podróże po określonych obszarach kraju, w szczególności wzdłuż granicy z pogrążoną w wojnie Syrią i po pograniczu libańsko-izraelskim.

Zmiana ministrów nie wystarczy

Te problemy negatywnie wpływają na libański budżet. Kolejne rządy prowadziły z Międzynarodowym Funduszem Walutowym lub Bankiem Światowym negocjacje w sprawie uzyskania pomocy finansowej. Już w 2018 r. Liban uzyskał pierwszą obietnicę otrzymania 11 mld dol. w formie grantów, pożyczek i dotacji, ale pieniędzy nie zobaczył do dzisiaj. Obecnie trwa kolejna runda negocjacji z MFW, lecz Bejrut nie może się porozumieć z funduszem w kilku kwestiach. Libańskie władze są przekonane, że MFW zawyża wartość libańskiego długu. Sami szacują dług na niecałe 20 mld dol., podczas gdy przedstawiciele funduszu mówią o ponad 60 mld. Przez to negocjacje od dawna stoją w miejscu.

Rozmowom tym sprzeciwia się Hezbollah, głównie dlatego, że fundusz domaga się gruntownych reform, które zabrałyby publicznej instytucji partiom i wymusiłyby wprowadzenie kontroli finansowych, choćby w agencjach celnych. Ograniczyłoby to wpływy Partii Boga (tak tłumaczy się nazwę Hezbollah), która jest dzisiaj chyba najsilniejszym graczem na krajowej scenie politycznej.

– popierany przez chrześcijan Wolny Ruch Patriotyczny. Właśnie ten Sojusz stał za odchodzącym premierem Hassanem Diabem. To komplikuje wyznaniowy system podziału władzy. Poprzedni premier, Sad al-Hariri kieruje sunnicką partią Strumień Przyszłości i opozycyjnym Sojuszem 14 Marca popieranym z kolei przez Stany Zjednoczone i Arabię Saudyjską. W tej sytuacji libański parlament staje się areną, na której ścierają się interesy nie tylko rozmaitych grup etnicznych i religijnych samego Libanu, ale również zagranicznych sił próbujących rozgrywać kraj według własnej wizji. Te wzajemnie wykluczające się interesy w polityce sprawiają, że wielu obywateli przekonanych jest, że sama zmiana ministrów nie poprawi ich sytuacji.

Znają to z doświadczenia, gdyż rząd Hassana Diaba był reklamowany jako technokratyczna władza, składająca się z samych ekspertów. Co więcej, podkreślano postępowość gabinetu, mówiąc, że jeszcze nigdy libański rząd nie miał tak wielkiej liczby kobiet na stanowiskach ministerialnych. Niestety, Diabowi i jego ministrom nie udało się poprawić sytuacji. Dlatego demonstrujący domagają się nie pozorowanego ruchu, jakim będzie mianowanie nowego premiera z poparciem dawnego układu. Libańska ulica domaga się reformy całego systemu, która umożliwi wprowadzenie do parlamentu nie tylko nowych twarzy, ale także nowych idei.

Jakub Katulski



Oko w oko



Tomasz Jastrun

W stronę Białorusi

O d niedawna prowadzę program internetowy w Halo Radio, w każdą środę między godz. 13 a 15 (gdy wpisze się w Google „Halo Radio”, pojawi się ramówka). To wolne radio, mało muzyki, radio gadane, powstało niedawno, jedna z wysepek, które mogą nam pomóc przetrwać czas smuty. Przepraszam, że reklamuję własny program, ale to też informacja, że jest takie radio, warto je wspierać. Od takich przyczółków też zależy, czy wyjedziemy cało z najazdu barbarzyńców. Radio ma eleganckie studio na Marszałkowskiej, z widokiem na plac Unii Lubelskiej, a ten widok, nagle z innej perspektywy, wzrusza mnie, bo w dzieciństwie plac Unii był najbliższym miejscem, które kojarzyło mi się z wielkim światem. No i była tam, i jest do dzisiaj straż pożarna.

Jestem teraz w S., małej kaszubskiej wsi, nakłaniają mnie, by poprowadzić program zdalnie, moja małeńka komórka ma być studiem. Szaleństwo. Najbardziej przeraża techniczna strona zadania. Nieporadność techniczna zatruła mi życie. Iluż ja upokorzeń i porażek z powodu tej ułomności doznałem. Z kilkoma osobami musiałbym się łączyć zdalnie. A przecież w domku, który wynajmujemy, nie ma zasięgu. Jest tylko na ulicy, pod latarnią, na której siedzi zawsze samotny bocian, stary wdowiec.

W pierwszym programie moim gościem głównym był Tomek Kozłowski, serdeczny kolega. Z zawodu jest psychologiem, z pasji skoczkiem spadochronowym, właścicielem rekordu Europy w wysokości skoku. Niedługo będzie bił rekord świata, skoczy z balonu z wysokości 45 km. W skafandrze kosmicznym, inaczej się nie da. Ma żonę i dwójkę małych dzieci. Nie boi się, za to ja się o niego boję. Twierdzi, że przed skokami odczuwa lęk tylko w samolocie, ponieważ samolot nie jest w jego rękach. Gdy widzi otchłań przed skokiem, odczuwa ulgę, wszystko już zależy tylko od niego. Namawia mnie, by skoczyć z nim w tandemie. Mówię, że mam lęk przestrzeni. On na to: tym lepiej, będziesz miał mocniejsze doznania.

Kaszubska gospodyni opowiada nam, że pierwszy turysta pojawił się w S. 30 lat temu. I wzbudził we wsi sensację. Przenocowano go u jej rodziców na strychu. Poszedł na plażę, długo nie wracał, w jedną stronę musiał przejść 5 km. Opowiadał potem, że przesiedział cały dzień na plaży i nie pojawił się nikt, był sam. Teraz rój samochodów parkuje na łąkach pod lasem. Od brzegu lasu

do plaży są 2 km, ładny spacer. Do niedawna jeździły na plażę powozy konne. Końskie zady, skrzyp kół, stukot kopyt, smak kurzu. Powoził pan Kazio z pobliskiej stadniny, mały, bez wieku, pochylony w sobie, ale niezwykle szybki w ruchach. W tym roku meleksy wyparły konne powozy. Trochę szkoda.

Jest tu stadnina koni. W lesie widzę wstęgę jeźdźców, która wiję się wśród drzew. Po pięknej kobiecie rasowy koń jest najpiękniejszym stworzeniem wśród istot żywych. Napawam się delikatnością rysunku koni, włosy dziewcząt tańczą im na ramionach. Słyszę, jak te pаниenki rozmawiają, co drugie słowo to k... i ch... Co za dysonans, aż bołą zęby. Kobiety wyszły z domu niewoli na dobre i na złe, też na wolność wulgaryzacji języka. To

skutki uboczne emancypacji. Warto jednak tę cenę zapłacić i odrzucić gorset grzecznej dziewczynki, który był więzieniem. Ta rewolucja nie została dokończona. Jak się zakończy, kobiety nie będą głosować na partię, która widzi je wyłącznie w kuchni i każe im rodzić dzieci, przy wrogim nastawieniu do antykoncepcji i in vitro, bo świętym zadaniem kobiety jest zwiększyć dzietność narodu.

Joanna Lichocka, też wyzwolona, chociaż z PiS, wstąpiła się tym, że na oczach całej Polski, nie byle gdzie, bo w Sejmie (gorzej byłoby tylko w kościele), pokazała wielkiej widowni środkowy palec. A ten palec od razu zmienił się, wstyd powiedzieć, w co. PiS udaje, że właściwie nic się nie stało, to są skojarzenia wynikłe z erotycznej deprawacji, która płynie z Zachodu. Sama posłanka tłumaczyła obrazowo prezesowi, że ona tym palcem tylko odgarniała włosy. Lichocka została odwołana z funkcji wiceprzewodniczącej sejmowej Komisji Kultury, jak się zdaje, na skutek jakiegoś nieporozumienia, posłom PiS coś się pomieszało. Teraz naprawili błąd i posłanka jest na powrót na kulturalnym stanowisku. Gdyby nie to, że Gliński jest tak wybitnym ministrem kultury, należałoby zawołać: Lichocka na ministra! Lichocka, Pawłowicz, Kempa, Szydło, ileż wdzięku ma ta gromadka pisowskich niewiast. A tymczasem na ulicach Warszawy pacyfikacja LGBT. Celowe to czy mimowolne, cholera wie. Jedno pewne, Mińsk coraz bliżej.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

Bardzo chore Stany

Porażka z koronawirusem pokazała, jak słaba jest obecnie amerykańska państwowość

Przez ostatnie miesiące nasłuchaliśmy się rozmaitych opisów pandemii COVID-19. Prof. Michał Kosiński, psycholog społeczny z Uniwersytetu Stanforda, nazywał ją „wielkim wyrównywaczem”, wieszcząc szansę na zniwelowanie chociaż części nierówności społecznych poprzez przeniesienie życia do internetu. Bill Gates, amerykański multimiliarder i założyciel koncernu Microsoft, przyrównywał z kolei sytuację do konfliktu zbrojnego z nieznanym przeciwnikiem. Pandemia to wojna, mówił, i w takich kategoriach powinniśmy formułować naszą odpowiedź na nią. Co ciekawe, w tym porównaniu jego nieoczekiwanym naśladowcą stał się Donald Trump, który niedługo po wybuchu zarazy sam określił się „prezydentem czasów wojny”.

Stany miały wiele szans na wygraną z pandemią. Każdą z nich zaprzepaściły.

Metaforyczne określenia mnożyły się z każdym kolejnym tygodniem przymusowej kwarantanny i pandemicznym nagłówkiem czy serwisem informacyjnym. Kanadyjska dziennikarka Naomi Klein, jeden z najwyraźniejszych głosów światowego alterglobalizmu, widziała w starciu z koronawirusem przyspieszony scenariusz zmagania z katastrofą klimatyczną. Według niej ludzkość w obliczu tajemniczej choroby stała się tak samo bezradna jak wobec szalejących upałów i coraz częstszych kataklizmów. Mimo to z jej porównania płynęła też lekcja optymizmu, bo Klein w reporterskim podcaście Longform podkreślała, że COVID-19 udowodnił nam, jak wiele rzeczy jesteśmy w stanie nagle zatrzymać, z ilu zrezygnować, ile poświęcić, jeśli stojące przed nami zagrożenie będzie postrzegane jako śmiertelne dla całych mas ludzkich.

Pod względem politycznym najtrafniej pandemię opisał jednak Portugalczyk António Guterres, sekretarz generalny ONZ. Dla niego zaraza zadziałała jak rentgen. Wywlokła na wierzch wszystkie cechy systemowe państw, w których żyjemy. Te dobre i te złe. Przetoczyła się przez całe społeczeństwa z siłą huraganu,

dotykając niemal każdej płaszczyzny życia. W wielu przypadkach była katalizatorem procesów, których istnienie od dawna przeczuwaliśmy. Skostniałe biurokracie instytucji państwowych, zapchane systemy opieki zdrowotnej, brak odważnego przywództwa politycznego i cały wachlarz nierówności – finansowych, materialnych, kulturowych. Każdą z tych rzeczy znamy. Obserwujemy je od lat. Skomasowane w jednym zjawisku przerażają skalą, bo pokazują, jak niefunkcjonalne stały się nasze aparaty państwowe.

Nigdzie indziej nie widać tego lepiej niż za oceanem. Bo pandemia to też opowieść o tym, jak jeden wirus rzucił na kolana najpotężniejsze państwo świata.

Chociaż w Stanach Zjednoczonych mieszka nieco ponad 4% ludzkiej populacji, to właśnie tam odnotowano jedną czwartą wszystkich światowych zachorowań i zgonów na COVID-19. Mowa oczywiście o danych oficjalnych, które należy traktować co najwyżej jako nieco dokładniejsze szacunki. Prawdziwej liczby ofiar nie poznamy prawdopodobnie nigdy, nie tylko z powodu

Trump nadal przeludnia więzienia, które w tej chwili są pandemicznymi bombami zegarowymi.

niewystarczającej diagnostyki, ale też skali konsekwencji społeczno-ekonomicznych. Ludzie jeszcze długo będą umierać z powodu pandemii, choć bezpośrednią przyczyną zgonu może nie być akurat sam koronawirus.

Co więcej, krzywa zachorowań rosła w USA niemal nieprzerwanie od samego początku pandemii, raz po raz przekraczając kolejne bariery psychologiczne. Spłaszczyć jej się nie udało aż do teraz i nadal nie

wiadomo, czy Stany najgorsze mają już za sobą.

W tle szalejącej zarazy jak refren wybrzmiewają kolejne antynaukowe deklaracje prezydenta Trumpa, który najpierw obwieścił bezwarunkową kapitulację wirusa, a potem radził obywatelom pić wybielacz w ramach domowej terapii. Na koniec podważył prawie wszystkie wskazówki doradzających mu naukowców, publicznie negując ryzyko związane z ewentualnym otwarciem jesienią szkół i uniwersytetów. Jeśli dodać do tego systematycznie osłabiany od czasów prezydentury Reagana system osłon społecznych i państwowego wsparcia, rosnący w całym kraju antyintelektualizm, systemowy rasizm w dostępie do usług publicznych i prekaryzację kolejnych sektorów gospodarki, widać rentgenowski obraz pandemii. I jest to obraz kraju wielkiego jak kontynent, a słabego jak mrówka, państwa w rozsypce, niezdolnego do skutecznej reakcji na jakiegokolwiek życiowe zagrożenie.

„Stany miały wiele szans na to, żeby wygrać z pandemią. Każdą z tych szans zupełnie i w całości zaprzepaściły”, pisze Ed Yong, reporter magazynu „The Atlantic”. Już w 2018 r. Yong pisał, że Ameryka jako kraj na żadną pandemię nie jest gotowa. Wskazywał na miliony obywateli bez stałej opieki zdrowotnej i niemal całkowitą prywatyzację usług w tym zakresie. Podkreślał też, że USA mają jeden z najdłuższych na świecie procesów tworzenia nowych szczepionek. I nie wynika to wcale z rozbudowanych procedur bezpieczeństwa ani z ograniczeń etycznych, ale z ogromnej biurokracji i wysokich kosztów firm badawczych. Dwa lata temu Yong wyraźnie widział, że amerykańskie państwo rdzewieje w tych częściach, które powinny być najsprawniejsze, czyli

odpowiedzialnych za reagowanie kryzysowe, ale też za przygotowanie całego społeczeństwa do wielkich wyzwań i procesów.

Pierwszym z nich była porażka na froncie masowego testowania. Mimo że przygotowanie własnych metod diagnostycznych jest w procesie epidemicznym relatywnie proste, Stany ten test oblały z kretesem. Choć prywatne i uniwersyteckie laboratoria jeszcze w styczniu rozpoczęły prace nad szybkim zestawem do diagnozy koronawirusa, nikt im tego nie ułatwił, bo do tej pory nie powstała szybka ścieżka dla projektów związanych z COVID-19 w Food and Drug Administration (FDA),

odizolować chorych, a części nawet dokładnie przebadać.

Tak było chociażby w domach opieki i spokojnej starości. A starzenie się populacji to kolejny wielki proces, który administracja w Waszyngtonie postanowiła zignorować. Ameryka nie ma w tej chwili żadnego systemowego rozwiązania dla coraz wyższej średniej wieku społeczeństwa – ani na gruncie emerytur i bezpieczeństwa socjalnego, ani opieki zdrowotnej. Starsi ludzie coraz częściej żyją na marginesie społecznym albo trafiają do prywatnych placówek, w których nikt nie pilnuje

daje to 55 tys. osób. Z jednej strony bardzo dużo, z drugiej jednak dość mało jak na kraj liczący 328 mln mieszkańców. To dlatego, że – jak wylicza Trust for America's Health – tylko 2,5% wszystkich wydatków federalnych na zdrowie trafia do instytucji publicznych. W 2017 r. dawało to szokującą kwotę 274 dol. rocznie na mieszkańca. Reszta płynie szerokim strumieniem do sektora prywatnego, i tak już bajecznie bogatego.

To właśnie w USA odnotowano jedną czwartą wszystkich światowych zachorowań i zgonów na COVID-19.



„Uczynimy Amerykę znowu bezpieczną” – protest w Atlancie w kwietniu br.

agencji rządu federalnego odpowiedzialnej za wpuszczanie na rynek jakichkolwiek produktów w tych obszarach, w tym testów na koronawirusa. Proces akceptacji był tak długi, że amerykańscy naukowcy zaczęli wysyłać próbki do Europy i Afryki, bo w USA nikt nie wyrażał nimi zainteresowania.

Kilka miesięcy później przerodziło się to w autentyczną tragedię. Władze na żadnym poziomie, podobnie jak lekarze w przeciążonych szpitalach, nie były w stanie przezwyciężyć łańcuchów transmisji wirusa,

standardów. Efekt? 40% wszystkich amerykańskich zgonów na COVID-19 nastąpiło właśnie w tych instytucjach.

W sektorze zdrowotnym, czyli na pierwszej linii frontu walki z pandemią, jest jeszcze gorzej. Zarówno Yong, jak i Jon Allsop z „Columbia Journalism Review” przytaczają zatrważające statystyki. W ciągu ostatniej dekady liczba osób zatrudnionych w sektorze zdrowia publicznego – nie tylko lekarzy, ale też urzędników i naukowców – została zredukowana o 25%. W liczbach bezwzględnych

W kraju, w którym jedna trzecia populacji jest otyła, a miliony umierają z powodu nadużywania papierosów i alkoholu oraz uzależnienia od leków, tak niedofinansowany sektor publiczny mógłby w ogóle nie istnieć, bo i tak nie przygotowuje nawet części społeczeństwa na pandemiczne wyzwanie.

Wszystkie te systemowe wady jeszcze bardziej podkreśliła prezydentura Donalda Trumpa. Jego pogarda dla środowiska naukowego zmanifestowała się chociażby w obcięciu od 2017 r. 30 etatów naukowych w CDC, amerykańskim odpowiedniku sanepidu, i zlikwidowaniu chińskiego przedstawicielstwa tej instytucji. Niedofinansowane i pozbawione personelu były zresztą też inne jednostki, na czele z Departamentem Stanu, niezdolnym do wynegocjowania krytycznego zaopatrzenia sprzętu medycznego. Trump, podobnie jak jego poprzednicy, nadal przeludnia też amerykańskie więzienia, które w tej chwili są po prostu pandemicznymi bombami zegarowymi. Każdy z tych elementów mógłby sam w sobie być zabójczy dla amerykańskiego państwa. Skoncentrowane pokazują jednoznacznie, że amerykańska potęga staje się coraz bardziej potęgą czasów minionych.

Ludowa historia Solidarności

Grzebiąc socjalizm, Solidarność ostatecznie przekreśliła możliwość realizacji słynnych postulatów z lata 1980 r.

Jarosław Dobrzański

Do niedawna w opisywaniu przeszłości historycy koncentrowali się na wielkiej polityce, dyplomacji i wojnach. Rzadziej na gospodarce, kulturze i ideach. Tego rodzaju historia pisana była przez pryzmat wybitnych jednostek, wielkich przywódców, elit politycznych, gospodarczych i kulturalnych. Dopiero pod koniec II połowy XX w. poczesne miejsce w historiografii wywalczyła sobie tzw. historia społeczna, opisująca przeszłość przez pryzmat zmian zachodzących w społeczeństwach, ze szczególnym uwzględnieniem ruchów masowych i klas pomijanych we wcześniejszych modelach historiografii. Do Polski historia społeczna trafiła z opóźnieniem. W PRL marksizm szybko stał się drętą nowomową, tracąc wiarygodność naukową. A po 1989 r. humanistyka rzuciła się w drugą skrajność i nastał okres ortodoksji prawicowej. Niemal każdy opis społeczeństwa przez pryzmat klas społecznych, a zwłaszcza klas wyzyskiwanych, uważano za ideologię komunistyczną i eliminowano z poddanych nadzorowi nowej cenzury nauk społecznych.

Radykalne postulaty

Jeszcze później na świecie zaczęto pisać „historie ludowe”, zawierające opisy przeszłości z punktu widzenia warstw ludowych jako podmiotu historii. Były one zarówno czynnikiem sprawczym dziejów, jak i podmiotem praw, roszczeń i interesów. Opublikowana we Francji książka o Solidarności prof. Brunona Drwęskiego „Zagrabiona historia Solidarności. Został tylko mit”, którą teraz wydał PRZEGŁĄD, jest historią ludową w obu znaczeniach. Opisuje pojawienie się Solidarności jako czynnika sprawczego dziejów i podmiotu rewindykacji oraz roszczeń społecznych. Następnie pokazuje przekształcenia, jakim

ruch ludowy ulegał w czasie stanu wojennego, które doprowadziły do ukształtowania się pod tą samą nazwą zupełnie innej rzeczywistości na przełomie lat 80. i 90. Doszło wtedy do przejścia ruchu masowego, zgłaszającego radykalne postulaty o charakterze socjalistycznym, przez elitarną grupę interesów, która wykorzystwała autorytet i sztyld tego ruchu do obrony polityki skrajnie antysocjalistycznej.

Polityka ta skutkowałą zmianą ustroju i restauracją kapitalizmu. Skutkiem ubocznym było rozbitcie wielkoprzemysłowej klasy robotniczej i pozbawienie jej instrumentów

uczęszczały ich dzieci, a które teraz zwrócono przedwojennym właścicielom; za oddane w prywatne ręce majątki, bloki mieszkalne, szpitale, sanatoria, a nawet uzdrowiska i całe miasteczka. Zapłatą za te realne straty była gloryfikacja mitycznej Solidarności. Inną formą perwersyjnego zadośćuczynienia była kierująca się niskimi pobudkami możliwość wzięcia odwetu na „komunistach” i tych, którym przypadła w udziale rola społecznego napiętnowania. Wyselekcjonowane grupy osób spotkały się z całym arsenałem szykan, od pokazowych procesów i wyroków, przez

Historyczna Solidarność nie chciała i nie mogła obalić socjalizmu. Jednak stała się nieświadomym narzędziem w zabiegach o jego likwidację.

obrony własnego interesu klasowego. Z roli podmiotu historii, którą odgrywała przez krótką chwilę w latach 1980-1981, Solidarność – w wymiarze czysto ludzkim – została zdegradowana do rangi masy upadłościowej po realnym socjalizmie. By skutecznie odwrócić uwagę milionowej rzeszy związkowców od klęski, jaka okazała się jej udziałem, stworzono legendę Solidarności, która stała się mitem założycielskim nowej władzy. Pokonana i zawstydzona swoją porażką klasa ludowa przyjęła tę symboliczną satysfakcję w charakterze odszkodowania za realne straty. Im niżej i liczniej upadali w hierarchii społecznej szeregowi członkowie Solidarności, tym wyżej i dumniej powiewał jej sztandar, symbol pogromcy „komunizmu”. Im głębsza była deklasaacja mas członkowskich, tym głośniejsze w kraju, którego gospodarkę uwolniono od „szkodliwego wpływu” związków zawodowych, opiewano rzekomy triumf „związkowców”. I tym bardziej rosła rola symbolicznej gratyfikacji. Za odebrane im, zlikwidowane lub sprywatyzowane zakłady pracy; za zamknięte szkoły, do których kiedyś

pozbawienie możliwości wykonywania pracy, obniżenie emerytury aż do odmowy należytego pochówku.

Zapomniane postulaty

Klasy ludowe jako podmiot społeczny pojawiły się w Polsce dopiero po II wojnie światowej. Odcięte od tradycji przedwojennej lewicy społecznej, a za sprawą swojego chłopackiego pochodzenia konserwatywne światopoglądowo, widziały w nowej rzeczywistości bardziej szansę osobistego awansu społecznego niż możliwość zbiorowego konstruowania innego porządku społeczno-ekonomicznego. Z tej racji polski socjalizm po wojnie miał charakter hybrydowy, a przywódcy partyjni czuli się w obowiązku uwzględniać osobliwości polskiego rozwoju społecznego. Tym tłumaczy się tak duża obecność elementów narodowych. Niemniej jednak Polska Ludowa odwoływała się do tej nazwy nie bez racji. Mimo wielu słabości socjalistyczne państwo do pewnego czasu skutecznie chroniło rodzime klasy ludowe przed konkurencją ze strony międzynarodowego

OPOWIEŚĆ O SOLIDARNOŚCI, KTÓRA DROGO NAS KOSZTOWAŁA

kapitalizmu, a awans społeczny, jaki się dokonał w ciągu 45 lat istnienia PRL, okazał się jednym z najważniejszych rozdziałów w historii nowożytnej Polski. Nigdy bowiem wcześniej ani później nie dokonano tak wielkiego postępu, nie notowano takiego podniesienia poziomu życia szerokich mas społecznych i nigdy tak wiele kolejnych generacji Polaków nie zaznało tak znacznego zwiększenia swoich możliwości życiowych.

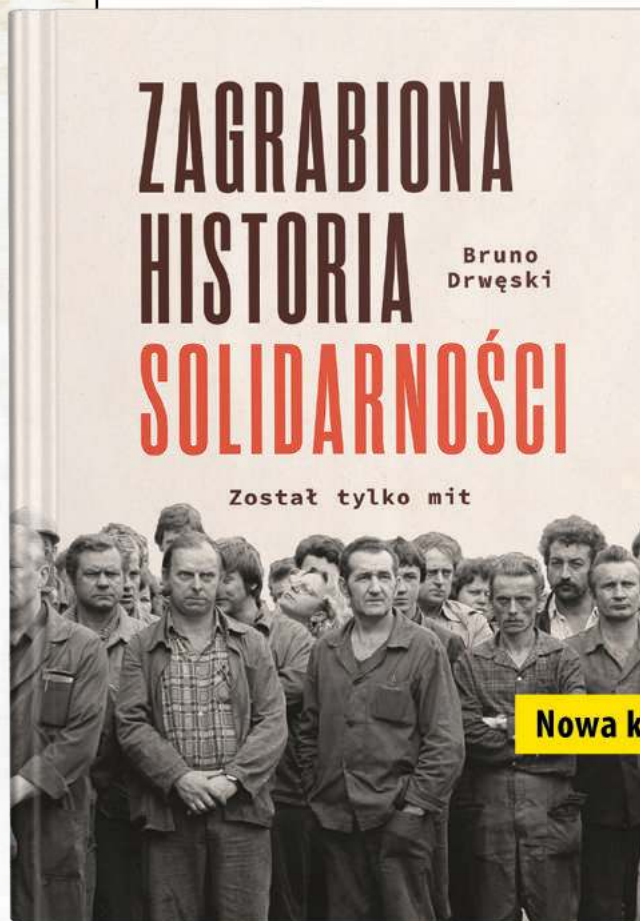
Z kraju etnicznie zróżnicowanego, zamieszanego przez ludność o ograniczonym poczuciu wspólnoty narodowej i świadomości klasowej, charakteryzującą się wysokim odsetkiem analfabetyzmu; z państwa o gospodarce półfeudalnej, z kapitalizmem peryferyjnym typu folwarcznego, z przestarzałą strukturą społeczną, w której jeszcze w XX w. dominowało ziemiaństwo i wyalienowana elita urzędniczo-państwowa, Polska po wojnie przekształciła się w państwo nowoczesne, oferujące szeroki wachlarz usług publicznych; w państwo, które stało się promotorem awansu i postępu społecznego oraz stworzyło skuteczną organizację administracyjną. W państwie tym uformowało się dobrze wykształcone i spójne społeczeństwo masowe, w którym bezprecedensowe możliwości mobilności społecznej w obrębie zaledwie jednego pokolenia stały się szansą dostępną sporej części ludności.

Historia związku zawodowego Solidarność, domagającego się zwiększenia roli czynnika ludowego w rzeczywistości społecznej PRL, zbiegła się z początkiem ciągu wydarzeń, które – przy uwzględnieniu istotnej roli kontekstu międzynarodowego – doprowadziły do kryzysu i upadku ludowego państwa polskiego. Historyczna Solidarność nie chciała i nie mogła obalić socjalizmu. A jednak stała się nieświadomym narzędziem w skomplikowanych zabiegach o jego likwidację. Wcześniej jednak sama musiała zostać przekształcona w ruch o zupełnie innym charakterze. Grzebiąc socjalizm, Solidarność ostatecznie przekreśliła możliwość realizacji słynnych postulatów komitetu strajkowego z lata 1980 r. O tym, w jaki sposób to się stało, opowiada książka Brunona Drwęskiego.

Jarosław Dobrzański jest tłumaczem książki prof. Brunona Drwęskiego i autorem posłowa do niej.

Ludzie pierwszej Solidarności zostali wystawieni do wiatru, do czego wstyd im się przyznać. O tym jest ta książka.

Bronisław Łagowski



53 zł

Nowa książka PRZEGLĄDU!

Bruno Drwęski – kanadyjsko-francuski historyk i politolog z polskimi korzeniami. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Uniwersytetu Panthéon-Sorbonne. Prezentowana polskiemu czytelnikowi książka ukazała się w 2019 r. we Francji.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 53 zł prosimy dokonywać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Bohdan Piętko

Pod koniec czerwca 1945 r. powrócił do Warszawy Stanisław Mikołajczyk – jeden z liderów ruchu ludowego w II RP, przywódca Wielkiego Strajku Chłopskiego w 1937 r., od lipca 1943 do listopada 1944 r. premier rządu RP na uchodźstwie. Jego powrót do kraju był rezultatem decyzji podjętych na konferencji w Moskwie (17-21 czerwca 1945 r.) w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, w której osobiście uczestniczył. W rządzie tym Mikołajczyk objął tekę premiera oraz ministra rolnictwa i reform rolnych, a związani z nim ludowcy – Władysław Kiernik i Czesław Wycech – objęli teki ministrów administracji publicznej oraz oświaty. W następstwie powrotu Mikołajczyka do Polski doszło do ujawnienia w Warszawie 8 lipca 1945 r. konspiracyjnego Stronnictwa Ludowego „Roch” – jednej z czterech głównych partii politycznych Polski Podziemnej – stojącego w opozycji do prokomunistycznego Stronnictwa Ludowego, które w 1944 r. weszło w skład PKWN, a potem Rządu Tymczasowego.

Jedyna legalna opozycja

12 lipca 1945 r. powołano Tymczasowy Komitet Wykonawczy Stronnictwa Ludowego (niekomunistycznego), który wyłonił prezydium partii. Prezesem został nestor ruchu ludowego Wincenty Witos, a pierwszym wiceprezesem Stanisław Mikołajczyk. Wobec poważnego stanu zdrowia Witos (zmarł 31 października 1945 r.) kierownictwo stronnictwa od początku spoczęło w rękach Mikołajczyka. Dla odróżnienia od Stronnictwa Ludowego współpracującego z PPR (zwanego przez oponentów „lubelskim”) i w związku z brakiem porozumienia z jego kierownictwem w sprawie zjednoczenia, niekomunistyczne Stronnictwo Ludowe przekształcono 22 sierpnia 1945 r. na konferencji w Krakowie w Polskie Stronnictwo Ludowe. Przeszła do niego większość członków „lubelskiego” SL. Formalnie Stanisław Mikołajczyk został wybrany na prezesa Rady Naczelnej PSL podczas I Kongresu tej partii, który obradował w Warszawie od 19 do 22 stycznia 1946 r.

Realizm polityczny Mikołajczyka

Mikołajczykowski PSL wytyczyło drogę demokratycznej opozycji z lat 70. i 80.

W listopadzie 1945 r. PSL zrzeszało już 200 tys. członków, w styczniu 1946 r. – 540 tys., a w maju 1946 r. – 800 tys., stając się najliczniejszą partią polityczną w Polsce. Wokół PSL skupiły się wszystkie siły opozycyjne wobec komunistów, które chciały legalnie działać w powojennej rzeczywistości. Stało się to powodem ataków i szyderstwa ze strony propagandy PPR, która zarzucała PSL, że jest partią zrzeszającą „chłopów z Marszałkowskiej”. Władze komunistyczne zignorowały wniosek o legalizację Stronnictwa Narodowego, odmówiły zalegalizowania utworzonej w październiku 1945 r. przez Zygmunta Żuławskiego Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej oraz spowodowały rozłam w Stronnictwie Pracy, co doprowadziło do zawieszenia 18 lipca 1946 r. działalności tej partii przez jej Zarząd Główny. PSL zostało jedyną legalną partią opozycji politycznej.

Program PSL opierał się na ideologii agraryzmu, odwoływał do wartości chrześcijańskich i zakładał szukanie trzeciej drogi między kapitalizmem a socjalizmem. Mikołajczyk i jego partia odrzucali dyktaturę proletariatu i kierowniczą rolę PPR. Z tego powodu od razu stali się przedmiotem ataków ze strony obozu władzy. Ataki te nasiliły się, kiedy 22 lutego 1946 r. Mikołajczyk odrzucił propozycję startu PSL w wyborach parlamentarnych z jednej listy razem z PPR i jej satelitami, co spowodowało opuszczenie przez PSL Centralnej Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Demokratycznych.

Mikołajczykowski PSL konsekwentnie stało na stanowisku realizacji postanowień jałtańskich w kwestii przeprowadzenia w Polsce demokratycznych wyborów oraz przestrzegania zasad praworządności. Dlatego

domagało się likwidacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i wielokrotnie stanowczo sprzeciwiało się terrorowi UB, MO, KBW i ORMÓ. Ofiarami tego terroru stali się także członkowie PSL, których kilkadziesiąt tysięcy zostało w latach 1945-1947 aresztowanych, a co najmniej 146 skrytobójczo zamordowanych. Głośny był protest Stanisława Mikołajczyka wobec sfalszowania przez władze wyborów do Sejmu Ustawodawczego z 19 stycznia 1947 r. PSL otrzymało wówczas tylko 28 mandatów na 444. W 10 okręgach na 52 unieważniono listy PSL i nie dopuszczono przedstawicieli Stronnictwa do 4,2 tys. z 5,5 tys. komisji wyborczych, co umożliwiło sfalszowanie wyborów.

Rozbieżności i punkty wspólne

Omawiając powojenną sytuację polityczną w Polsce, najczęściej przytacza się te fakty, czyli mówi się o tym, przeciw czemu byli Stanisław Mikołajczyk i PSL. Rzadziej zwraca się uwagę na to, w czym stanowisko Mikołajczyka i PSL było zbliżone do stanowiska Bloku Demokratycznego, a więc PPR i jej satelitów.

Przed wszystkim Mikołajczyk i PSL opowiadali się, tak jak i obóz skupiony wokół PPR, za granicą na Odrze i Nysie Łużyckiej. Podczas referendum z 30 czerwca 1946 r. PSL wezwało do głosowania „nie” jedynie na pierwsze pytanie, dotyczące likwidacji Senatu. Nie wezwało natomiast do głosowania „nie” również na pytania dotyczące powojennych reform społecznych oraz granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

O wytyczeniu polskiej granicy zachodniej na Odrze i Nysie Łużyckiej zadecydowała konferencja Wielkiej Trójki w Poczdamie



Stanisław Mikołajczyk w teatrze Roma w Warszawie na akademii z okazji święta państwowego narodów ZSRR, 7 listopada 1946 r.

(17 lipca-2 sierpnia 1945 r.). W delegacji polskiej na tę konferencję znaleźli się prezydent KRN Bolesław Bierut (formalnie bezpartyjny, faktycznie PPR), wiceprezydent KRN Stanisław Grabski (bezpartyjny, nestor endecji), premier Edward Osóbka-Morawski (PPS), wicepremier Władysław Gomułka (PPR), wicepremier Stanisław Mikołajczyk, minister spraw zagranicznych Wincenty Rzymowski (SD), wiceminister spraw zagranicznych Zygmunt Modzelewski (PPR) i marszałek Michał Rola-Żymierski. Mikołajczyk uczestniczył w kluczowych spotkaniach delegacji polskiej z przedstawicielami Wielkiej Trójki i był współautorem stanowiska Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w sprawie polskiej granicy zachodniej. Stanowisko to sprowadzało się do tezy, że granica Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej ze Szczecinem po stronie polskiej jest ważna nie tylko z ekonomicznego punktu widzenia, ale także ze względu na bezpieczeństwo państwa.

Problem granicy zachodniej został rozstrzygnięty w Poczdamie

pomyślnie dla Polski przede wszystkim dzięki nieugiętej postawie Stalina, który widział na Odrze i Nysie Łużyckiej zachodnią granicę bezpieczeństwa ZSRR, ale również dzięki jednomyślności i nieustępliwości delegacji polskiej.

Mikołajczyk popierał także szybkie zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych i scalenie ich z Polską, jednak sprzeciwił się powołaniu Ministerstwa

Stanisław Mikołajczyk, jeden z liderów ruchu ludowego, premier rządu RP na uchodźstwie, powrócił do Warszawy pod koniec czerwca 1945 r.

Ziemi Odzyskanych na czele z przywódcą PPR Władysławem Gomułką. Gdy resort ten został mimo to utworzony 13 listopada 1945 r., władze PSL domagały się jego likwidacji. Na niechęć ludowców do MZO wpływał z jednej strony fakt, że ograniczało ono zakres działania Ministerstwa Administracji Publicznej, kierowanego przez polityka PSL Władysława Kiernika. Z gestii MAP wyłączono bowiem Państwowy Urząd Repatriacyjny.

Z drugiej strony ludowcy Mikołajczyka zdawali sobie sprawę, że Ministerstwo Ziemi Odzyskanych będzie w ręku PPR narzędziem kształtowania politycznego oblicza ziem nowo wcielonych do Polski. Nie zmienia to faktu, że w zagospodarowaniu Ziemi Odzyskanych uczestniczyły tysiące szeregowych członków PSL.

Mikołajczyk nie oponował również przeciw ustanowieniu wschodniej granicy Polski na podstawie przebiegu linii Curzona. 16 sierpnia 1945 r. uczestniczył w Moskwie wraz z premierem Osóbką-Morawskim, Bolesławem Bierutem i Hilarym Mincem w podpisaniu umowy granicznej pomiędzy Polską a ZSRR, która wytyczyła istniejącą do dzisiaj wschodnią granicę Polski.

Mikołajczykowski PSL w zasadzie nie sprzeciwiało się reformie rolnej i nacjonalizacji przemysłu. Miało jednak inne wizje tych reform niż PPR. Reforma rolna była kluczowym postulatem różnych nurtów ruchu ludowego w 20-leciu międzywojennym. Nie potrafiły jej jednak przeprowadzić władze II RP. Reformę rolną przeprowadził dopiero PKWN, w czym już w 1944 r. uzyskał poparcie „lubelskiego” SL. Mikołajczyk i PSL rozumieli historyczną i społeczno-ekonomiczną doniosłość tego aktu, który oznaczał zerwanie z półfeudalną i antyrozwojową strukturą społeczną Polski przedwojennej. Dlatego parcelacja majątków ziemskich zyskała poparcie PSL. Krytykowano jedynie tworzenie zbyt małych gospodarstw. Mikołajczykowski PSL opowiadało się za tworzeniem silnych ekonomicznie gospodarstw rodzinnych o powierzchni 5-20 ha.

Pod ustawą Krajowej Rady Narodowej z 3 stycznia 1946 r. o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej znalazł się podpis m.in. wicepremiera Mikołajczyka. PSL opowiadało się bowiem za upaństwowieniem kluczowych gałęzi przemysłu. Postulowało jednak wyłączenie z nacjonalizacji średnich przedsiębiorstw i niektórych dziedzin gospodarki. W tym różniło się od PPR, która zmierzała

► do jak najszerzej nacjonalizacji, urzeczywistnionej ostatecznie przez Hilarego Minca podczas tzw. bitwy o handel w latach 1947-1949.

„Głównym celem przebudowy społecznej – stwierdzał program PSL – jest zdobycie dla warstw ludowych wyższego poziomu dobrobytu przy swobodnym, wszechstronnym rozwoju kulturalnym. Monopolistyczna gospodarka państwowa może zmuszać robotników do godzenia się z niską

też, że PSL pragnie sojuszu z ZSRR i współpracy ze wszystkimi partiami w kraju, ale na zasadzie równości.

Wymowne jest, że Mikołajczyk głosował na posiedzeniu rządu 26 września 1946 r. za uchwałami pozbawiającymi obywatelstwa polskiego gen. Władysława Andersa oraz 75 generałów i wyższych oficerów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy wstąpili do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia.

Mikołajczyk i PSL, tak jak i obóz skupiony wokół PPR, opowiadali się za granicą na Odrze i Nysie Łużyckiej.

stopą życiową i zagrażać im nowym przymusem i naciskiem ze strony państwowej administracji gospodarczej”. Były to prorocze słowa. Z kolei PSL-owska „Gazeta Ludowa” pisała w 1946 r.: „Jesteśmy za upaństwowieniem kluczowych przemysłów, mających podstawowe znaczenie dla gospodarstwa narodowego (...). Z rosnącym niepokojem patrzymy na ten rozmach etatystyczny, który prowadzi gospodarkę naszą na fałszywy tor, ułożony ze stosów urzędowych papierków na podkładach nędzy”.

Wicepremier Mikołajczyk sprzeciwiał się m.in. upaństwowieniu zakładów graficznych i drukarni, widząc w tym zagrożenie dla wolności słowa. Zamiast upaństwowienia przedsiębiorstw (poza przemysłem ciężkim, wydobywczym i energetycznym) PSL postulowało ich uspołecznienie w ramach spółdzielczości i samorządu gospodarczego. Było to jednak niemożliwe do realizacji w warunkach geopolitycznych Polski po 1945 r., które narzucały przyjęcie radzieckiego wzorca ustrojowego.

Propaganda PPR zarzucała Mikołajczykowi i PSL popieranie zbrojnego podziemia antykomunistycznego i utrzymywanie z nim bliskich związków. W rzeczywistości Mikołajczyk odrzucał linię polityczną podziemia zbrojnego, którą wyrażała znana rymowanka: „Jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa. Druga mała, ale silna i wrócimy też do Wilna”. Na zjeździe wojewódzkim PSL w Warszawie pod koniec listopada 1945 r., w którym wzięło udział 2 tys. delegatów, Stanisław Mikołajczyk potępił bratobójcze morderstwa dokonywane przez Narodowe Siły Zbrojne i nieprzejednaną postawę emigracji. Oświadczył

Mało tego – te uchwały były inicjatywą Mikołajczyka. Wypominał mu to później gen. Anders.

Zmuszony do wyjazdu

W dniach 22-27 września 1947 r. odbyła się w Szklarskiej Porębie tajna konferencja dziewięciu partii komunistycznych i robotniczych, na której przedstawiciel WKP(b) Andriej Żdanow zarządził w imieniu Stalina zimnowojenną wrogość wobec Zachodu i komunistyczną dyscyplinę w bloku wschodnim. Był to początek stalinizmu w Polsce i innych krajach bloku. Na wstępie przystąpiono do rozprawy z partiami ruchu ludowego w Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii i na Węgrzech. W drugiej kolejności – do tzw. jednoczenia ruchu robotniczego, czyli likwidacji lub marginalizacji partii socjalistycznych i socjaldemokratycznych. Dla PSL w Polsce także nie było już miejsca.

Parcelacja majątków ziemskich zyskała poparcie PSL. Krytykowano jedynie tworzenie zbyt małych gospodarstw.

W październiku 1947 r. Mikołajczyk otrzymał poufną informację, że wkrótce ma zostać pozbawiony immunitetu poselskiego i aresztowany. Prawdopodobnie ostrzegł go Bolesław Drobner z PPS. Oficjalnym powodem aresztowania miała być nota brytyjska skierowana rzekomo do Mikołajczyka podczas konferencji w Poczdamie. W nocy tej strona brytyjska miała popierać domaganie się przez Polskę Szczecina, a Mikołajczykowi miano zarzucić, że ją zataił. Najprawdopodobniej dokument ten spreparowały radzieckie służby

specjalne. Dzięki pomocy ambasady USA Stanisław Mikołajczyk uciekł z Polski 21 października 1947 r.

Miesiąc później – 21 listopada 1947 r. – Rada Ministrów pozbawiła go obywatelstwa polskiego (rząd PRL przywrócił mu je pośmiertnie 15 marca 1989 r.). Za swoją działalność w Polsce w latach 1945-1947 był ostro atakowany na emigracji, zwłaszcza przez gen. Andersa i radykalnych antykomunistów.

Zmarł 13 grudnia 1966 r. w Waszyngtonie. W 2000 r. jego prochy sprowadzono do Poznania i pochowano na Cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan.

W 1945 r. Stanisław Mikołajczyk powiedział: „Jeśli miałbym wybierać między Polską komunistyczną i żadną, to wybiorę tę pierwszą jako mniejsze zło”. Z kolei w rozmowie z Williamem Averellem Harrimanem, ambasadorem USA w ZSRR, stwierdził: „To, czego chcę, to ocalenie pewnej porcji wolności, tak aby naród polski mógł przetrwać najgorszy okres, który mamy przed sobą”. W tych słowach wyrażał się jego realizm polityczny, który nakazał mu podjąć próbę legalnej działalności w warunkach Polski pojałtańskiej.

Czy jego klęska polityczna w 1947 r., nieunikniona w warunkach stalinizacji, świadczy o tym, że jego realizm był błędem? Nie, ponieważ chodziło mu nie o siebie, ale o naród polski, któremu dał polityczny drogowskaz. Glorifikowana dzisiaj walka zbrojna powojennego podziemia była w ówczesnych realiach drogą donikąd, co najwyżej drogą

do powtórzenia katastrofy powstania warszawskiego. Nie ona zadecydowała o losach Polski. Do ewolucyjnej transformacji PRL z państwa monopartyjnej dyktatury w państwo demokratyczne i z państwa podległego w niepodległe nie doprowadzili „żołnierze wyklęci”. Transformacja ta, trwająca od 1956 do 1989 r., była dziełem z jednej strony reformatorskiego skrzydła PZPR, a z drugiej – demokratycznej opozycji z lat 70. i 80. XX w., której drogę wytyczyło w latach 1945-1947 PSL Mikołajczyka.

Bohdan Piętko

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Nie bój się

Kiedy pod koniec zeszłego wieku Czesław Miłosz pił wódkę z Brodskim, Venclovą i „jego piękną Szwedką”, wyobraził sobie, że stulecie obudziło się z ciężkiego snu i spytało: „Co to było? Jak mogliśmy?”. To nieprzyjemne przebudzenie opisał później w wierszu. A rozmowa, której towarzyszyło poczucie wstydu i lęk, mogłaby się odbyć także dzisiaj. Jej pytanie założycielskie („Jak mogliśmy?”) staje się przecież boleśnie aktualne. Kryzys ekologiczny, rządy populistów, medyczne fake newsy, pogłębiające się różnice ekonomiczne, traumatyczna pandemia – wszystko to wywołuje nowe dziwne symptomy: dezorientację, choroby psychosomatyczne, beśsenność. Zidentyfikowane i usieciowione przez psychologów zyskają wspólną nazwę – lęk.

Czy lęki współczesności to temat dla filozofa? Oscylująca pomiędzy dyscyplinami, jednocześnie erudycyjna i poruszająca książka Leszka Koczanowicza „Lęk i olśnienie. Eseje o kulturze niepokoju” pokazuje, że tak. Stary, dobry lęk, powiecie państwo – ten egzystencjalny i ten atawistyczny – oba świetnie rozpoznane, gruntownie opisane. Koczanowicz odśladania jednak inne, mniej oczywiste, a także lepiej ukryte demony. I stara się je razem z czytelnikami egzorcyzmować. Znowu przegramy nierówną walkę o rząd (naszych) dusz? Obejrzymy wspólnie ten *horror show* – bestia jest straszna, lecz piękna. A rozpoznawanie wroga nigdy nie było tak przyjemne.

Angor animi to opisany przez wielu medyków stan, który pacjenci identyfikują jako świadomość, że właśnie w tej (opisywanej) chwili umierają. Koczanowicz przenosi *angor animi* na rozleglejsze terytorium: to świadomość (i lęk) społeczeństw, że jesteśmy wszyscy świadkami katastrofy, rozkładu świata, jaki znamy. Lęk ten może więc dotyczyć nie tylko jednostki, ale całej kultury czy wspólnoty. Wszyscy, do których docierają informacje o wymieraniu gatunków, karczowaniu lasów, topieniu się lodowców czy globalnym ociepleniu, dobrze znają ten lęk. Możemy na stałe wpisać go w rejestr podstawowych lęków współczesności.

Innym wspaniałym lękiem, który przywołuje i drobniawo opisuje profesor, jest hamartia. Do filozofii pojęcie to wprowadził Arystoteles, rozmyślając nad zasadami tragiczności. Oto bohater tragedii staje bezradny wobec (katastrofalnego w skutkach) błędu, który popełnia. Nie z nikczemności, ale dlatego, że nie rozumie swojej sytuacji, swojej pozycji w świecie. Obrazowym przykładem hamartii jest los Edypa, który – jak wiemy – zabił ojca i skonsumował namiętnie romans z własną matką, nieświadomy pokrewieństwa z nimi, a potem z rozpaczyny wydtubał sobie oczy.

Leszek Koczanowicz zauważa, że nowoczesna codzienność (obtędnie zmienna, migotliwa, materializująca się jedynie na moment) może jawić się nam jako „płatnina gier językowych, w które jesteśmy uwikłani, starając się bezskutecznie zrozumieć to, co może stać za nimi”. Czujemy się zagubieni i przerażeni, że grozi nam widmo hamartii. Nie chcemy popełnić błędu, który zniszczy wszystko. Pragniemy poznać jak najwięcej zmiennych, które pomogą nam racjonalnie wybierać kierunki, okiełznać chaos danych, dobrze poruszać się w świecie. Ale jakiś czas temu coś złego stało się z naszym poczuciem, że rzeczywistość jest zorganizowana i wydajna, a nie pełna ambiwalencji, nierozpoznana i zmienna.

Kolejnym współczesnym lękiem trafnie zdiagnozowanym przez Leszka Koczanowicza jest lęk intymności, czyli lęk przed mówieniem prawdy w dobie internetu. Filozof obrazowo omawia go na podstawie portali społecznościowych, a w szczególności Facebooka. Otóż nie jest to lęk przed utratą prywatności, ale przed tym, że coś nie zostanie pokazane, ujawnione, przedstawione. To obawa,

Jak sobie poradzić ze sprzecznymi pragnieniami odkrywania się i bycia zakrytym?

że jakieś nasze doświadczenie, przeżycie, nie jest w pełni wartościowe, jeśli nie zakomunikujemy go w medium społecznościowym. Na domiar złego nasze przedstawienia współtworzą dezorientującą mieszaninę ułudy i rzeczywistości. Jak sobie poradzić ze sprzecznymi pragnieniami odkrywania się i bycia zakrytym? Jak przezwyciężyć obawę, że nie wszystko zostanie wypowiedziane?

Tych kilka malowniczych lęków to tylko przedsmak, zapowiedź tego, co mogą państwo przeczytać w „Lęku i olśnieniu. Esejach o kulturze niepokoju”, gdzie Leszek Koczanowicz, także kulturoznawca i politolog, omawia obawy przed polityczną perswazją („polityka między deliberacją a uwodzeniem”), analizuje niepokoje wspólnoty czy lęk przed starzeniem się. A wśród wielu ciekawych myśli, intelektualnych zgęstek i erudycyjnych przytoczeń, znajdziecie tam Państwo eseje osobiste, lżejsze, przesunięte w stronę literatury.

Do słynnych, zapamiętanych przez wiersz pytań Miłosza, dorzuca Koczanowicz dwa inne: „Co nam się przydarzyło?” i „Co znaczy to, co nam się przydarzyło?”. Dlatego to rzecz nie tylko dla tych z Państwa, którzy przestali wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę, ale także dla czytelników szukających towarzysza do rozmyślań o naszej nieustalonej, rozmytej i arcyciekawej nowoczesności.

Pamięć zwykła i narodowa

O rozczarowaniach prof. Andrzeja Romanowskiego

Jerzy Czech

Gdybym miał najnowszemu zbiorowi publicystyki prof. Andrzeja Romanowskiego „Antykomunizm, czyli upadek Polski” nadać inny tytuł i użyć tylko jednego słowa, wybrałbym: ROZCZAROWANIA. Bo choć na książkę złożyły się teksty pisane przez lat ponad 20, tworzą one wyraźną całość – zapis rozczarowań autora. Czym? Ano prawie wszystkim w sferze publicznej, co było mu drogie i czemu poświęcił większą część życia: „Tygodnikiem Powszechnym”, Solidarnością, Unią Demokratyczną (później Wolnością). Rozczarowania są rzeczą naturalną, jednak Andrzej Romanowski był „Tygodnika” długoletnim współpracownikiem i redaktorem, do obu zaś Unii nie tylko należał, ale i zasiadał w ich władzach. Gdy jednak stwierdził, że nie uda mu się przekonać kolegów w ważnych dlań sprawach, porzucił i pismo, i partię.



łączy z postawą naukowca, który nie milczy, jeśli widzi coś innego niż to, czego by sobie życzył. Jak ten profesor z rysunku Mleczki, mówiący do asystentów: „Głupia sprawa, okazało się, że wódka i papierosy są bardzo zdrowe”. To żart, ale poważny uczoney musi być na coś takiego gotowy.

O Janie Pawle II, owszem, pisuje się dziś krytycznie, ale głównie o jego

terytorium dla Kościoła. Albo te żale, że po 1989 r. Kościół nie czuł się dostatecznie miłowany przez „Tygodnik Powszechny”. Kiedy przełożymy je z papieskiego na nasze, okaże się, że „TP” nie zawsze pisał to, czego biskupi sobie życzą.

Wojna o zakaz aborcji, poprzedzona zwycięskim blitzkriegiem o religię w szkołach, sprawiła, że Kościół intelektualnie bardzo podupadł. A przecież w poprzedniej dekadzie w kościołach występowali intelektualiści będący z ortodoksją na bakier czy wręcz niewierzący. Przyszła wolność i już nawet nie wszystkich katolickich mówców tam wpuszczano. Kościołowi potrzebni byli nie katolicy otwarci, dzielący włos na czworo, ale karni żołnierze. Liczył się każdy, bodaj ostatni fajdak, jeśli tylko publicznie wypowiadał się „za życiem”. Nie działało się to wbrew papieżowi, przeciwnie; oszukujemy się, przeciwstawiając Kościół Wojtyły Kościołowi Rydzkiego. To za polskiego papieża zaczął triumfować obskurantyzm, a górę wzięli ludzie pławiący się w nienawiści do inaczej myślących. Jeśli dzisiejsze wzmożenie narodowo-klerikalne widzi w Janie Pawle II swojego patrona, to... może ma rację?

Romanowski stawia pytanie zasadnicze: jaki Kościół zostawił zmarły papież swojemu krajowi?

Łatwo się mówi, trudniej robi, zwłaszcza w Polsce, gdzie względy towarzyskie znaczą więcej niż wszystkie inne. Za głoszenie rzeczy niepopularnych w środowisku płaci się osamotnieniem, co jeszcze nie jest najgorsze. Nie wiem, jak samotny czuje się Andrzej Romanowski, ale słyszeliśmy przecież, wiemy o atakach i groźbach pod jego adresem.

Lista rozczarowań

A to wcale nie koniec listy rozczarowań. Że zawiódł się na polskim Kościele, wiemy z poprzednich książek. W „Antykomunizmie” dochodzi do tego polski papież i... – co tu ukrywać – polski naród. Bagatela! No ale prof. Romanowski nie uprawia propagandy; swadę polemisty

domniemanym udziale w ukrywaniu pedofilii. Romanowski stawia zaś pytanie zasadnicze: jaki Kościół zostawił zmarły papież swojemu krajowi? I nie zachwyca go odpowiedź, jaka mu się nasuwa. Sam mam duży problem z tą postacią – urokowi „naszego papieża” trudno było nie ulec i dlatego tak trudno chłodnym okiem spojrzeć na jego spuściznę. Jego wybór miał znamiona cudu, podobnie jak pierwsza pielgrzymka, kiedy po drętwej mowie witających go oficjeli przemówił ludzkim językiem i „odnowił oblicze tej ziemi”. Po latach nie tak wielu okazało się, że jedną nowomowę zastąpiła druga. Papież wołał: „Brońcie krzyża!”, a cóż właściwie się stało? Tatarzy nas najechali i zamienili kościoły w meczety? Nie, wzywał po prostu: wciskajcie krzyż, gdzie się da, bo tak znaczący

Impuls lustracji

Ale nie rozczarowanie katolicyzmem skłoniło Andrzeja Romanowskiego do podjęcia kampanii publicystycznej, której owocem jest „Antykomunizm”. Impuls dała sprawa lustracji i związanego z nią Instytutu Pamięci Narodowej. Oprócz znanych już bojów antylustracyjnych książka przynosi nowe, jak ten późniejszy o lat kilka, a dotyczący sprawy Witolda Pileckiego. Posiadane przez IPN dokumenty świadczą o tym, że aresztowany rotmistrz już pierwszego dnia złożył obszerny zeznania, pogrążając siebie i współpracowników. Albo zatem nie jest bohaterem bez skazy, albo w aktach UB są fałszy. Oczywiście autor nie osądzał tej postaci, tak czy owak wybitnej,

kwestionował jedynie dogmaty IPN, który głosi rzeczy dokładnie przeciwne: rotmistrz jest jak sztandar, a dokumenty są wiarygodne, bo „bezpieka samej siebie nie oszukiwała”. Publicysta pyta dramatycznie: czy ipeenowscy historycy czytają to, co publikują, i czy w ogóle myślą? Ano nie czytają i nie myślą, bo nie muszą. I co im zrobimy?

Po różnych skandalach, dowodzących, że lustrowano „po uważaniu” i o tym, kto jest agentem, decyduje prawica, pojawiły się głosy,

Czy ipeenowscy historycy czytają to, co publikują, i czy w ogóle myślą? Ano nie czytają i nie myślą, bo nie muszą. I co im zrobimy?

że chociaż sam pomysł był słuszny i zbawienny, to psują go nieudolni wykonawcy. Niestety, nie istnieje platońska idea lustracji, zawsze mamy do czynienia z lustracją rzeczywistą. A ta była brzytwą, która nieuchronnie musi trafić w ręce małpy. I nie można było przeprowadzić jej dobrze, bo od początku różne małpy łapska po tę brzytwę wyciągały.

Romanowski prędko się zorientował, że tak naprawdę w całej tej hecy nie chodzi o lustrację. O co w takim razie? Można się pokusić o odpowiedź, czytając jego uwagi o starej i młodej redakcji „Tygodnika”. Ano właśnie. Taki podział w skali mikro ukazywał konflikt pokoleniowy w całym „obozie postsolidarnościowym”, dający o sobie znać już w czasie tzw. wojny na górze. Solidarność przetrwała w podziemiu głównie dzięki ludziom młodym. To oni najbardziej się narażali, oni drukowali i kolportowali „bibułę”, a działali anonimowo. Ale po zwycięstwie rewolucji zawodowi rewolucjoniści zawsze są problemem. Spodziewali się Bóg wie czego, więc poczuli się zawiedzeni, zwłaszcza że merytorycznie przygotowani byli tak sobie. Ludzi „z nazwiskami” musieli postrzegać jako przeszkodę, choćby i podświadomie. Jak może się dowartościować ktoś, kto niewiele osiągnął? Podważa osiągnięcia innych: może oni i sławni, ale kiedy tę stawę zdobyli? A, tu ich mamy!

Do spółki ze wszystkimi, którzy się „nie załapali”, zaczęto tworzyć wizję Peerelu, państwa tak straszliwego,

że każdy, kto w nim do czegoś doszedł, musiał być „komunistą” albo „agentem”, a w ostateczności „różowym” albo „katolewakiem”. Zawsze był gorszy od autora owej wizji, który nie splamił się współpracą z „komuną” i rósł teraz we własnych oczach, wybierając sobie z historii odpowiednich antenatów. Jeden z publicystów porównał nawet siebie i swoje pokolenie do podchorążych z Nocy Listopadowej. Bo choć w stanie wojennym nie kiwnął palcem, to po 1989 r. był tak wojowniczy, że ho, ho!

Z tego punktu widzenia lustracja nie była błędem ani kombatancką obsesją, ale racjonalnym postępowaniem. Miała oczyścić nasze życie, czego nie zrobiła, za to niejednemu oczyściła drogę awansu. I to w patriotycznym opakowaniu: „Hej, teczki w dłoń, bolszewika goń”, chociaż bardziej pasowałaby tu pieśń „Czy widzisz te stołki na szczycie?”. Metoda uniwersalna i skuteczna do dzisiaj, o czym przekonał się niejednen zwolennik dekomunizacji i lustracji, dzisiaj wyzywany od „komunistów i złodziei”.

Kukiz był „w porzo”

Romanowski uważa, że do dzisiejszego „spisienia” doprowadził Polskę ówczesny antykomunizm (raczej antypostkomunizm) strony solidarnościowej, a uległ mu,

Dokumenty IPN świadczą o tym, że aresztowany rotmistrz Pilecki pierwszego dnia złożył zeznania, pogrążając siebie i współpracowników.

niestety, także umiarkowany nurt z Unią Demokratyczną na czele. Czy naciskana ze wszystkich stron UD-UW mogła nie ulec szantażowi i nie twierdzić, że ludziom SLD „mniej wolno”? Gdyby była normalną partią, na chłodno ważącą zyski i straty, toby mogła. Sęk w tym, że nie była; poszła więc z ludźmi, którzy z całej duszy jej nienawidzili, i... to ją zgubiło. Chyba nie jest pociechą fakt, że jej następczyni, Platforma, popełniła podobne błędy.

Niewesoła to książka. Powinni ją przeczytać ci, którzy dziś pomstują

na PiS, i odpowiedzieć sobie, na ile sami do jego triumfu się przyczynili. Dzisiaj prof. Rzepliński cieszy się szacunkiem jako obrońca sądownictwa, ale współtworząc ustawę lustracyjną, naruszył zasadę równości wobec prawa. Oburzaliśmy się, kiedy kampania nienawiści doprowadziła do mordu na prezydencie Adamowiczu. Ale to nie zaczęło się kilka lat temu i nie było specjalnością wyłącznie PiS. Jakoś nie pamiętam, by kogokolwiek oburzyła piosenka Pawła Kukiza: „Jak ja was kurwy nienawidzę, / Jak do was bym z kałacha bił...”. Cóż, wymierzona była w SLD, więc Kukiz był „w porzo”, dostał nawet

Order Uśmiechu (chyba upiornego). Dziś tej piosence na YouTube towarzyszą zdjęcia polityków PO, bo kto brał udział w seansach nienawiści, ten może w końcu paść ich ofiarą.

Dlaczego tak późno zorientowano się, że nie warto się licytować z PiS na antykomunizm, bo nie chodzi o agentów, prawdę historyczną ani pamięć, gdzie stało ZOMO, tylko o władzę dla Kaczyńskiego i jego ludzi, a komunistą jest każdy, kto temu się sprzeciwia? Prezes tworzy mity, ale czemu tylu ludzi, niby rozsądnych, musiało te mity przyjmować, zamiast, tak jak autor książki, odwołać się do pamięci zwyczajnej, dobrej, a nie narodowej, i po prostu uznać fakty?

Pisarstwu Andrzeja Romanowskiego przyświecają dwie zasadnicze idee. Pierwsza to chrześcijaństwo, rozumiane jako religia miłości

i przebaczenia, drugie – tradycja realizmu politycznego, walki na racje, a nie emocje. W kraju ponoć chrześcijańskim, w mieście, gdzie wypowiedziano myśl, że fałszywa historiografia owocuje fałszywą politykę, nie powinno to chyba nikogo dziwić. Dlaczego więc ciągle jest uważane za ekstrawagancję?

Jerzy Czech – tłumacz literatury rosyjskiej, publicysta, poeta. Autor tekstów do programu Przemysława Gintrowskiego „Kamienie”. Członek założyciel ROAD i Unii Demokratycznej, z której wystąpił w 1993 r. Laureat Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego.

Albo jest się synonimem, albo anonimem

To są czasy, które nie tolerują renesansowych postaw

Rozmawia Artur Zaborski

Kino to dla pana przede wszystkim obrazy?

– Nie, w „Dolinie Bogów” jest historia, a nawet kilka historii opowiedzianych nielinearnie. To, że stosuję język wizualny, stało się znakiem rozpoznawczym. Jestem – jak to nazywają w USA – artystą wizualnym.

Czyli szersza kategoria niż reżyser? Przysparza estymy?

– To są czasy, które nie tolerują renesansowych postaw. Albo jest się synonimem, albo anonimem. Trzeba być synonimicznym, to znaczy na przykład, że jeżeli ktoś kojarzy się z grą w tenisa ziemnego, to nie może już parać się grą w tenisa stołowego. **Panu się podoba, że mówią „artysta wizualny” zamiast „reżyser”?**

– Traktuję mnie w świecie bardziej jako artystę z pogranicza sztuk wizualnych i kina niż reżysera. Mają problem z kategoriami, do których mogę należeć. Mam na świecie wystawy, uhonorowano mnie retrospektywą w Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Kurator powiedział mi, że zwykle robi się to komuś, kto umarł albo ma 90 lat. A to pierwsze muzeum sztuki nowoczesnej na świecie. Ustawiło odbiór moich prac jako twórczość artysty wizualnego, osobnego, poszukującego innych wymiarów narracji i formy filmowej, podobnie jak Matthew Barney czy Bill Viola.

Może być to atut lub problem.

– Jest mi obojętne, jak mnie kategoryzują, bo twórczość wizualna jest immanentną częścią mnie. Całe życie idę swoją drogą i robię swoje projekty. I tak to będzie wyglądało, niezależnie od tego, do jakiego worka zostanie włożone. „Onirica” podróżuje po całym świecie. We Włoszech były wielkie debaty o tym filmie. Największe gazety włoskie, „La Repubblica” czy „Corriere della Sera”, rozpiswały się o nim jako



LECH MAJEWSKI

– reżyser

o najlepszej adaptacji filmowej ich poematu narodowego – „Boskiej komedii” Dantego. Liczba artykułów i skala tego, jak pisano o tym filmie, była niespotykana nawet dla twórców włoskich. Pisano: „Dante, żeby opisać współczesnych, użył przewodnika sprzed 1100 lat – Wergiliusza, natomiast Majewski, żeby opowiedzieć o współczesnej Polsce, użył przewodnika sprzed 700 lat – Dantego”. Jednocześnie w Polsce mój film jest prawie nieznan. Przemknął przez kilka kin studyjnych, telewizja nie zdecydowała się go zakupić. Mogę mówić o recepcji filmu w świecie, a w Polsce nikt nie będzie wiedział, o czym my właściwie rozmawiamy. **„Dolinę Bogów” też kupiło wiele krajów.**

– Na razie 83 kraje, a wciąż prowadzimy rozmowy z Ameryką Południową. Jak dobrze pójdzie, to będzie ich łącznie ponad setka. To jest fenomen,

że on się tak dobrze rozchodzi, chociaż nie jest *stricto* komercyjny. Uważam, że trzeba go zobaczyć kilka razy, bo jest w nim sporo rzeczy ukrytych. Ja idę pod prąd w myśl zasady, że kto idzie pod prąd, dotrze do źródła. Raczej ukrywam pewne narracje, treści, opowieści, niż je eksponuję. Uważam, że filozoficznie, ontologicznie jedyną prawdą, którą zdecydowanie można powiedzieć o naszej egzystencji, jest to, że jest owiana tajemnicą. Wszelkie próby wyjaśnienia czegokolwiek są skazane na porażkę. Bardzo się cieszymy, kiedy oglądamy jakiś kryminał, w którym wszystko na końcu jest wyjaśnione – a zwykle te wyjaśnienia są dość banalne – bo powodują, że mamy spokój.

Pan nie pragnie spokoju?

– Przeżyty mnie filmy, które wywołują niepokój. Jak się zobaczy „Powiększenie” Antonioniego, to nie da się nie czuć niepokoju. Istotą tego filmu jest tajemnica.

Antonioni jest panu bliski?

– Na początku mojej drogi życiowej Antonioni przyszedł do mnie na

plan filmowy. Pamiętam, że byłem na drugim roku w szkole filmowej i robiłem fabularną etiudę u Wojciecha Jerzego Hasa, który wymagał od nas precyzji – myślenia obiektywnie. Dla mnie była to czarna magia. Andrzej Słowicki, który był wówczas szefem klubu filmowego Kwant przy Politechnice Warszawskiej, powiedział: „Słuchajcie, chłopaki, Antonioni przyjeżdża do Kwantu z filmem »Zawód: reporter«”. Nie mogłem w to uwierzyć. Marzyłem o spotkaniu z nim, bo Antonioni stał u źródeł mojej decyzji o pójściu do szkoły filmowej.

W jaki sposób na pana wpłynął?

– Musiałbym się cofnąć do moich pobytów w Wenecji, kiedy chciałem być malarzem. Giorgione i jego obraz „Burza” zawsze były dla mnie miejscem, w którym mogłem trwać. Przychodziłem do muzeum Galleria dell’Accademia i stałem przed tym obrazem kilkadziesiąt minut, mimo że na nim nie dzieje się nic. Jest młody chłopak, paż, oparty o włócznię, strumyk i naga kobieta z dzieckiem – macierzyństwo, a nad nimi jest kładka przerzucona przez rzeczkę, jeszcze wyżej zaś ciemne niebo z błyskawicą. Niby nic się nie dzieje, a jednak jest to jeden z najbardziej tajemniczych i inspirujących obrazów, ponieważ dostarcza mnogości interpretacji. Kończę teraz książkę „Ukryty język symboli”, w której piszę o tym i przechodzę przez różne odczytania tego dzieła. Zawsze chciałem tak malować, ale pewnego dnia uświadomiłem sobie, że już gdzieś doznałem podobnego wzruszenia i było to w „Powiększeniu” Antonioniego, a konkretnie w scenie w parku, która miała takie samo metafizyczne drżenie, jak obraz Giorgionego. Pomyślałem wtedy, że gdyby Giorgione żył, robiłby „Powiększenie”, a Antonioni jest współczesnym Giorgionem. Moje myślenie podobało się Hasowi. Został też moim opiekunem artystycznym.

Przyjaźniliście się?

– Mieliśmy dobre porozumienie ze sobą, ale to był raczej kontakt

uczeń i mistrz. Wiedział, że piszę wiersze, czytał je, cenił też moje obrazy olejne. On sam był architektem – myślał przestrzeni. Dopiero po ukończeniu studiów nasza relacja przerodziła się w przyjaźń. Drugim błogosławieństwem w szkole filmowej był Grzegorz Królikiewicz, który miał skalpelowy umysł przy analizie filmów, a trzecim Marysia Kornatowska, która cały czas opowiadała o Fellinim i Antonionim. To była mocna ekipa.

Pan robi fabularną etiudę u Hasa, a do Warszawy jedzie Antonioni. Spotykacie się?

– Tak się złożyło, że Antonioni miał być w Warszawie w niedzielę, a w poniedziałek miałem zacząć etiudę dla Hasa w Łodzi. Cały czas wkuwałem na pamięć ustawienia kamery: co to jest oś, prawo, lewo. W ogóle nie wiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi. Przerażony byłem

Całe życie idę swoją drogą i robię swoje projekty. I tak to będzie wyglądało, niezależnie od tego, do jakiego worka zostanie włożone.

tym, co mnie czeka. Okazało się, że gdybym pojechał na Antonioniego, nie miałbym powrotnego pociągu, który pozwoliłby mi zdążyć na plan do Hasa.

Co pan wybrał?

– Walczyłem ze sobą długo, aż w końcu z bólem zdecydowałem, że zostaję, bo obowiązek ważniejszy. W ogóle tej nocy z niedzieli na poniedziałek nie spałem, mając świadomość, że powinienem się zobaczyć z Antonionim. Gdy przyszedłem bladym świtem w poniedziałek do atelier, powiedziano mi, że właśnie jedzie do nas Antonioni na spotkanie ze studentami. Urwałem się z planu mimo gróźb mojego producenta Henryka Romanowskiego, który zapowiedział, że jeśli się urwę, to on rzuca pracę ze mną. Byłem tylko kilkanaście minut na

spotkaniu z włoskim mistrzem, a potem wróciłem do atelier i siedziałem rozbity na zdezelowanej sofie, która była częścią dekoracji. Wtedy drzwi się otworzyły i wszedł Antonioni – rejestrowała to kronika filmowa. Podszedł do mnie, uściśnął mi rękę i powiedział: „Buona fortuna”. Tak mi życzył i teraz wraca do mnie co jakiś czas w taki czy inny sposób. Ostatnio też się pojawił.

W jakich okolicznościach?

– Uczę w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie. Profesorowie podarowali mi dwutomowy album, w którym każdy film Antonioniego jest analizowany kadr po kadrze, także pod kątem ustawienia kamer. To zbiorowa praca wykładowców. Trudno po tej lekturze nie stwierdzić, że Antonioni był wybitnym twórcą wizualnym. Jego język był głęboko przemyślany i bogaty w formę. Te albumy wspólnie to eksponują.

Widzi pan naśladowców Antonioniego we współczesnym kinie?

– Jestem członkiem Akademii głoszącej na filmy i twórców ubiegających się o nominację i statuetkę Oscara. Oglądam mnóstwo filmów i muszę powiedzieć, że dbałość o formę jest coraz większa. Chociażby kilka lat temu „Anna Karenina”, film na pograniczu teatru, który bardzo wizualnie rozwiązywał kwestię przestrzeni. Dla mnie dobrze formalnie realizującym siebie filmem zdecydowanie jest „1917”, to on powinien zdobyć w tym roku Oscara, a nie „Pasożyt”. Teraz wszyscy jedzą tyżkami ten koreański k-pop. W „Pasożycie” jest kilka dobrze zakomponowanych ujęć, obiekty zdjęciowe są prawidłowo dobrane i nic więcej nie zostaje z tego filmu poza banialukami, że ludzie są źli i manipulują. Co to za odkrycie? Nie ma żadnej metafizyki, żadnej tajemnicy. Wszystko jest zawinięte w koreańską wstążkę.

A ta zabawa z widzem, te scenariuszowe wołty nie zachwyciły pana?

– Znam znacznie lepsze zabawy w powieściach kryminalnych. Albo w „Pulp Fiction”, który jest interesujący ze względu na dyskurs

Lech Majewski – ur. w 1953 r. w Katowicach reżyser, malarz, poeta i pisarz. Członek Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej. Autor wysmakowanych wizualnie filmów: „Wojacek” (1999), „Angelus” (2001), „Szkłane usta” (2007), „Młyn i krzyż” (2011), „Onirica” (2013). **21 sierpnia do kin trafi jego najnowszy film „Dolina Bogów” z hollywoodzką obsadą: John Malkovich, Josh Hartnett i Bérénice Marlohe.**

► podskórny między przypadkiem a determinacją. To film, który filozoficznie rzecz biorąc, pyta, w którym momencie rządzi nami przypadek, a w którym momencie wola. Pełno jest w nim biblijnych odniesień, choćby dyplomatka, którą otwierają, a z której bije blask. Nie wiemy, co jest w środku, ale jest tak filmowana, jakby była Arką Przymierza. Nie mogę oglądać też już tych filmów zabawek typu „Superman kontra Godzilla”, „Godzilla kontra Transformers”, „Batman i Kapitan Ameryka”, bo to pornografia wizualna. Dla mnie zadziwiające jest, że ludzie na to chodzą do kina i jeszcze znajdują w tym satysfakcję, nie martwiąc się, że wydali X złotych polskich.

No ale przecież to jest tak spektakularne!

– Dobrze, ale jeśli efekt na efekcie pogania efektem, to traci jakąkolwiek siłę oddziaływania. Gdy miałem francuską premierę „Młyna i krzyża” w Luwrze, gdzie po projekcji odbył się bankiet, podeszła do mnie Rita Gombrowicz i mówi:

„To jest najbardziej okrutny film, jaki widziałam w swoim życiu”. Patrzę na nią i pytam: „Dlaczego? Przecież każdy horror ma piętrzące się okrucieństwo, w takich filmach świadrem wydłubując oczy”. Ona mówi: „Tak, ale tamte to są tylko filmy”. W „Młynie i krzyża” tego okrucieństwa jest bardzo niewiele, a ona mi coś takiego powiedziała.

Kto idzie pod prąd, dotrze do źródła.

Skąd zatem takie twierdzenie?

– Właśnie dlatego, że tego jest mało.

A jednak współcześni widzowie wydają się preferować nadmiar.

– Coraz mniej rozumiem, czym się fascynują współcześni ludzie. Interesuje ich jakaś szafiarka albo jakiś gwiazdor, słuchają, co mają do powiedzenia na tematy niezwiązane z nimi. Ta fascynacja pachnie ucieczką od samego siebie. Moja droga jest odwrotna. Filmami, które robię, chciałbym przywrócić nas sobie.

Miałem taki moment w MoMA, prezentując serię wideoartów ze wspólnym bohaterem – poetą zamkniętym w szpitalu dla nerwowo chorych. Na ekranach były częściowo jego wspomnienia, a częściowo wyobrażenia, mitologizacje traumatycznych momentów z jego życia, strzępy, z których buduje się osobowość wrażliwego młodego człowieka. 33 takie

wideosceny rozmieszczone były w różnych salach i w zależności od tego, w której sali zaczynało się oglądać, zmienił się sens narracji, tak jak u Borgea w „Ogrodzie o rozwidlających się ścieżkach”. W MoMA był wernisaż, a potem spotkanie ze mną, na którym ktoś zadał mi pytanie: „Dlaczego te wszystkiego wideoarty mają dźwięk, a nie mają słów?”. Już chciałem odpowiedzieć, ale druga osoba na sali powiedziała: „To pan nie słyszał? Tam jest pełno dialogów”. Inni ludzie zaczęli się włączać i zanim cokolwiek zdołałem powiedzieć, sala była podzielona na dwa obozy: jedni twierdzili, że nie ma żadnych

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!

STODOŁA PROJEKT
ARTYSTYCZNY
MIEJSC



LADY PANK

20.11 | STODOŁA, WARSZAWA
21.11 | STODOŁA, WARSZAWA



**MAREK
DYJAK**

16.12 | STODOŁA, WARSZAWA



**ASAF
AVIDAN**

8.02 | KWADRAT, KRAKÓW
10.02 | PROXIMA, WARSZAWA



**BASIA
TRZETRZELEWSKA**

21.05 | STARY MANEŻ, GDAŃSK
22.05 | STODOŁA, WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOŁA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL



Dolina Bogów



dialogów – i ci mieli rację – a drudzy, że jest ich pełno. Mnie zaintrygowała ta druga grupa.

Jak się wytłumaczyli?

– Okazało się, że zaczęli dialogować sami z sobą. Skoro zdołałem ich nakłonić do rozmowy z samym sobą, osiągnąłem to, do czego zmierzałem. Dla mnie ważne jest to, czy mój widz rozmawia ze sobą, czy nie.

Dlaczego ten cel jest dla pana ważny?

– Bo obecnie wszyscy się boją rozmawiać sami ze sobą. Działam obrazem, dźwiękiem, formą – staram się działać na zmysły. Mam wystarczająco dużo dowodów fascynacji moimi filmami ze świata, żeby robić je dalej. Mam sześć fanklubów w Japonii, w Argentynie, w Iranie.

A jak jest w Polsce?

– Trudno powiedzieć, ale na pewno nie tak dobrze jak gdzie indziej.

Z czego to wynika?

– Nie mam pojęcia, bycie prokiem we własnym kraju, to, jak wiemy, trudne zadanie. Gdy miałem wystawę w warszawskiej Zachęcie, jedynym reżyserem, który ją oglądał, był Andrzej Wajda. Mało tego, wpisał do książki pamiątkowej entuzjastyczne słowa. Pamiętam, jak złapał mnie na którymś z lotnisk i mówił, jak bardzo mu zależy, żeby zrobić film o Andrzeju Wróblewskim, a w końcu zrobił film o Strzemińskim. Dziwne, robił wszystko dookoła, a nie zrobił tego, na czym mu najbardziej zależało. Z Wróblewskim byli przyjaciółmi, studiowali razem w Krakowie, aż się prosiło... Ale Fellini też nie zrobił „Podróży Mastoriny” – u obu tych twórców najważniejsze dla nich filmy nie powstały.

U Wajdy Wróblewski cały czas powracał. Pamiętam, że we „Wszystko na sprzedaż” jest taka scena, w której milicja rzuca kukłę na drogę, a Łapicki ją przejeżdża. Oni sprawdzają, czy kierowca zareaguje na człowieka, którego potrącił, i wtedy wmontowane są obrazy Wróblewskiego.

Wajda, tak jak pan, kochał malarstwo. Do późnej starości był w stanie wsiąść w samolot i lecieć do Nowego Jorku, żeby obejrzeć ważną dla niego wystawę. Widzi pan następców takich ludzi w młodych reżyserach?

– Jest Łukasz Ronduda, który jest immanentnie w środowisku artystycznym, podobnie Wilhelm Sasnal, malarz robiący filmy. Jest takich osób więcej niż kiedyś. Na pewno nie jest tak, że ta tradycja jest martwa, że nikt

Jedyną prawdą o naszej egzystencji, jest to, że jest owiana tajemnicą.

z młodszych twórców już świata kina i sztuk wizualnych nie łączy. Oczywiście na świecie tych przypadków jest więcej, choćby Julian Schnabel, do którego kariery filmowej sam się przyczyniłem, powierzając mu debiut – reżyserię „Basquiata – Tańca ze śmiercią”.

Pan to w ogóle ma nosa do młodych, którzy potem zostają gwiazdami. Przecież u pana debiutował sam Viggo Mortensen...

– ... który mało co w Polsce nie zginął.

Jak to?

– Producent Henryk Romanowski załatwił mu piękną willę w Łebie,

mimo że Viggo był wtedy nikim, ale Viggo powiedział, że nie chce żadnej willi, tylko beczkowy namiot na brzegu jeziora Łebsko. Cateringiem zajmowała się córka lokalnego rybaka. Słowa po angielsku nie mówiła, lecz jakoś się z Viggim dogadali i mieszkali w namiocie na wydmach. Ekipa dopływała do tego miejsca każdego dnia specjalną łódką i pewnego poranka, gdy dopływaliśmy, usłyszeliśmy krzyk: „Pomocy!”. Kaskaderzy wyskoczyli z łódki i pobiegli w jego stronę, gdzie okazało się, że Viggo zapadł się w ruchomy piasek w wydminie, a krzyczał po polsku stróż, który opiekował się sprzętem pod naszą nieobecność.

Sprawa była poważna?

– Był do pasa w piasku i zapadał się głębiej. Co się zapierał, to ręka mu wpadała w mokry miąższ. Kaskaderzy położyli na mokrym piasku drabinę aluminiową i starali się szpadlem kopać dookoła Viggo, ale bez rezultatu. Ciągnęli, ciągnęli Viggo za ręce, aż w końcu go wyciągnęli, bielusińskiego, bo odpłynęła mu krew. Producent Romanowski zdecydował, że musimy wysłać Viggo do szpitala, bo wyglądał naprawdę źle. Viggo się uparł, że nigdzie nie pojedzie. Po półtorej godziny krążenie mu wróciło, bolało go, ale przeżył. Wiele lat później zagrał główną rolę w filmie „Hidalgo – ocean ognia”. Przechodziłem pod plakatem, na którym napis grzmiał: „Pustynia jako śmiertelna pułapka”. Mogłem tylko stwierdzić, że dla Viggo ten napis był wyjątkowo celny! (śmiech)

Artur Zaborski

FESTIWAL

26. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

Marcin Wasilewski Trio & Adam Pierończyk – Arctic Riff

W zeszłym roku pianista Marcin Wasilewski, kontrabasista Sławomir Kurkiewicz i perkusista Michał Miśkiewicz obchodzili 25-lecie bardzo owocnej współpracy artystycznej. Odkąd ten ostatni dołączył do składu, formacja działała jako kompletny band niepoddający się zawirowaniom personalnym. Trio jest dziś marką samo w sobie, ale przez 15 lat muzycy byli towarzyszami Tomasza Stańki, nagrywając z nim trzy albumy dla wytwórni ECM i koncertując na całym świecie. Grali też choćby z Charlesem Lloydem i Nilsem Petterem Molværem, a teraz ukazał się ich nowy album, na którym łączy z nimi siły amerykański saksofonista Joe Lovano. Na scenie na Starówce materiał z „Arctic



Riff” zaprezentują z wybitnym saksofonistą Adamem Pierończykiem, jednym z najbardziej kreatywnych polskich muzyków jazzowych.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 22 SIERPNIA, GODZ. 19
(ap)

NA EKRANACH



„BABYTEETH”

reż. Shannon Murphy,
prod. USA/Australia 2019,
już w kinach

„Babyteeth” nie zapowiada się na historię nastolatki umierającej na raka, a co najwyżej z przedawkowania LSD. Wszystko

łśni tu pastelą, łącznie z intensywnie zielonymi perukami przyciętymi w nieszablonowe kształty, którymi zastrania tysią głowę Milla, oraz strojami, które raz robią z niej prymuskę, a za chwilę lolitkę rodem z japońskiej mangi dla dorosłych. Narkotyki zresztą też tu są – diluje nimi Moses, bezdomny rozrabiaka, któremu uroku nie odbiera nawet rozkwaszony nos. Milla odzyskuje przy nim chęć życia, a jej rodzice stają przed dylematem: pozwolić córce odejść na własnych warunkach czy trzymać ją pod kloszem, by wydusić od losu dodatkowy dzień albo dwa? Debiutantka Shannon Murphy nie zapomina też o Mose-sie, który niby ma wszystko w nosie, ale czy rzeczywiście jest w stanie zdystansować się od zegara odliczającego czas Milli? Filmy o ludziach, którzy muszą odejść, mając całe życie przed sobą, to już w kinie amerykańskim osobny gatunek. Ten wyróżnia się, bo nie jest ani łzawy, ani litościwy wobec tych, o których opowiada.

Artur Zaborski

NOS4A2

prod. USA, AMC, czwartki, godz. 21.00

To przede wszystkim popis speców od charakteryzacji. Znany z roli młodego Spocka w serii „Star Trek” Zachary Quinto ulega tu przeobrażeniom z niedołęznego staruszka w emanującego witalnością przystojniaka. Co prawda, żeby metamorfoza mogła zajść, Charlie Manx musi podkraść dziecko i wyssać z niego życiową energię, ale co począć, skoro tak go natura stworzyła? Wariacja na temat Nosferatu ma na ekranie znacznie więcej odstępstw od oryginału. Choćby Victorię McQueen – 18-latkę, która odkrywa zdolność przenoszenia się w przestrzeni. To ona stanie naprzeciwko wampira, a ich konfrontacja oferuje coś więcej niż pojedynek dobra i zła. Wszak oboje mają coś wspólnego: w niebezpieczny sposób odróżniają się od innych. Całość osadzona jest na amerykańskim wygwizdowie, co spodoba się fanom Stephena Kinga (literacki pierwowzór napisał jego syn, Joe Hill). Tak jak w jego twórczości, tak i tu małeletni bohaterowie marzą o ucieczce do świata, w którym coś się dzieje. I też będą musieli za te marzenia zapłacić słoną cenę.

Artur Zaborski



MIĘDZY OKŁADKAMI

Wiktor Krajewski

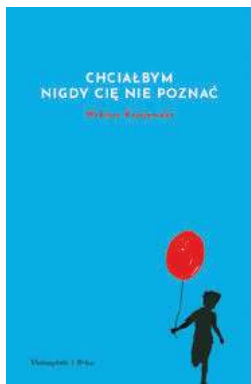
Chciałbym nigdy cię nie poznać

Prószyński i Ska, Warszawa 2020

Przejmująca, osobista opowieść o wielkiej miłości dziecka do babci. Wiktor Krajewski opisał wyjątkową, niemal matczyną relację, która ukształtowała go jako człowieka. „Szkoda, że nie jesteś moją mamą”, żali się jako mały chłopiec. Kilkadziesiąt krótkich rozdziałów to zapiski wspomnień dorosłego już mężczyzny, który

nie może się pogodzić ze stratą najbliższej mu osoby i najlepszego przyjaciela. „Ja umarłem w dniu jej śmierci. Razem z nią, ale jednak osobno”, pisze. Wnuk próbuje sięgnąć głęboko w zakamarki pamięci. Wspomina lekcje układania języka w rurkę, wpis w pamiętniku, spacer, rozmowy, wspólne tajemnice. Choć minęło 10 lat od śmierci babci, dojrzały mężczyzna czuje pustkę, której nie da się zapełnić. W tej sytuacji trudno stwierdzić, że czas leczy rany.

Rafał Piłkuła



Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Rozmawia Barbara Jagas

Większość z nas pracuje teraz online, także lekarze, ludzie nauki i pańscy studenci. Jakie zagrożenia widzi pan w związku z taką sytuacją?

– Dzięki internetowi mamy dziś w kieszeni wiedzę z całego świata i nikt nie musi chodzić do biblioteki, pracując naukowo czy dokształcając się. Ale jest jedna rzecz – trzeba umieć krytycznie weryfikować te informacje, zwracając uwagę na źródła, z których się korzysta. I tego staramy się uczyć naszych słuchaczy. Jednocześnie musimy być przygotowani na to, że będzie coraz więcej inteligentnych urządzeń, które np. będą lepiej niż lekarze diagnozowały problemy zdrowotne. A specjalne programy komputerowe będą nam podpowiadały, które leki z którymi można podać. I z tym trzeba będzie się zmierzyć, planując zajęcia. Sztuczna inteligencja będzie też wykorzystywana w normalnej edukacji i będzie to się odbywało lepiej niż za pośrednictwem kolegów lekarzy.

Chcąc, nie chcąc, już zaczęliśmy funkcjonować w takim świecie.

– Ale ta inteligencja będzie miała lepszy potencjał edukacyjny, choćby przez to, że będzie pokazywała w bardzo krótkim czasie tysiąc obrazów, których zgromadzenie i pokazanie zajęłoby normalnie wiele godzin.

Nie będzie już potrzebny człowiek, profesor?

– Będzie, ale tylko jako integrator. Może przydadzą się nauczyciele etyki, bo tutaj komputery będą miały kłopot. Ale do przekazywania wiedzy z innych dziedzin człowiek nie będzie potrzebny, a na pewno osobisty kontakt z nim, tak jak to się dzieje już teraz. I to bierzemy pod uwagę, szkoląc kadry przyszłości.

Wróćmy jednak do przeszłości.

Podobno w starożytności nerka była uznawana za centrum życia. Spotkał się pan z taką informacją?

– Nie tylko się spotkałem, ale uważam, że tak jest. Wystarczy zresztą zajrzeć do Starego Testamentu, gdzie jest napisane, że na ofiarę dla Jahwe brało się tłuszcz otaczający nerkę jako najcenniejszy. Nerki uważało się bowiem za siedlisko duszy. Dopiero Rzymianie przenieśli ją do serca.

Biosztuczna nerka?

To niejedyna przyszłość

To tragedia współczesnych ludzi, że choroby nerek są powszechne i powszechnie niewykrywane



PROF. RYSZARD GELLERT

– dyrektor Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, konsultant krajowy w dziedzinie nefrologii

Dlaczego?

– Być może dlatego, że kojarzyło im się bardziej z emocjami pozytywnymi. Natomiast w Biblii jest napisane: „Ja, Pan, badam serce i doświadczam nerki” (JR 17, 10), bo te dwa narządy były zawsze traktowane razem. Natomiast najstarsze odkryte wota religijne to właśnie nerki. I nerki są najlepiej schowanym narządem, lepiej niż mózg, są bardzo chronione w takiej otulinie tłuszczowej. Tak, to bardzo tajemniczy narząd. Zwłaszcza że przez stulecia nie wiadano, jak działają, pisano, że mają coś wspólnego z krwią i wyciąganiem wody z organizmu, ale nikt nie miał pojęcia, jak to się dzieje. Wiedzę na temat działania nerek mamy dopiero od stu lat. Jeśli chodzi o serce, reaguje ono na różne emocje – nie tylko radość, ale także zdumienie i niepokój. To była najprawdopodobniej ta zmiana

kulturowa, jaką przynieśli Rzymianie, dlatego serce stało się organem emocjonalnym. Nikt wtedy nie myślał, że to mózg może być odpowiedzialny za emocje. Natomiast serce ma pewną autonomię, chociaż kontrolowaną przez mózg emocjonalny, który odziedziczyliśmy po gadach. Serce to stary narząd, starszy niż mózg. Jednak możemy śmiało powiedzieć, że pozbawienie ciała głowy powstrzymuje pracę serca. A pozbawienie człowieka serca zatrzymuje pracę całego organizmu.

A pozbawienie nerek?

– Kiedyś zabijało, a teraz mamy sztuczną nerkę. Nie zastępuje ona wszystkich czynności, ale pozwala żyć.

Jaki jest następny krok?

– Nastąpił on w ubiegłym roku, w czasie listopadowego Zjazdu Amerykańskiego Towarzystwa Nefrologicznego, kiedy pokazano wyniki przeszczepienia biosztucznej nerki świni, która czuje się dobrze i nie wymaga ani podawania antybiotyków, ani leków przeciwkrzepliwych, ani immunosupresyjnych. Najprawdopodobniej za 10 lat transplantologia nerek od żywych czy zmarłych dawców będzie w zaniku, natomiast standardem terapii wszczepienia staną się nerki biosztuczne.

Chodzi o nerkopodobne urządzenia całkowicie zastępujące pracę naturalnych nerek.

– Tak, a postęp w kierunku zaadaptowania tej biosztucznej nerki do organizmu już trwa, bo świnia i człowiek to podobne organizmy. Natomiast nefrologia jest nauką nie o leczeniu sztuczną nerką, tylko o leczeniu własnych nerek pacjenta. I to moim

zdaniam jest przyszłość nefrologii, abyśmy mogli nieść pomoc kilkunastu procentom społeczeństwa, które mają chore nerki i nic o tym nie wiedzą. To tragedia współczesnych ludzi, że choroby nerek są powszechne i powszechnie niewykrywane.

Dlatego, że nie dają objawów?

– Głównie dlatego. Objawy dają zakażenia dróg moczowych, kamica, zakażone torbiele nerek. Czasem jest to mały nowotwór, który w tej chwili można bez problemu usunąć. Natomiast problemem jest cicha choroba nerek, która najczęściej jest następstwem nadciśnienia tętniczego lub cukrzycy.

A nie może być na odwrót, że najpierw choruje nerka, a potem mamy nadciśnienie?

– Porusza pani delikatny temat, bo my wiemy, że w którymś momencie zaczyna się błędne koło – chorujące serce uszkadza czynność nerek, chorujące nerki uszkadzają czynność serca, to się nazywa zespół sercowo-nerkowy, który ma pięć postaci. Niektórzy mówią, że najbardziej

klasycznym zespołem sercowo-nerkowym jest małżeństwo kardiologa z nefrologiem. To taki żarcik.

A czy nie jest tak, że wszystkie narządy wewnętrzne są ze sobą połączone?

– Na pewno. Wszystkie komórki w organizmie muszą się ze sobą komunikować, inaczej życie organizmu wielokomórkowego byłoby niemożliwe.

Jeśli ktoś będzie miał chore nerki lub układ dokrewny, wtedy będzie chorował cały organizm.

I oddziałują na siebie – gdy jeden organ choruje, to drugi też.

– Bardziej lub mniej. Jeżeli ktoś będzie miał chore mięśnie, to niekoniecznie zachoruje mózg. Ale jeśli będzie miał chore nerki lub układ dokrewny, wtedy będzie chorował cały organizm. Z przewlekłą chorobą nerek jest tak, jakbyśmy mieli do czynienia z zanieczyszczeniem wody w rzece. Wyobraźmy sobie, że komórki to są rybki pływające w wodzie, i kiedy

ją zanieczyszczamy, w końcu rybki przestają żyć. Ale najpierw czują się nieswojo, źle funkcjonują. I tak jest z naszym zatrutym organizmem. Jeżeli nie ma wystarczająco sprawnych nerek, wszystkie komórki zaczynają żyć w zanieczyszczonym środowisku. Wtedy organy wyrodnęją, chorują na nowotwór, powodują odczyn zapalny, który przyspiesza miażdżycę, starzenie się. Nasi pacjenci są biologicznie

kilka-kilkanaście lat starsi od tych, którzy na nerki nie chorują. Chore nerki powodują nadciśnienie tętnicze. A z kolei połowa przypadków choroby nerek to następstwo nadciśnienia tętniczego lub cukrzycy. Nierozpoznanych i nieleczonych.

Na nerki się choruje, ale z leczeniem jest krucho.

– Aby naprawić sytuację, potrzebne są zmiany w organizacji systemu opieki zdrowotnej. Bo my już wiemy, jak

EMILE HIRSCH KATE BOSWORTH MEL GIBSON

JUŻ NA BLU-RAY I DVD

IDEALNY CZAS NA ZBRODNIĘ

ZABÓJCZY ŻYWIOŁ

WP FILMWEB dlaStudenta.pl Militaria.pl P empik KINO ŚWIAT

z tymi pacjentami postępować. Mamy dla nich tanie lekarstwa, za grosze w porównaniu z tym, ile później kosztuje leczenie tych niecałych 5% osób, którym nerki odmawiają posłuszeństwa. I kiedy taki pacjent musi być leczony sztuczną nerką. Prezydent USA Donald Trump poprosił w zeszłym roku służbę zdrowia o przygotowanie takiego systemu, w którym 80% pacjentów w 2030 r. mogłoby być leczonych dializami w domu. To wykonalne, ale czy tych pacjentów musi być tak dużo? Moja odpowiedź brzmi: nie, nie musi. Wystarczyłoby, aby ludzie z chorobami nerek byli wcześniej zdiagnozowani i właściwie leczeni.

A co pan na taką hipotezę, że niebawem postęp medycyny będzie tak ogromny, że będziemy mogli żyć wiecznie?

– Są takie hipotezy, które kreują *homo deus*. Na razie nauka mówi nam, że możemy żyć 120 lat, zgodnie z tym, co jest zapisane genetycznie. Ale możemy się mylić i okaże się, że można żyć dłużej. To zależy od dwóch czynników: dobrych genów i zdrowego stylu życia.

Ale geny już możemy poprawiać

– Jeszcze nie bardzo, tu byłbym ostrożny, to ciągle teren zaminowany. W leczeniu raków mamy pewne rezultaty. Jesteśmy pionierami w zarażaniu nowotworów mózgu wirusami, które ten guz zabijają. Mamy doświadczenia słynne na skalę światową. Natomiast zmiana genów jest możliwa w przyszłości, ale to ciągle daleka droga.

Jakie pan widzi możliwości medycyny, aby pójść w kierunku przedłużania życia?

– Ależ medycyna nie jest od tego. Ona jest od naprawiania organizmu. Po co nam sztuczne zęby, narządy itp.? Lepiej żyć z tym, z czym przyszłiśmy na świat. Dopiero jak nam coś się popsuje, medycyna stwarza możliwości naprawy. Nasze organizmy to cudowna maszyna, wykształcona przez miliony lat, żeby nie powiedzieć – miliardy. Zapewne wszystko to zależy od tego, kto w co wierzy, dają tutaj wolność. Ale czy dla ewolucjonistów, czy dla kreacjonistów nasz organizm to niezwykła maszyna. Nie starajmy się jej nadmiernie poprawiać, bo nie taki był zamysł – czy to Przyrody, czy Stwórcy.

My na przykład już wiemy, że ktoś otyły po operacji bariatrycznej,



gdy już będzie szczupły, stanie się trochę innym człowiekiem – zmieni mu się charakter.

Naprawdę?

– Tak, to nie będzie ten sam człowiek. Więcej w nas jest bowiem komórek bakteryjnych, które zasilają jelito, niż tych, z których jesteśmy zbudowani. Każdy z nas ma inną florę bakteryjną i ona się zmienia w zależności od tego, co zjadamy. W momencie, gdy ingerujemy w przewód pokarmowy, ta flora się nieodwołalnie zmienia. Komórki bakteryjne, tak jak inne nasze komórki, wydzielają hormony i, tak jak mówiliśmy, wszystkie komórki ze wszystkimi rozmawiają. Zmiana flory jelitowej zmienia charakter.

Nerki są najlepiej schowanym narządem, lepiej niż mózg, są chronione w otulinie tłuszczowej.

A tymczasem budzimy się w roku 2050 i co się zmieniło w nefrologii?

– Ja bym marzył, aby nie było ani transplantacji narządów, ani przewlekłej choroby nerek. Ludzie żyją przeciętnie 100-110 lat, i to w niezłej formie, porównywalnej z obecnymi 60-latkami.

Dzięki czemu miałyby się to zmienić?

– Dzięki dobremu stylowi życia, tylko i wyłącznie.

Chodzi o dietę, ruch, brak stresów?

– Nie brak stresów, ale radzenie sobie z emocjami, ze sobą, ze swoim życiem, akceptacja swoich słabości. Niezgoda na nie powoduje frustrację, a frustracja to stres, który wywołuje

choroby. Jeśli nie jesteśmy pogodni i dobrzy dla innych, to umieramy przedwcześnie. Poza tym ważna jest zdrowa dieta – unikanie słodczy, nasz organizm nie jest przystosowany do pochłaniania takich ilości cukru, jakie zjadamy obecnie, on w przyrodzie nie występuje.

W jakim kierunku jednak pójdzie medycyna?

– Mam na ten temat pewne przemyślenia, ale na razie ich nie zdradzę. Wiem jedno, że medycyna da człowiekowi tyle, ile zainwestuje w nią społeczeństwo. Zaczęliśmy od sztucznej inteligencji i technologizacji życia. Z tym będzie związany rozwój medycyny. Ale ile zechcemy na to wydać, zależy już od nas. Sam pamiętam czasy, gdy

nie było USG, tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego.

I to były lepsze czasy?

– Nie, to były inne czasy, czegoś innego wtedy się od lekarza wymagało. Musieliśmy pacjenta zbadać, wysłuchać itp. A teraz młodzi ludzie uważają, że lepiej to robi USG, które można podłączyć do smartfona. Niektórzy znajomi profesorowie z krajów zachodnich mówią, że w ogóle nie badają pacjentów.

To jest dobre?

– Proszę mnie o to nie pytać. Teraz są po prostu inne czasy i trzeba się z tym pogodzić.

Barbara Jagas

Trener może wszystko

Przemoc
w brytyjskiej
gimnastyce
sportowej

Julia Galusiakowska

Wchodzi na podium z włosami upiętymi w ciasny kok. Ze śladami magnezji na tydkach. Z wyprostowanymi plecami i głową podniesioną do góry. Zabandażowanymi rękami macha do publiczności. Niewinna twarz uśmiecha się, gdy przyjmuje medale i trofea: za dynamikę skoku, grację, idealne lądowania. Nieoficjalnie: za siłę charakteru i wytrzymałość wobec przemocy doświadczanej z rąk trenerów przez kilkanaście lat treningów. Dziś Nathalie Moutia, reprezentantka Wielkiej Brytanii w gimnastyce sportowej na przełomie lat 80. i 90. XX w., wspomina głodówki – pół kromki ciemnego chleba i czarną herbatę, które dostawała na cały dzień treningów. Mówi o tabletkach antykoncepcyjnych, które przyjmowała po tym, jak w okresie dojrzewania powiedziano jej: „Rosną ci piersi, to zły znak”. Opowiada o braku reakcji ze strony rodziców i innych trenerów. I podkreśla, że od czasu jej zwycięstw nic w metodach treningowych brytyjskiej gimnastyki się nie zmieniło.

Ten sam wydzwisk mają wspomnienia sióstr Downie, faworytek do medalu w Tokio. Na łamach brytyjskiej prasy zawodniczki podzieliły się przeżyciami z treningów. Becky Downie wróciła pamięcią do roku



Becky Downie spadła z równoważni podczas igrzysk Commonwealthu w Melbourne, 18 marca 2006 r.

2018, kiedy próbowała przeciwstawić się temu, co uważała za niebezpieczne podejście do treningu. W zamian została nazwana słabą psychicznie. Trener powiedział, że ból, którego doświadcza, istnieje tylko w jej głowie. Ellie Downie opisała, jak była zmuszona rozebrać się do bielizny, kiedy jej trener zażartował: „Mam nadzieję, że torba ze środkami przeciwbólowymi, którą trzymasz w ręce, jest w rzeczywistości torbą z pigułkami dietetycznymi”. Ellie od 14. roku życia musiała kontrolować dietę: „Dietetyk kazał mi dostarczać dzienniki żywieniowe informujące

Upublicznienie osobistych doświadczeń czołowych zawodniczek ośmieliło resztę środowiska gimnastycznego do zakwestionowania wieloletniej tradycji surowych praktyk trenerskich.

Dwa oblicza trenera

Wejście na salę treningową to przyzwolenie na ból. Decydując się na start w Mistrzostwach Świata w 2015 r., wiedziała o tym Charlie Fellows, która wchodziła na matę gimnastyczną mimo obaw o nadzwyczajne ściągnięcie udów. Była zbyt

Dziewięcioletniej dziewczynce trener kazał ćwiczyć aż do momentu, kiedy jej ręce zaczęły krwawić.

o wszystkim, co włożyłam do ust, i codziennie wysyłać zdjęcia w bieliznie, aby upewnić się, że nie kłamie”.

Wyemitowany pod koniec czerwca film dokumentalny „Athlete A” Bonni Cohen i Jona Shenka poruszył problem opisywany przez najlepsze gimnastyczki, rozpoczynając publiczną dyskusję o niekwestionowanej władzy trenerów dążących do zwycięstwa za wszelką cenę. Dokument wywołał falę oskarżeń o przemoc fizyczną i psychiczną, która na przełomie czerwca i lipca załapała Brytyjską Federację Gimnastyczną.

przestraszona, by powiedzieć o tym swoim trenerom. W gimnastyce kontuzje uważane są za naturalny skutek treningu, z którym zawodnik ma obowiązek zmierzyć się we własnej głowie. Z czasem również ból psychiczny przestaje się traktować jako odstępstwo od normy.

Długo praktykowane nadużycia stają się normą. O regularnie naruszanych granicach fizycznych i psychicznych opowiedziała w brytyjskim „Daily Mail” Lisa Mason, uczestniczka olimpiady w Sydney w 2000 r. Dziewięcioletniej dziewczynce trener

kazał ćwiczyć aż do momentu, kiedy jej ręce zaczęły krwawić. Młody człowiek nie umie rozpoznać, co jest jeszcze normalne, a co już jest złe. Świadomość ta przychodzi z wiekiem, ale wtedy sportowiec ma już psychikę spaczoną toksycznymi relacjami z trenerem. I będzie się to ciągnęło za nim jeszcze długo po zakończeniu kariery. Podatność na nadużycia wyrobiona w dzieciństwie to jedyne, co zna, i tego będzie się trzymał.

Rodzice młodych gimnastyczek nie mają wstępu na salę. Treningi mogą oglądać jedynie inni trenerzy, często stosujący podobne praktyki. Trener może wszystko, tylko trener ma rację, z trenerem się nie dyskutuje – takie słowa wybrzmiewają na hali sportowej. W ten sposób rodzi się niepodważalny autorytet trenera, który bije i krzyczy, ale ma rację. Który przekracza fizyczne i psychiczne granice młodych zawodników, ale robi to „z troski”. Mało mówi się o rzeczywistych w wielu przypadkach pobudkach: żądzy szacunku czy pieniądza, które dają władzę w środowisku gimnastycznym.

O znęcaniu się, które jest budowane na fundamencie trenerskiego autorytetu, Nathalie Moutia opowiedziała brytyjskiej prasie. Kiedy miała dziewięć lat i bała się wykonania nowego skoku, trener krzyknął do niej: „Nigdy więcej nie mów mi »nie«. Jeśli jeszcze raz mi odmówisz, zmuszę cię do zrobienia tysiąca podwójnych skoków. I spójrz na siebie, nie umiesz nawet do tyłu policzyć”. Kiedyś gimnastyczka walczyła z zaburzeniami odżywiania, obecnie ma zdiagnozowany zespół stresu pourazowego.

Wspomnienia Moutii uzupełniła medalistka igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro w 2016 r., Amy Tinkler, która oskarżyła trenera brytyjskiej kadry gimnastycznej Neila Griffithsa o znęcanie się psychiczne i fizyczne. W konsekwencji, jak podaje ITV News, Griffithsowi odebrano członkostwo Brytyjskiej Federacji Gimnastycznej, nie może on już trenować gimnastyczek ani zajmować jakiegokolwiek stanowiska w federacji.

Ja jednak inaczej zapamiętałam trenera Griffithsa podczas głównego treningu kadry brytyjskiej w czasie przygotowań do Mistrzostw Europy 2013 w portugalskim Odivelas. Uśmiechnięty i troskliwy Griffiths

stał w rogu planszy, obserwując swoich zawodników. Podejście do skoku, asekuracja zapewniona. Za długa spódniczka w kostiumie, materiał podcięty. Niepewny element, bezpieczeństwo zagwarantowane. Czy trener roztaczający wokół siebie aurę troskliwości i zaufania może na sali rozgrzewkowej krzyczeć na swoje zawodniczki? Czy trener, który zapewnia bezkontuzyjny trening, może za mocno rozciągać do szpagatów, katować zawodniczki tysięcznymi powtórzeniami? Otóż okazuje się, że trener na sali rozgrzewkowej, za kulami może wszystko. Rodzice nie są wpuszczani na salę nie bez powodu.

Przemoc latami uchodziła trenerom na sucho, ponieważ wszystko działo się w środowisku, w którym znęcanie się nad zawodnikami było pochwalane.

To nie przypadek jednostkowy, ale bolączka całego systemu gimnastyki sportowej. Przemoc latami uchodziła kadrze trenerskiej na sucho, ponieważ wszystko działo się w środowisku, w którym znęcanie się było pochwalane, a przynajmniej akceptowane.

Rygor milczenia

Kiedy w 2012 r. po raz pierwszy pojawiła się krytyka metod trenerskich, Brytyjska Federacja Gimnastyczna milczała. Podobnie sprawę zbagatelizowano, kiedy w 2015 r. do federacji ze skargą zgłosiła się Nathalie Moutia. Niezależne dochodzenie wszczęto dopiero w tym roku, gdy Brytyjska Komisja Lekkoatletyczna (BAC), która reprezentuje krajowych olimpijczyków i paraolimpijczyków, zleciła zbadanie zarzutów.

W lipcu, w odpowiedzi na oskarżenia na łamach prasy brytyjskiej, ukazały się komunikaty skierowane przez federację bezpośrednio do poszkodowanych gimnastyków. Prezes Jane Allen stwierdziła: „Jesteśmy zdeterminowani, by dotrzeć do sedna tych spraw i zmienić gimnastykę na lepsze”. Wobec wielu lat milczenia i lekceważenia problemu trudno mówić o rzeczywistej determinacji. Nagłe działania władz, o których pisze prasa brytyjska, są reakcją na publiczne oskarżenia, a nie na przemoc w sporcie. Proponując wszystkim

pokrzywdzonym upublicznienie swoich obaw, czy to za pośrednictwem mediów, czy Brytyjskiej Federacji Gimnastycznej, Allen demonstruje czysto reaktywne podejście, zamiast sama działać aktywnie.

Opisywane zjawisko nie jest skutkiem działań nadambitnych jednostek, które dopuszczają się nadużyć wobec nieletnich, ale rezultatem stworzenia, a następnie ukrywania systemu, który na te nadużycia pozwolił. Dlatego potrzebna jest zmiana zakresu obowiązków federacji sportowych: organy zarządzające powinny być odgórnie zobowiązane chronić podopiecznych, a nie działać

w interesie promowania zwycięstwa za wszelką cenę.

Istniejąca w gimnastyce kultura strachu, w której zarówno sportowcy, jak i rodzice boją się odwetu, jeśli złożą zeznania przeciwko trenerowi, utrudnia zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne dochodzenia. Sportowców, którym poza atrybutami fizycznymi przypisuje się wytrzymałość psychiczną, od najmłodszych lat uczy się ignorowania bólu poprzez milczenie. Rywalizacja napędza cichą zgodę na przemoc. „Wiele innych osób czeka na twoje miejsce”, mówią trenerzy. Nieustanna presja selekcji narzuca akceptację sposobu postępowania trenerów.

Mistrz gimnastyczny Wielkiej Brytanii Dan Keatings, który właśnie przeszedł na sportową emeryturę, wyznał w prasie, że jako gimnastyk nazywany był ofiarą losu, trenerzy ciągle komentowali jego wagę, nierzadko doświadczając stanów depresyjnych. Do tej pory milczał w obawie przed wydaleniem z kadry narodowej. Obsesja na punkcie zwycięstwa wymagała od niego poddania się rygorowi milczenia, co pozwoliło ukryć nadużycia wszystkich odpowiedzialnych za treningowe praktyki.

Nie jesteście niezastąpieni

Kumulacja systemowych nadużyć trwa od lat 50. XX w., kiedy ▶

► to Rumuni wprowadzili mordercze praktyki treningowe dla najmłodszych zawodników, którzy staż sportowy zaczynali w wieku czterech-pięciu lat. Normą były zaburzenia odżywiania, opóźnianie miesiączek i wpajanie w młodych sportowców przekonania, że aby wykonać najtrudniejsze skoki, trzeba poświęcić treningom każdą wolną chwilę i zdrowie. W takich warunkach wyrosła Nadia Comăneci, która w wieku 14 lat zdobyła trzy złote medale na igrzyskach olimpijskich w 1976 r., zmieniając oblicze gimnastyki.

Brytyjscy trenerzy uznali takie mordercze treningi za warunek sukcesu. W salach treningowych Brytyjskiej Federacji Gimnastycznej częstymi gośćmi byli rosyjscy trenerzy razem ze swoimi gimnastyczkami – wyzywanymi, ważonymi na każdym treningu, policzkowanymi, gdy popełniły błąd. Obserwując przemoc w tak młodym wieku, uświadamiasz sobie, że jedynym wyjściem jest całkowite posłuszeństwo.

Kiedy więc na sali polskiej kadry narodowej pojawił się rosyjski trener, niejeden spodziewał się morderczego treningu. Po trzech godzinach widziałam wykończonych zawodników, którzy wychodzili, wymiotując. Trener kategorycznie zakazał picia w czasie treningu. „Biegnać profesjonalny maraton, nie bierzesz tyka wody, kiedy tylko się zmęczysz”,

upominał nas. Okna musiały być zamknięte – spływający po ciałach pot usuwał z organizmu wodę, rzeźbił sylwetkę. Trenowałam z pękniętą torebką stawową, zakrwawionymi rękami, siniakami na całym ciele. Nie padło ani jedno słowo sprzeciwu, ale też nie było słychać krzyku. „Ja nie krzyczę – powiedział trener. – Kto nie spełni moich oczekiwań, zostanie wyrzucony z treningu. Nie jesteście niezastąpieni”.

Rywalizacja napędza cichą zgodę na przemoc.

Śladami państw bloku wschodniego podążały dotąd Europa, Azja i Ameryka. W połowie lipca szwajcarska federacja gimnastyczna zawiesiła własnego prezesa w ramach niezależnego dochodzenia w sprawie zarzutów o nadużycia. W czerwcu zwolniono dwóch najlepszych trenerów szwajcarskiej kadry. Pod koniec lipca o nadużyciach w gimnastyce publicznie opowiedziały zawodniczki australijskie. Przemoc w gimnastyce stanowi problem globalny, ignorowany przez system od pokoleń.

Skala problemu nie jest znana. Widzimy tylko wierzchołek góry lodowej. Są tysiące zniszczonych psychicznie gimnastek, tysiące okaleczonych fizycznie, z niesprawnym kręgosłupem czy niefunkcjonującymi stawami, tysiące mierzących się ze

skutkami treningów przez całe życie. Wielu gimnastkom nie dowierzają rodzice. Inni milczą. Co więcej, wiele dzieci zostaje skrzywdzonych w czasie postępowania przygotowawczego – w okresie między wszczęciem śledztwa a postawieniem zarzutów.

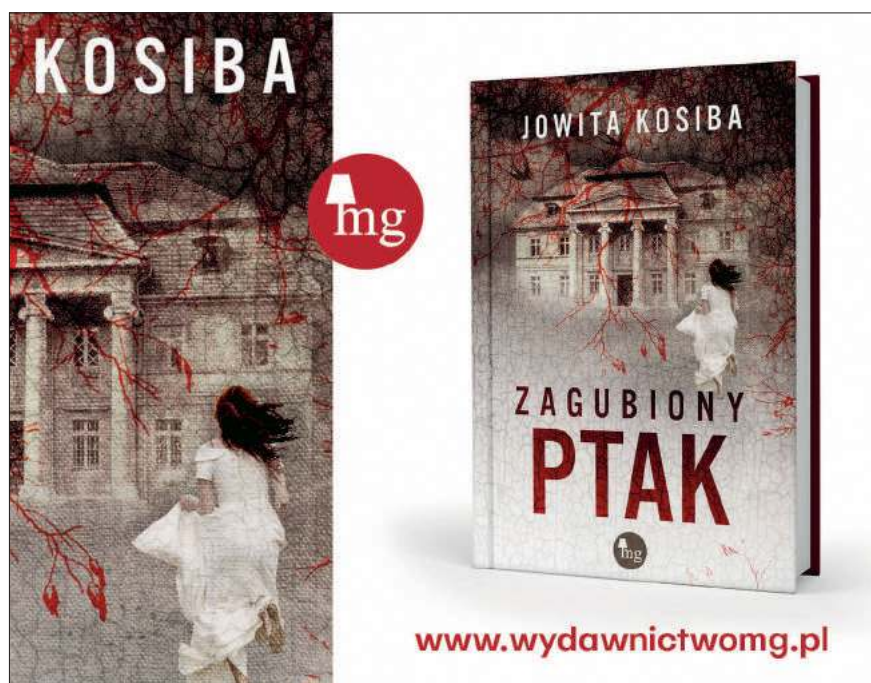
W 2012 r. do Brytyjskiej Federacji Gimnastycznej dotarł anonimowy mejl, który zawierał oskarżenie wysunięte pod adresem jednego z czołowych trenerów. Opisano

w nim, jak podczas treningu jedno z dzieci wymiotowało krwią. Na krótko pozwolono zawodnikowi usiąść na zewnątrz, lecz później zmuszono go do kontynuowania ćwiczeń. Brytyjska Federacja Gimnastyczna wszczęła dochodzenie po otrzymaniu mejla, ale nie zabroniła trenerowi dalszej pracy.

W tym kontekście rodzi się potrzeba zrozumienia psychologicznych skutków przemocy wobec zawodników. Dr Misia Gervis, niegdyś trenerka gimnastyki artystycznej, dziś psycholog sportu, opowiada w wywiadzie dla brytyjskiego „Telegraph”: „Trenerzy najwyższego szczebla powinni być pierwszymi, którzy nauczą się rozwijać pozytywne relacje gimnastyczno-trenerskie i zrozumieć niebezpieczeństwa, które niesie ze sobą przymusowy wysiłek fizyczny”. Wzorce są powtarzalne: dzisiejsze metody niosą ze sobą małe szanse zmiany, póki obecni czołowi trenerzy nie zmienią myślenia i praktyk treningowych.

Zakładając, że z olimpiady w Tokio brytyjscy gimnastycy wrócą z workiem medali, należy zadać sobie pytanie, co jest prawdziwą wygraną. Gimnastycy często dążą do realizacji motta olimpijskiego o byciu szybszym, lepszym i silniejszym. Obecnie potrzeba takiego samego zaangażowania na rzecz bezpieczeństwa, zdrowia i ochrony środowiska gimnastycznego.

Julia Galusiakowska była mistrzynią i wicemistrzynią Polski juniorów i seniorów w gimnastyce akrobatycznej w latach 2014-2017. Podczas 12-letniego stażu sportowego (2006-2018) trzykrotnie reprezentowała kraj w mistrzostwach Europy, wielokrotnie w Pucharach Świata i turniejach międzynarodowych. Ukończyła kurs sędziego i trenera klasy mistrzowskiej.



Centrum Zdrowia Psychicznego w Gorzowie

KRYZYS MA NIEJEDNO IMIĘ

Polacy są smutni. Stresująca praca lub niepewność, czy jej się nie straci, separacja albo rozwód, choroba czy śmierć bliskiej osoby, kłopoty finansowe. Kryzys ma niejedno imię i może być przyczyną zafamania emocjonalnego każdego z nas. A jednocześnie niechętnie szukamy pomocy. Obawiamy się „łatki” świra, „psychicznego”, wariata. Tym bardziej teraz – w dobie koronawirusa.

Centra Zdrowia Psychicznego – takie jak w Wielospecjalistycznym Szpitalu Wojewódzkim w Gorzowie Wielkopolskim – mają zdjąć krzywdzące odium z osób z zaburzeniami psychicznymi i pomóc im. Pacjenci przychodzą tu rano, a po południu wracają do swoich domów. Osoba w kryzysie nie traci kontaktu ze swoim otoczeniem, a wręcz przeciwnie – ma wsparcie w bliskich. To model praktykowany od lat na Zachodzie.

– Przede wszystkim pacjenci i ich rodziny mają łatwiejszy dostęp do opieki specjalistycznej, a my jesteśmy zorientowani na ich powrót do aktywności zawodowej i podjęcia przez nich dotychczasowych ról społecznych – mówi **Sławomir Stefanowicz, lekarz naczelny ds. psychiatrii** w szpitalu. – Istotna jest też zmiana postaw społecznych, która przynajmniej w najbliższym otoczeniu chorego likwiduje piętno choroby. Istnieje również szansa, aby przy tej okazji zmienić język debaty publicznej o kryzysach psychicznych.

Pilotażowy program Ministerstwa Zdrowia realizowany jest drugi rok. To istotny krok w zmianie podejścia do problemów i kryzysów psychicznych. Wedle raportu rzecznika praw obywatelskich „Ochrona zdrowia psychicznego w Polsce” 8 mln obywateli naszego kraju cierpi na różnego rodzaju problemy i zaburzenia psychiczne.

– Aktualnie z powodu ograniczeń wynikających z pandemii i konieczności przeliczania liczby pacjentów mogących przebywać na określonej powierzchni, stacjonarnie w terapii uczestniczy 10 pacjentów – mówi **Olga Pazdan, kierownik CZP**. – Lista osób oczekujących na przyjęcie do oddziału jest jednak długa.

W oddziale dziennym pacjenci pracują w grupach i indywidualnie pod opieką lekarzy psychiatrów i terapeutów oraz psychologów. Oddział jest „otwarty” na miasto. Przykładowo przed pandemią pracownicy teatru prowadzili warsztaty teatralne, były wspólne wyjścia do kina, teatru, spacerów. Po ataku koronawirusa odbywały się tylko porady telefoniczne i dodatkowo działał telefon wsparcia dla pracowników szpitala narażonych na

ryzyko zakażenia SARS-CoV-2. Obecnie część pacjentów powróciła już do zajęć stacjonarnych.

Plany rozwoju gorzowskiego Centrum Zdrowia Psychicznego obejmują utworzenie klubu pacjenta, w którym osoba chorująca miałaby szansę rozwijać swoje umiejętności, np. na kursach nauki języka obcego, obsługi komputera, zajęciach z rysunku. W ramach klubu byłby umożliwiony kontakt z psychologiem oraz udział w zajęciach zmierzających do aktywizacji zawodowej. Marzeniem zespołu medycznego jest, by na terenie CZP pacjenci mogli korzystać z porad prawnika, pracownika socjalnego czy urzędu pracy.

– Proces rozwoju centrum powinien być dostosowany do potrzeb lokalnej społeczności – dodaje **Olga Pazdan**.

Zarówno szefowa centrum, jak i lekarz naczelny ds. psychiatrii podkreślają, że należy rozpocząć programy profilaktyki w zakresie chorób psychicznych, w tym tworzenie treningów umiejętności rodzicielskich czy kompetencji wychowawczych w szkołach, a także nauki radzenia sobie ze stresem dla uczniów i studentów.

Pobyt na oddziale jest bezpłatny, a leczenie finansowane jest przez NFZ. Pacjenci na czas leczenia dostają zwolnienie lekarskie, co jest ważne dla osób pracujących. Pobyt trwa z reguły 60 dni roboczych, czyli trzy miesiące, po których większość pacjentów wraca do swojego środowiska, do swoich zajęć, aktywności.

Pozostaje pytanie, co można zrobić dla wszystkich, którzy jeszcze nie mają wyraźnych problemów, a jednak odczuwają obniżenie nastroju i spadek aktywności życiowej, drażliwość i przewlekły lęk... Specjaliści twierdzą, że trzeba rozmawiać o swoich uczuciach i odczuciach. Z bliskimi, przyjaciółmi, rodziną i lekarzami.

– Ta bezradność dotyczy często ludzi młodych, w tym studentów i osób bezrobotnych – mówi **prof. dr hab. Zbigniew Izdebski**, współpracujący z gorzowskim szpitalem. – Koronawirus także ukazał trudności w relacjach, w związkach. Wartością Centrów Zdrowia Psychicznego, takich jak w Gorzowie Wielkopolskim, jest szybki dostęp do uzyskania pomocy i leczenia. Centra te są dobrym przykładem humanizacji procesu leczenia. Psychiatria środowiskowa daje szansę pomocy pacjentom na różnych etapach leczenia, nie pozbawiając ich kontaktów społecznych, a jednocześnie dla rodziny pełni funkcję socjalizacyjną, także w lepszym zrozumieniu istoty problemów zdrowotnych pacjenta i potrzeby współpracy z nim.

PROMOCJA





Zamknięte zostało również *tablaos* Corral de la Morería.

Ostatnie flamenco w Madrycie

Z powodu epidemii cichnie stukanie obcasów i dźwięk gitar w hiszpańskich *tablaos*

Tomasz Skowronek

Klub Casa Patas znajduje się w madryckiej Lavapiés, tętniącej życiem wielokulturowej i artystycznej dzielnicy, pełnej muzeów i tawern. Jeszcze pół roku temu gromadziły się tam tłumy widzów, a z samego klubu (*tablaos*) wydobywały się ekspresyjne dźwięki flamenco. Widzowie, głównie zagraniczni turyści, przez dziesięciolecia cieszyli się oglądaniem ponad 300 pokazów rocznie, a *tablaos* Casa Patas dbał o doskonałą jakość swojego programu, co czyniło go obowiązkowym punktem dla wszystkich, którzy chcieli zobaczyć flamenco w najczystszej postaci.

W *tablaos* artyści flamenco ożywają

Grywały tu największe sławy hiszpańskiego folkloru, o czym przypominają zdjęcia na ścianach, przedstawiające wielkich artystów flamenco, którzy tam występowali – piosenkarza Diega el Cigalę, tancerkę Sarę Baras, cygańskiego gitarzystę

Tomatita, a także stałych gości, takich jak zmarły kilka lat temu wirtuoz gitary Paco de Lucía.

Teraz miejsce jest ciche i opustoszałe. Po 32 latach kurtyna w Casa Patas opadła, skończyły się tętniące życiem pokazy. Epidemia zadała dramatyczny cios hiszpańskim *tablaos*. „Podstawowym powodem, dla którego zamykamy nasz klub, jest utrata większości klientów, a co za tym idzie – naszych regularnych obrotów, które spadły o 90%. Szczególnie dotkliwy okazał się brak zagranicznych turystów – mówi dla „El Universal” Martín Guerrero, właściciel Casa Patas i dyrektor generalny firmy. – Mam wiele powodów, by żałować zamknięcia, jest to przedsiębiorstwo rodzinne, które założył mój ojciec. Reakcja ludzi była niezwykła, dostawałem mnóstwo telefonów i mejli ze wsparciem. Wszyscy wyrażali żal z powodu utraty przestrzeni, która miała określoną wartość, była rozpoznawalna i pełniła ważną rolę dla popularyzowania flamenco w Madrycie”.

Flamenco narodziło się przed wiekami wśród biednych Romów w Andaluzji. To coś więcej niż zwykły

taniec: to dźwięk gitar, śpiew i ubiór razem wzięte, mieszanka wpływów różnych kultur, m.in. arabskiej, perskiej, żydowskiej czy hinduskiej. W 2010 r. zostało wpisane na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO. I choć słusznie kojarzy się z południem Hiszpanii, to jednak za światową stolicę flamenco uchodzą nie Sewilla czy Malaga, lecz Madryt. W stołecznym mieście znajdują się najlepsze *tablaos*, czyli bary powstałe w latach 60. XX w., w których odbywają się pokazy flamenco, przyciągające rocznie prawie milion turystów, głównie obcokrajowców.

„W *tablaos* artyści flamenco ożywają. Bez tych miejsc, bez dużych sal czy pomieszczeń, w których organizuje się festiwale, ta sztuka nie mogłaby się rozwijać i powstawać – mówi ekonomista Federico Escudero, właściciel Torres Bermejas, jednej ze słynnych madryckich *tablaos* oraz prezes Narodowego Stowarzyszenia Hiszpańskich *Tablaos* Flamenco. – W tej chwili setki małych sal tanecznych i barów flamenco w kraju pozostają zamknięte. *Tablaos* nigdy nie doświadczyły tak poważ-

nego kryzysu, zawsze radziły sobie bez dotacji”.

W całej Hiszpanii działa około 100 *tablaos*. W Madrycie było 21, obecnie jest 19, po tym gdy Casa Patas oraz nie mniej słynny Café de Chinitas zbankrutowały. Bary flamenco walczą o przetrwanie, a z powodu epidemii koronawirusa coraz więcej małych *tablaos* zamyka się lub stoi na skraju bankructwa. „Zamknięcie Casa Patas jest ostrzeżeniem przed tym, co może nas czekać i ostrym wezwaniem do przebudzenia tego sektora”, mówi Martín Guerrero.

„Aż 95% profesjonalnych artystów czerpie większość swojego dochodu z występów w *tablaos*. Jeśli się zamknijemy, flamenco na żywo się skończy”, twierdzi Juan Manuel del Rey, dyrektor Corral de la Morería.

Flamenco przed szachem

Problemem *tablaos* jest właśnie to, że niemal wszyscy ich klienci to zagraniczni turyści. „Moje *tablaos* jest dość duże, myślę, że jego prowadzenie mogłoby się opłacać nawet przy połowie klientów, ale problem polega na tym, że musieliby to nadal być turyści. A czy będą i kiedy to nastąpi?” – pyta Ivana Portoles, właścicielka madryckiego klubu. – Rząd próbuje promować krajową turystykę, ale daje to mizerne efekty. Już dawno powinniśmy zacząć promować markę *tablaos* i w te miejsca, które na to zasługują, powinniśmy spróbować sprowadzić Hiszpanów z powrotem, zachęcić, aby spędzali czas w naszych lokalach, by wrócić do hobby, które z różnych powodów utraciliśmy”.

Sytuacja jest paradoksalna: flamenco to obok brutalnej i kontrowersyjnej corridy jeden z najśłynniejszych kulturowych symboli Hiszpanii, a tymczasem Hiszpanie odwracają się plecami do tej sztuki. Owszem, na ulicach, na dużych festiwalach flamenco jest podziwiane, ale do *tablaos* chodzą praktycznie wyłącznie obcokrajowcy.

„Nie rozumiem, dlaczego Hiszpanie tak rzadko chodzą do *tablaos*. Wszystko jest prawdziwe. Taniec wpływa z naszego wnętrza”, mówi tancerka Cristina Hoyos, która pierwszy raz była w *tablaos* w Sewilli, gdy miała 12 lat, a zanim skończyła 18 lat, zaczęła profesjonalnie zajmować się sztuką flamenco, także za granicą. – Tańczyłam nawet w Iranie przed szachem”.

W wyniku globalizacji flamenco stało się ciekawym folklorystycznym elementem wizerunku Hiszpanii. Dzięki licznym festiwalom, przyciągającym najwybitniejszych artystów, oraz specjalistycznym szkołom, w których wykonawcy z oddaniem wtajemniczają innych w niełatwe meandry tej sztuki, flamenco żyje i nieustannie się rozwija.

„Duże nadzieje wiąże z edukacją. W wielu szkołach odbywają się zajęcia flamenco, a akademii tego tańca jest więcej uczestników niż kiedykolwiek. Hiszpanie preferują oglądanie flamenco w dużych teatrach, ale kiedy to pokolenie dorośnie, pójdzie do *tablaos*. Nie znam nikogo, kto towarzyszył obcokrajowcowi i nudził się na *tablaos*”, ocenia Escudero. Jednak, żeby do tego doszło, *tablaos* muszą przetrwać pandemię i brak turystów.

„Wszystkich moich znajomych artystów dotknęło bezrobocie. To jest druzgocące. Bez turystów wszystko

Bary flamenco walczą o przetrwanie, wiele z nich zamyka się lub stoi na skraju bankructwa.

jest stracone”, mówi tancerz flamenco z Barcelony El Yiyo, a tak naprawdę Miguel Fernández Ribas, który od siedmiu lat pracuje w różnych zakątkach świata.

Jeszcze stuknę obcasami przed pełną widownią

Kryzys i zamknięcie klubów flamenco obrazuje to, jak dla hiszpańskiej gospodarki i funkcjonowania wielu biznesów ważna jest turystyka. Znajduje się w niej jedno na osiem miejsc pracy i generuje ponad 12% PKB w drugim najczęściej odwiedzanym kraju na świecie. Ale od kwietnia Hiszpania przyjęła jedynie garstkę zagranicznych turystów.

Jak alarmuje „El País”, w Madrycie obroty części restauracji, sklepików z pamiątkami czy innych miejsc, które zarabiały dzięki turystyce, spadły o 65%. Plaża Mayor jest opuszczona, a dziesiątki biznesów zaczynają zamykać się w obliczu kryzysu.

Przewodniczka turystyczna Lara Rueda mówi, że przed pandemią jej grupy liczyły 25 lub 30 osób. „Teraz nie więcej niż 10. Ostatni raz widziałam zagranicznego turystę w marcu. Zniknęli uliczni artyści i zniknęło uliczne flamenco”. Większość jej klientów to Hiszpanie,

głównie z Madrytu, którzy są ciekawi historii swojego miasta. „Jedyną pozytywną rzeczą jest to, że nigdy nie widziałam takiego Madrytu jak teraz. Niezadeptanego przez turystów”.

Turysta w Madrycie wydawał dziennie 270 euro, podczas gdy w Hiszpanii średnio 173 euro. Turystyka przyczyniła się do wzrostu dochodów stolicy Hiszpanii w 2019 r. W tym roku pracownicy sektora turystycznego są nastawieni bardzo pesymistycznie. „Centrum opiera się na turystyce. Obecnie jej nie ma”, mówi dyrektor generalny stowarzyszenia madryckich hotelarzy, Juan José Bardonny Arranz. Brak gości w hotelach to również brak widzów w *tablaos*.

Rzesze artystów apelują do Hiszpanów i do władz, aby wsparli lokalne *tablaos* i nie pozwolili im zniknąć. Przypominają, że ratując te miejsca, mogą przyczynić się do powrotu turystyki w przyszłości. Escudero

dodał: „Jeśli nas nie poprą, *tablaos* znikną. Wygląda na to, że zapomnieli, co oznacza flamenco dla Hiszpanii. To nie jest tylko forma sztuki, ale część naszej tożsamości narodowej”.

„*Tablaos* to święte miejsca, które pomagają flamenco pozostać przy życiu. Wspieram wszystkich artystów i ludzi, którzy chcą, aby flamenco nadal żyło”, napisała na Facebooku Rosalia, międzynarodowa artystka, która łączy flamenco z reggae.

Lokalne władze są świadome, jak istotne dla kultury i turystyki są *tablaos*. Wspólnota Madrytu zobowiązała się przekazać 4 mln euro na wsparcie hoteli oraz *tablaos*, aby te przetrwały brak turystów. Pytanie tylko, na jak długo takie wsparcie podtrzyma istnienie klubów.

Choć epidemia w Hiszpanii nie zwalnia, a wręcz przeciwnie, podobnie jak w całej Europie znów przyspiesza, to Martín Guerrero i artyści mają nadzieję, że kiedyś Casa Patas ponownie zostanie otwarte. „Jest tu naprawdę szczególna energia, składająca się z lat historii, życia, śpiewu i tańca, radości, łez i emocji – powiedziała tancerka Mariana Collado. – Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś w blasku światła scenicznych obróć się i stuknę obcasami przed pełną widownią”.



1

WODA – TOWARZYSZ CZŁOWIEKA

Konkurs fotograficzny HIPA



4



5

Woda od zawsze towarzyszy ludzkości. Zawierają ją nasze ciała, jest nam niezbędna w codziennym życiu. I właśnie ona stała się tematem tegorocznego konkursu fotograficznego HIPA. Hamdan International Photography Award to międzynarodowy konkurs zainicjowany w 2011 r. przez szejka Hamdana bin Mohammeda bin Rashida al-Maktouma. Ma promować artystyczną wizję Dubaju i upowszechniać sztukę fotograficzną wśród mieszkańców Emiratów.

1. Yousef Shakar al-Zaabi, V miejsce w kategorii woda
2. Zhoufan Cui, II miejsce w kategorii portfolio
3. Sourav Das, IV miejsce w kategorii woda
4. Rashed al-Sumaiti, III miejsce w kategorii ogólnej kolor
5. Budi Gunawan, II miejsce w kategorii fotografii komórkowej
6. Jasmine Carey, nagroda główna

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Zakochani w smartfonie

Portale społecznościowe a lęk przed bliskością

Andrzej Gryżewski,
Sylvia Sitkowska

Sylvia: (...) Jakże często można zobaczyć osoby siedzące razem w restauracji czy kawiarni – każda wpatrzona w ekran swojego telefonu, kompletnie niezwracająca uwagi na towarzysza. (...)

Andrzej: Nie dotyczy to tylko par. (...) Przypomniała mi się reklama. Jesień nad morzem, budka z goframi, przy stoliku siedzi facet, wokół pusto, zimno i wieje. On wyjmując telefon i dzwoni do kogoś: „Siema, stary, co robisz? Wpadaj tutaj nad morze. Taka imprezka, że 1000... Jest super, bawimy się. Jak jest? Rewelacyjnie, jakbyś jeszcze wpadł, wziął jakieś dziewczyny, to w ogóle byłoby ekstra!”.

S: No właśnie, lubimy sobie podkolorować rzeczywistość. A portale społecznościowe są do tego idealne. I korzysta z nich coraz więcej osób. Dane z 2018 r. wykazują, że w ciągu roku pojawiło się w tych portalach 360 mln nowych osób. 11 użytkowników na sekundę! Czyli średnio milion nowych osób każdego dnia. (...) Z portali społecznościowych korzysta aktualnie 3,5 mld użytkowników. (...) Tylko w Europie korzystają z nich 462 mln ludzi. Największą grupą użytkowników są mężczyźni w wieku 25-34 lat, jest to 19%. Najmniej osób, które korzystają ze smartfonów, jest w grupie powyżej 65. roku życia. Średni czas korzystania z portali społecznościowych w ciągu doby to 2 godziny i 16 minut. I jest to jedna trzecia całkowitego czasu poświęcanego na aktywności w sieci. A w sieci spędzamy średnio 6 godzin dziennie (Statista.com). (...) Te media są obecne w naszym życiu właściwie non stop. I teraz pytanie: jak mogą

blokować naszą bliskość w relacjach z innymi? Bo to, że blokują, nie ulega wątpliwości.

A: By pokazać skalę problemu w praktyce... Kiedy kilkanaście lat temu zaczynałem pracę w obszarze seksualności człowieka, problemy przychodzących do mnie na terapię par były trochę inne. Dominowały tematy związane z pożyciem intymnym, pożądaniem lub jego brakiem albo pracobolizmem. Teraz co najmniej jedna trzecia pacjentów opowiada o tym, że nie ma kontaktu z partnerem, bo ten cały czas siedzi z telefonem w ręku. (...) I tak subtelnie wkrada się rozłam, bo ztraca się pomiędzy nimi bliskość.

S: Można powiedzieć, że starając się utrzymać bliskość z ludźmi,

lub do innego pokoju. Teraz wystarczy, że jedna osoba weźmie telefon do ręki. Telefon jest swoistym sygnałem: skończyłem rozmowę. I dodatkowy komunikat: o zobacz, tutaj mam coś ciekawszego niż ty.

A: A druga strona nawet nie wie, z kim partner rozmawia. Telefon staje się potężną tarczą odgradzającą od drugiej osoby. I jednocześnie bronią – bo właśnie tam, w otchłani internetu, osoba siedząca w kuchni lub salonie trzy metry od swojego partnera może poznać kogoś, z kim go zdradzi. Może uprawiać cyberseks albo umówić się na seks w realu.

S: Nie wiesz, z kim i o czym teraz rozmawiam, więc drżj. Jak mi podpadniesz, biorę telefon i mam cały świat w zasięgu ręki.

Lubimy sobie podkolorować rzeczywistość.

A portale społecznościowe są do tego idealne.

którzy są daleko, zaniedbujemy bliskość z tymi, którzy są blisko.

A: Jednocześnie myśląc, że bliska osoba przez to, że jest blisko, właściwie na wyciągnięcie ręki, wytrzymuje tę frustrację. W dodatku uważamy, że sama obecność fizyczna powinna wystarczyć, a myślami można być zupełnie gdzie indziej.

S: Reguła dostępności działa na niekorzyść relacji. Polega ona na tym, że jeśli coś jest na wyciągnięcie ręki, to staje się mniej atrakcyjne. Ludziom wydaje się, że coś jest już zdobyte i że nie trzeba dalej o to walczyć. Natomiast jeśli coś jest odleglejsze, automatycznie staje się ciekawsze. Myślę, że portale społecznościowe są również formą ucieczki od partnera. Kiedyś, gdy partnerzy się kłócili i chcieli się odseparować, z reguły jedno wychodziło z domu

A: A już na pewno swoich byłych partnerów i kochanków. I do każdego mogę się odezwać, wszystkich mam przecież na fejsie. A w ogóle są bowiem miejsca w sieci, gdzie można umówić się na seks jeszcze tego samego dnia. (...)

S: Zakończenie sporu z partnerem przez „zniknięcie w sieci” to potężna broń i zabójca bliskości.

A: W dodatku będący na żądanie w dogodnym momencie. I dający niedostępne kiedyś możliwości. Zobacz, jak kiedyś kobieta pokłóciła się z mężem i przyszedł jej do głowy pomysł, że na złość odnowi kontakt z byłym kochankiem, musiała albo do niego zadzwonić, albo natknąć się na niego niby przypadkiem, np. kręcąc się koło jego miejsca pracy. (...) A teraz może zalaikować jakiś post byłego kochanka. (...) Może coś napisać, niby od niechcenia, i już jest pretekst do dalszej rozmowy albo i czegoś jeszcze. Nawet badania wskazują, że jeśli często lajkujemy czyjeś posty, jest to ryzykowna relacja, grożąca romansem. (...)

S: Te wszystkie wirtualne kontakty, stare i nowe, mogą zakłócać

Andrzej Gryżewski – seksuolog, psycholog, psychoterapeuta poznawczy, certyfikowany edukator seksualny.

Sylvia Sitkowska – psycholożka, psychoterapeutka, nauczycielka akademicka Uniwersytetu SWPS.



związek. Nawiązywanie nowych znajomości jest w tej chwili bardzo łatwe i ogólnodostępne. W chwili kryzysu w relacji, kiedy jest trochę gorzej (a przecież w każdym związku jest raz lepiej, raz gorzej) pokusa poznania kogoś może być ogromna...

A: (...) Pacjentka opowiadała mi, że była ze swoim partnerem w dniu jego urodzin w restauracji na kolacji. Było miło i romantycznie, aż nagle dostała esemesa. Myślała, że od przyjaciółki, spojrzała na ekran, a to była wiadomość od jej dawnego kochanka. W jednej chwili wróciła do niej fala wspomnień, emocji i całkowicie wybiło ją to z randki. (...) Oczywiście jej partner zobaczył, że coś się z nią dzieje

S: Oddaliła się od tego obecnego partnera. Co takiego przeczytała?

A: Pierwsza wiadomość była pozornie niewinna: „Cześć, jest sobota wieczór. Co tam porabiasz?”. Kolejna już nie: „Nie mogę o tobie zapomnieć. Pożądaję cię. Byłaś najlepszą spośród moich kochanek”. W następnej eks poszedł na całość i wyznał, że nie może bez niej żyć, że chce z nią zamieszkać i wziąć ślub. Co prawda musiałby najpierw porzucić dwójkę małych dzieci, rozwieść się z żoną prawniczką, która by go puściła w skarpetkach, ale co tam, ułańska fantazja mężczyznom załącza się w piątek wieczorem. (...)

S: Jak na te esemesy zareagowała twoja pacjentka?

A: Poczuta się zmieszana. Usłyszała to, co chciała usłyszeć kilka lat wcześniej. Rozstała się z nim w nieprzyjemnych okolicznościach, a tu nagle on obiecuje jej wszystko to, na czym jej zależało.

S: Jaki miało to wpływ na bliskość pomiędzy nią a jej obecnym partnerem?

A: Oczywiście klimat randki przysł. Wrócili do domu, on próbował rozmawiać, ale ona milczała. (...) A eks przez następne tygodnie co kilka dni wysyłał wiadomości, rujnując bliskość i zaufanie w jej związku. W końcu napisała mu, że wszystkie te wiadomości wysłał jego żonie. On się wściekł i zaczął grozić jej aktualnemu

Wszystkie wirtualne kontakty, stare i nowe, mogą zakłócać związek.

partnerowi. Wtedy zgłosiła sprawę na policję i eks się wyciszył. To jest magiczna moc organów ścigania. (...) Ten przykład pokazuje, że nieustanny kontakt z całym światem bywa również niebezpieczny. I że to broń obojętna. Wystarczy, że odezwie się ktoś z naszej przeszłości, z kim mamy niezamknięte sprawy, i może nas to rozchwiać wewnętrznie. (...)

S: Pewne rzeczy generujemy sami. Nie mamy wpływu na innych ludzi, ale mamy wpływ na własne zachowanie. Z jednej strony, jeśli ktoś z przeszłości się z nami skontaktuje,

a do tego jest to osoba, która była czy nawet nadal jest dla nas ważna, może nas to poruszyć i jest to całkowicie zrozumiałe. Ale z drugiej strony, przecież zawsze możemy tę wiadomość zignorować. Wiele osób czuje natychmiastową potrzebę odpowiedzi. A przecież nie mamy takiego obowiązku (...).

A: Często klienci mówią, że wracając do domu przepełnieni emocjami z całego dnia. Różnymi – dobrymi, złymi – i chcieliby porozmawiać o tym z partnerem. Zaczynają coś mówić, mijają dwie minuty, a partner nagle odruchowo spogląda na telefon, bo coś piknęło: dostał wiadomość albo powiadomienie z portalu społecznościowego. I osoba, która opowiada o tym, co jest dla niej ważne, co ją poruszyło lub zabolowało – w jednej chwili czuje się odrzucona.

S: Ostatnio sama znalazłam się w podobnej sytuacji. Podczas kolacji przyszło do mnie jakieś powiadomienie, odruchowo złapałam telefon, ale mój partner od razu zwrócił na to uwagę. Powiedział mi o tym i się zreflektowałam. Czasami potrzebny jest głos rozsądku z zewnątrz. (...) Patrzę na współczesne dzieci, które często rozmawiając ze sobą, patrzą w monitor czy ekran telefonu i odnajdują się w tym. Potrzebują kilku bodźców jednocześnie. Odrabiają lekcje i słuchają audiobooka. Mój syn tak robi i naprawdę nie wiem, jak mu się to udaje. (...)

A: Ma plastyczny mózg. Ja tak nie potrafię – nie mogę robić dwóch rzeczy naraz. (...) Rozmawiałem z Anetą Wroną, cenioną specjalistką z zakresu wystąpień publicznych. Ona twierdzi, że obecnie jest nam coraz trudniej żyć, bo dziennie przyswajamy nawet do 32 gigabajtów informacji. (...) Podobno osoby z pokolenia naszych rodziców przyswajały taką ilość informacji przez miesiąc.

S: A ludzie z pokolenia naszych dziadków pewnie przez kilka lat. Nasze mózgi są już przyzwyczajone do tego nieustannego bombardowania informacjami.

A: Niestety, a portale społecznościowe generują coraz większą ich ilość. Ja powyłączałem wszystkie powiadomienia z Facebooka, Instagrama, WhatsAppa. (...) Nie chcę się rozkojarzać. Lubię mieć jakościowy czas dla partnerki i dla dzieci. Mam ▶

► 117 nieprzeczytanych esemesów. A na Instagramie i Facebooku – o wiele więcej wiadomości. I jeszcze więcej mejli, około 3 tys. (...)

S: I da się bez tego żyć. Nie trzeba być cały czas w kontakcie. Ja o 22.00 wyciszam telefon. (...)

A: Ja o 20.00 wyłączam dźwięk, a o 22.00 wyłączam internet. Świat musi poczekać. Włączam go ponownie o 7.55, chwilę przed tym, jak zaczynam pracę w moim gabinecie..

(...) Jeśli chodzi o portale społecznościowe nie korzystam z nich prywatnie – właściwie wyłącznie zawodowo, prowadząc *fanpage* na Instagramie i Facebooku. Ma na to wpływ doświadczenie z poprzedniego związku. I ja, i moja partnerka dużo korzystaliśmy z tych mediów. Ja przeczytywałam Instagram i Facebook, a moja partnerka vlogi i blogi. Wpłynęło to niekorzystnie na nasz związek i skończyło się jego rozpadem. Dla tego teraz bardzo to ograniczyłem.

Jedna trzecia pacjentów nie ma kontaktu z partnerem, bo ten cały czas siedzi z telefonem w ręku.

Można powiedzieć, że odrobiłem lekcję. (...) Internet był swoistą odskocznią – gdy się pokłóciliśmy albo gdy chciałem „pobyć sam”. A czasami po prostu się zapędzałem. (...) Zamiast spędzać wolny czas razem, spędzaliśmy go oddzielnie – w internecie. Żle to wpływało na bliskość między nami. Teraz w domu nie zaglądam do internetu. Kiedy jestem z bliskimi, wyłączam też dzwonek telefonu i tylko raz na kilka godzin sprawdzam, czy ktoś dzwonił. Chcę po prostu dać sobie i bliskim mi osobom poczucie, że jestem z nimi, żeby czuły się ważne, potrzebne i szanowane. (...) Tłumaczę pacjentom: „Późno wrócisz do domu, wiesz, że zostały ci dwie godziny do położenia się spać. Daj czas i uwagę bliskiej osobie, a dopiero potem zrób, to co musisz. Odpowiedz na mejle czy wiadomości”.

S: Musimy zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt. W internecie dostępne są niezliczone ilości bodźców. Żaden człowiek nie jest w stanie z nimi konkurować. To też może być przeszkodą w związku. I w ogóle w relacji, nie tylko z dorosłym partnerem, ale również z dziećmi. Nieestety w stosunku do dzieci łatwiej przychodzą nam takie zachowania.

Często ludzie bawiąc się z dziećmi albo je usypiając, mają telefon nieustannie w ręku.

A: Na konferencjach poświęconych psychologii dziecięcej prelegenci mówią, że dziecko potrzebuje dziennie ok. 20 minut realnego kontaktu z rodzicem. Wiem, szok! Myślałem, że więcej. Chcą takiego prawdziwego kontaktu, w którym nie rozpraszają nas inne bodźce, tylko skupiamy się wyłącznie na dziecku. Przy mniejszych dzieciach jest to łatwiejsze. Mój młodszy syn ma trzy lata i jest uroczym, pogodnym chłopcem. Łatwo mi się na nim w pełni skupić, bo po całym dniu siedzenia w fotelu w gabinecie potrzebuję sporo ruchu. Starszy ma siedem lat, jest angażujący intelektualnie, ma wiele pytań dotyczących funkcjonowania świata i trudniej mi, po całym dniu intelektualnej pracy, objaśniać mu świat. Czasami łatwiej pokazać coś w telefonie lub na tablecie.

S: Mało jest kilkulatków, którzy powiedzą: „Mamo, odłóż telefon i bądź ze mną w pełnym kontakcie”. Dzieci mówią po prostu: „Pobaw się ze mną”, zaczynają płakać lub starają się w inny sposób przyciągnąć uwagę. To komunikat: „Halo, bądź tutaj! Bądź ze mną!”. (...) Mały człowiek po prostu potrzebuje obecności rodzica. Nic więcej. Dla dzieci jesteśmy najważniejszymi osobami na świecie.

A: Dla kilkulatka rodzic jest po prostu bogiem. (...) Ostatnio rozmawiałem z pacjentem, panem po pięćdziesiątce, o jego relacji z synem. Syn ma około trzydziestki, nie wyprowadził się z domu, nie ma dziewczyny, siedzi w swoim pokoju przed komputerem. Pacjent podzielił się refleksją: „Nie mogę się dogadać z synem. Wchodzę do niego, siadam obok, coś do niego mówię, on cały czas w tym komputerze. Ostatnio mnie olśniło, że coś mi to przypomina. Kiedy był mały, on mówił do mnie, a ja go nie słuchałem, będąc wpatrzony w telewizor. I co tu zrobić, panie Andrzeju? Karma wraca”.

S: (...) Jeśli mamy godzinę, zdecydowanie lepiej pół godziny poświęcić w całości dziecku, a drugie pół na przeglądanie internetu. To

będzie bardziej efektywne niż siedzenie przez godzinę w pokoju dziecka i zerkanie co rusz w telefon. Dzieci są bardzo intensywne. Wymagają stu-procentowej uwagi.

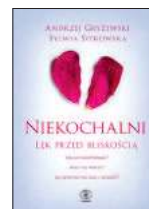
A: A z dzieci, które nie czują bliskości, wyrosną dorośli, którzy również będą mieli z nią problem. (...) Pewna pacjentka powiedziała podczas terapii małżeńskiej: „Wydawało mi się, że jestem złą matką. Zapisalam się do różnych grup dla mam i wymieniamy się doświadczeniami. Dzięki temu jestem lepszą matką”. W czasie dalszej rozmowy okazało się, że spędza kilka godzin dziennie na rozmowach z innymi mamami. Trochę wymieniają się doświadczeniami, ale głównie wylewają swoje frustracje i wzajemnie się krytykują.

S: Zamiast się zajmować dziećmi, o nich rozmawiają. A przecież wielu problemów by nie było, gdyby dzieci czuły obecność rodzica. Jego troskę i uwagę.

A: Bo o uwagę tu głównie chodzi. Inna pacjentka opowiedziała mi, jak tę uwagę musiała sobie wywalczyć. Jej mąż jest uzależniony od telefonu. Musi być w nieustannym kontakcie z całym światem. Kilka lat temu pojechali na wakacje. On ciągle wgapiiony w telefon. Przez pięć dni zwracała mu uwagę, prosiła: „Chcę z tobą porozmawiać, odłóż telefon”. Wreszcie nie wytrzymała i nauczyła jego telefon pływać, wrzucając mu ten telefon do basenu. On go wyjął, wysuszył kartę, ale telefon przestał działać, więc zapytał: „A mogę skorzystać z twojego telefonu?”. Na co ona: „Dziękuję, że pytasz. Tak, ale tylko 10 minut dziennie”. (...) No i dała mu każdego dnia telefon na te 10 minut. I tak go uleczyła. (...) Teraz, jak gdzieś wyjeżdżają, on wkłada telefon do pokojowego sejfku, żeby nic się smartfonowi nie stało.

S: Czyli co, apel na koniec? Odstawmy portale społecznościowe, stawiajmy na realną bliskość! Dla dobra nas samych i naszych bliskich. I przyszłości naszych dzieci.

Fragmenty książki
Andrzeja Gryzewskiego
i Sylwii Sitkowskiej
Niekochnali
Lęk przed bliskością
Rebis, Poznań 2020



Duda i świat

Przeważnie jest tak, że druga kadencja prezydenta, jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe, jest łatwiejsza. Sprzyjają temu elementy oczywiste – wszyscy już go znają, nie trzeba więc przełamywać lodów, a i on zna swoich partnerów i przeciwników, także własne atuty i ograniczenia. Teraz więc nasuwa się pytanie – jak będzie w wypadku drugiej kadencji Andrzeja Dudy? Czy prezydent wyciągnął wnioski z lat poprzednich?

Ha! Trudno się tego spodziewać.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład – sprawy osób LGBT. Otóż w jednym z pierwszych wywiadów po wyborach Duda mówił, że w czasie kampanii wyborczej był sobą i nie udawał kogoś innego, niż jest. To szlachetna deklaracja, ale – jeśli pamięta się, co podczas kampanii wygadywał – bardzo niemądra.

Podczas wyborczych wieców prezydent, nie przebijając w słowach, atakował osoby LGBT. Media światowe o tym pisały. Teraz mieliśmy protesty związane z zatrzymaniem aktywistki Margot i działania policji. O tym także informowały media – telewizje, „Washington Post”, „Le Monde” itd. Polska ma w związku z tym w świecie opinię kraju walczącego z osobami LGBT, więc niezachodniego. A Andrzej Duda ma opinię homofoba.

Efekt jest taki, że czołowi politycy państw europejskich otwarcie mówią, że trzeba połączyć sprawę funduszy unijnych z przestrzeganiem praworządności. I ten nacisk rośnie. Prezydent w takiej sytuacji mógłby zrobić wiele, jego gesty w stronę społeczności LGBT zostałyby docenione. Ale takich gestów nie ma, więc Duda jest w świecie zachodnim traktowany z rezerwą (tak to nazwijmy).

Co niepokoi – prezydent w swoich działaniach sprawia wrażenie, jakby nie dopuszczał do wiadomości, że wybory prezydenckie w USA może wygrać demokrat Joe Biden. A demokraci sprawy osób LGBT traktują bardzo zasadniczo. Zmiana w Białym Domu może więc zupełnie wywrócić stra-

tegię Dudy i PiS. Bo nagle ten główny sojusznik może stać się głównym recenzentem. Co ciekawe i śmieszne zarazem – w obozie PiS dominuje opinia, że jeśli chodzi o wybory prezydenckie, trzeba być absolutnie po stronie Trumpa i nie ma sensu bawić się w jakiejkolwiek niuans. Dlaczego? Bo w wypadku wygranej Bidena tak czy inaczej polska prawica będzie musiała zanotować pogorszenie stosunków z Ameryką. Więc stając murem za Trumpem, dużo więcej w oczach demokratów się nie straci. A zyskać w wypadku wygranej obecnego prezydenta można wiele. Bo Trump wypłaci premię za wierność.

Czy wypłaci? To raczej mało prawdopodobne. Ale nie to jest w tym myśleniu najbardziej upiorne. Bo przecież włosy stają na głowie, gdy sobie uzmysłowimy, że w polskim wydaniu polityka międzynarodowa zaczęła przypominać obstawianie w ruletce.

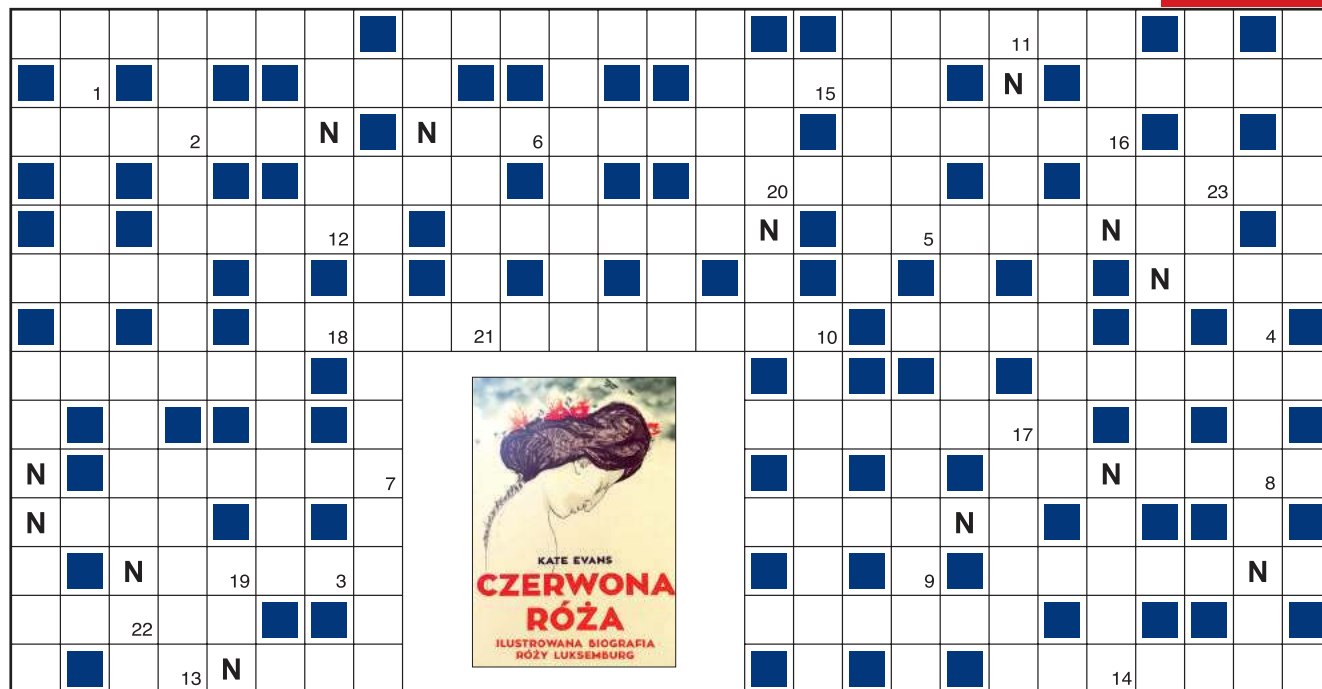
No i jeszcze jedna uwaga. Otóż wyciszono sprawę rozmowy Dudy z rosyjskimi pranksterami udającymi sekretarza generalnego ONZ António Guterresa. Może i dobrze, że wyciszono, ale powinniśmy mieć tę rozmowę w pamięci. Bo sam fakt, że się odbyła, oraz jej przebieg dowiodły niekompetencji urzędników Kancelarii Prezydenta i braku talentu Dudy do spraw międzynarodowych.

Przecież będąc w ONZ, prezydent spotkał się Guterresem parokrotnie – powinien więc poznać od razu, że to nie ten głos, nie ten akcent i nie ten sposób rozmowy. Że rozmawia z młodym człowiekiem, mówiącym z rosyjskim akcentem. A gdyby rozmawiano, tak jak powinno to być zaaranżowane, przez tłumacza, wtedy Rosjanin byłby już po pięciu sekundach na tacy – bo nie zna portugalskiego. Tymczasem Duda rozmawiał z własnej komórki przez 11 minut. Przez ten czas Rosjanie mogli z tą komórką zrobić wszystko, skopiować kontakty itd. Ale to już temat na inny rodzaj dywagacji.

Attaché

Nietypowy złodziej laptopów. W Berlinie dzik porwał torbę ze sprzętem. Zaskoczony właściciel zaczął gonić rabusia.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- brat Mojżesza, pierwszy arcykapłan izraelski
- zakłada suknię cienką dla kochasia, który odszedł w siną dal
- korupcyjna do wytropienia
- jednostka natężenia prądu
- dawać go to odmawiać ręki
- góry z przełomem Mozy

- „Wydra z rybą w pysku” na Wawelu
- siostra Apollina
- wędlin z karkówki wieprzowej
- stolica Tajlandii
- serowa kraina w północnej Francji
- najdłuższą granicę ma z Argentyną
- auto zakonniczy z filmów o żandarmie
- połówka połówki

- miasto lub rzeka na Mazurach
- kabura wiecznego pióra
- tak określano Zeusa i Perkuna
- imię autora „Chłopca z Salskich Stepów”
- gra na San Siro (tak jak Milan)
- waluta Japończyków
- do robienia napoju na mleku lub wodzie
- mebel dla psa pokojowego
- większość życia spędza na eukaliptusie
- powieść poetycka Byrona
- regionalnie nazywana zazulą
- uwodziciel, kobieciarz, donżuan
- wino jak miasto w Andaluzji

- produkuje monety, medale
- zawsze ubrany jak model z żurnala
- ...Kordiana na szczycie Mont Blanc
- duch bojowy, wiara w sukces
- szybkie zbliżenie kamery lub inwazja
- na fładze ma różę kompasową
- poprzeczna to transept
- każdy je nosi
- przydatny podczas grzybobrania
- światło odbite od jakiejś powierzchni
- niezdara, niedolega
- warszawskie osiedle z portem lotniczym
- można przez nie wyglądać
- przed nią 23 litery alfabetu greckiego
- nadużywanie trunków
- przemawia z talentem
- koati to ...rudy

- dbałość wynikająca z głębokiego szacunku
- np. rozwiązywanie krzyżówek po pracy
- Mariański na Pacyfiku
- diaskop
- podawana, gdy ukąsi wąż
- nad nią Oksford i Windsor
- był nim Tomasz z Akwinu
- imię Budzisz-Krzyżanowskiej
- reżyser Gilliam lub pisarz Pratchett
- duża siła i wytrzymałość
- teraz bywają nazywane kontentem
- przeciwieństwo permanentności
- barwny koralowiec jak kielich z wypustkami
- „...od morza” Żeromskiego
- przyrząd do wycinania otworów, przedmiotów z różnych materiałów
- luksus lub nadmiar
- najwyżej położony punkt na niebie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-974”. Do rozlosowania powieści graficzne „Czerwona Róża” ufundowane przez Wydawnictwo Ekonomiczne Heterodox. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 sierpnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-971” z 2 sierpnia: Każdy ma swój świat.

Nagrody otrzymują: Maria Bijak-Kaszuba z Łodzi, Ewa Kardasz ze Szczecina, Bogumił Zalewski z Konstancina-Jeziorny.

PENETRACJE

TYGODNIK
POWSZECHNY

PIOTR PAZIŃSKI,
PISARZ

Bałtyk jest piękny, być może piękniejszy niż wszystkie morza południowe, dla których zachwyty mamy niejako kulturowo wbudowany w głowę. Nad Morzem Śródziemnym właściwie nie da się chodzić, bo skały, laguny – albo ogrodzenia. Do tego cała przyroda jest kolczasta. Wszystkie biedne kraje świata są zanieczyszczone – uprzątnięty jest tylko ten kawałek piasku, na który przyjeżdżają zachodni turyści. Próbowałem zrobić kilka kilometrów plażą na zachodnim Cejlonie, który jest kwintesencją tropikalnego piękna, ale okazało się to niemożliwe. Śmieci i rynsztoki co chwilę zagradzają drogę. Podobnie na Karaibach.

Press

MIŁOSZ BEMBINOW,
KOMPOZYTOR, DYRYGENT,
WICEPREZES ZAIKS

Wciąż głęboko zakorzenione jest, że sztuka w internecie jest za darmo i nie trzeba za nią płacić. Artyści nie zawsze otrzymują wynagrodzenie za swoje dzieło od platform udostępniających ich twórczość i zarabiających miliardy na reklamach wyświetlanych przy okazji wizyty użytkownika na stronie. Parlament Europejski przyjął dyrektywę o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym. Najważniejsze jest, że to platforma udostępniająca treści wrzucone przez użytkowników i jednocześnie zarabiająca na reklamach emitowanych przy okazji odtwarzania tych treści, jest odpowiedzialna za wypłatę artystom i twórcom tantiem

TYGODNIK
ANGORA

JANUSZ PIECHOCIŃSKI,
BYŁY WICEPREMIER,
MINISTER GOSPODARKI

Administracja rządowa od lat cierpi na jakość kadr, co związane jest z naprawdę niskimi zarobkami. Ale jak się wykreowało obraz, że posłowie mają mniej zarabiać, bo tak chce prezes Kaczyński, to trudno się dziwić. Czy fachowiec: lekarz specjalista, adwokat, dobry menedżer, który w prywatnym sektorze zarabia 30-40 tys. zł, zdecyduje się zostać wiceministrem czy dyrektorem departamentu za obecne uposażenie (podsekretarz stanu zarabia na rękę ok. 7 tys. zł)? I żeby na każdym kroku słyszał, że żyje z naszych podatków? A jak jego partia przegra wybory, to będzie miał problemy ze znalezieniem pracy.

TYGODNIK
DOGMATU

DAWID KAŃSKI,
AKTYWISTA LOKATORSKI

W walce z głodem mieszkaniowym nie pomaga utrzymywanie wysokiej liczby pustostanów, a ta w przypadku pustostanów gminnych według danych GUS wynosi 54 tys. Nieznana jest konkretna liczba pustostanów deweloperskich, jednak w latach 2015-2019 deweloperzy oddali do użytku 473 tys. mieszkań, z czego sprzedanych zostało tylko 334 tys., a to oznacza, że liczba deweloperskich pustostanów pochodzących tylko z tego okresu może wynosić nawet 139 tys. mieszkań. Zatem ogólną liczbę pustostanów w Polsce można szacować na co najmniej 192 tys., jednak jak zaznaczają organizacje lokatorskie, liczba pustostanów może być nawet kilkakrotnie wyższa.

Aby język giętki...

MAREK KONDRAT O POLITYCE

Zrobiła się bardziej cwana, erudycja i prawdziwe emocje już nie odgrywają roli, liczą się marketing i wiedza, jak mieszać ludziom w głowy.

DANIEL PASSENT O ZAKOPANEM

Centrum Zakopanego jest dziś wstrętne. Zbudowano setki nowych domów, bez żadnej kontroli, bez planu zagospodarowania przestrzennego, często bez gustu, ale za to na fundamencie korupcyjnym.

**HENRYK MARTENKA
O RYSZARDZIE CZARNECKIM**

Nie ma w Europie tylu prokuratorów, by skontrolowali mu diety i delegacje z poselskich wypraw na najdalsze mosty.

PROF. JERZY BRALCZYK O POLSZCZYŹNIE

Bardzo kocham za wiele jej figli i za jej celownik, który sprawia, że mówimy „jest mi przyjemnie”, a czasami „mnie – i tak bym wołał – jest przyjemnie”.

MAREK PALCZEWSKI O JACKU KURSKIM

Wszyscy już wiedzą, że Kurski jest z zawodu prezesem TVP. I tylko szef Rady Mediów Narodowych Krzysztof Cibański tego nie wiedział.

JANUSZ CHABIOR O ŻONIE AGACIE

Jestem niewierzący, a ona jest praktykującą katoliczką. Zaręczyliśmy się na Sycylii, w Corleone. Były mafia, wino, chleb i oliwa.

**SŁAWOMIR PIETRAS
O GRAŻYNIE POSMYKIEWICZ**

Osoba chorowita na bezrozumne ambicje, której przypięto papierowe, tandetne i łatwopalne skrzydła, na których nigdzie nie polecą.

STANISŁAW TYM O REFORMIE EDUKACJI PiS

Trzeba odważnie dalej iść ze zmianami, posypując wszystko katechizmem i fałszując historię.

**MAŁGORZATA FOREMNIAK
O CHODZENIU BOSO**

Na bosaka nie jestem już aktorką, tylko kobietą idącą przez pole. Wtedy słowo jest wystarczające.

JERZY KRYSZAK O FOTOGRAFWANIU

Koniki polne mają ludzkie charaktery. Są wśród nich flegmatycy, idioci, cholerycy i znerwicowani. Niektóre lubią pozować. Jak to radość!



Bezpieczeństwo przede wszystkim. Mewa w brytyjskim Dover zaopatrzyła się w maskę ochronną.

FOT. PETER NICHOLLS/REUTERS/FORUM

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Miłość jak ogień

Uczucia 26-letniego Brytyjczyka okazały się tak gorące, że doprowadziły do pożaru. Mężczyzna chciał się oświadczyć ukochanej w romantycznych okolicznościach, dlatego udekorował mieszkanie balonami, obsypał płatkami róż, przygotował wino oraz zapalił świeczki, a następnie wyszedł po adresatkę swoich westchnień. Kiedy para dotarła do budynku, zastała kłęby dymu i wozy gaśnicze. Strażacy, którzy opisali całą historię na Facebooku, uspokoili opinię publiczną, że szybko uporali się z płomieniami, nikt nie został ranny, a dziewczyna powiedziała „tak”.

Nie róbcie tego w domu

Pewien Koreańczyk chciał mieć pewność, że posiadane przez niego banknoty są wolne od koronawirusa, w związku z czym... wyprał je w pralce. Pieniądze zebrane przez krewnych i przyjaciół podczas rodzinnego pogrzebu źle zniosły ten zabieg, a nieszczęśnikowi pozostało szukać ratunku w Banku Korei. Instytucja zwróciła mu równowartość ok. 72 tys. zł, co stanowi jedynie część kwoty, która trafiła do bębna. Zasady mówią bowiem, że w przypadku poważnie uszkodzonych banknotów koreański bank centralny wypłaca połowę wartości nominalnej lub wręcz figę z makiem. To dobra okazja, by przypomnieć, że najlepiej prac w temperaturze 30 st., wybierając program delikatne.



Same problemy z tą Konfederacją

Właściciele pensjonatu Nordic Pineapple w St. Johns w stanie Michigan otrzymywali nienawistne mejle i komentarze z powodu wywieszonej przed wejściem flagi Norwegii. Mylono ją bowiem z flagą Skonfederowanych Stanów Ameryki o podobnej kolorystyce. Flaga ta współcześnie bywa uznawana za symbol poparcia dla rasizmu. – Wkurza mnie głupota ludzi. Nawet gdy flaga wisi bezwładnie, w ogóle nie wyglądają podobnie – komentował Greg Offenbecker, który prowadzi hotelik wspólnie z mającą norweskie korzenie żoną Kjersten. Para najpierw zdecydowała się zdjąć z masztu obiekt kontrowersji, ale ostatecznie znalazła salomonowe rozwiązanie: jest nim wywieszenie tradycyjnego trójkątnego proporca w barwach narodowych Norwegii.

Na kłopoty... Korab-Karpowicz

Dr hab. Włodzimierz Julian Korab-Karpowicz, filozof i politolog, w wystąpieniu na YouTube ogłosił się „prezydentem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Królestwa Polskiego”. Następnie wyemitowano orędzie Wojciecha Edwarda Leszczyńskiego, który tytułuje się królem Polski. W maju, w związku z nieodbyciem wyborów prezydenckich, monarcha uznał, że opróżnił się urząd prezydenta i rozpoczął skomplikowaną procedurę, która zakończyła się elekcją Korab-Karpowicza podczas „sejmu” w Oliwie. Naukowiec podkreśla, że nie zamierza korzystać ze swoich uprawnień, gdyż uważa się za „prezydenta *in spe*”, czyli „ocze-

MEMY BEZ ŚCIEMY



Sierakowski: w nocy w Mińsku milicja strzelała do nas amunicją z napisem "made in Poland" TVP dziś wieczorem:



Koń by się uśmiał.
Janów Podlaski
– konie czystej krwi
arabskiej w stajni
przed prezentacją
na aukcji Pride
of Poland.

Łania marząca
o karierze sportowej.
Spacer samicy jelenia
po Zakopanem.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igelska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Piłuka,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest,
Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pyszner

Fotoreporterzy: Leopold Dziukowski,

Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chilecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przekroczenie zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



kującego". – Gdyby pojawił się w Polsce jakiś konflikt, bezurzędzie, moja osoba mogłaby objąć taki urząd – wyjaśnia profesor Uniwersytetu Opolskiego, który w latach 1991-1992 był wiceprezydentem Gdańska.

Miłość wygrała z porno

Ważna zmiana w działaniu najpopularniejszej wyszukiwarki internetowej na świecie: po wpisaniu słowa „lesbian” lub „lesbijka” Google nie prezentuje już stron z pornografią, a merytoryczne informacje na temat ludzkiej seksualności. W odpowiedzi na twitterową kampanię #SEOlesbienne programiści firmy zmodyfikowali algorytmy i odtąd każdy, kto szuka informacji na temat miłości między kobietami, trafia na artykuły edukacyjne i aktualności dotyczące społeczności LGBT+. Takich wiadomości wyczekujemy niczym tęczy po deszczu!

Odlotowe łamigłówek

Czujni funkcjonariusze Zakładu Karnego w Raciborzu postanowili bliżej przyrzeć się magazynowi dla krzyżowców w paczce dla jednego z osadzonych. Krzyżówki trafiły do laboratorium, które potwierdziło, że są nasączone narkotykami. Trwają czynności wyjaśniające, kto naszprycował zeszyt środkami odurzającymi, ale można się domyślać, że ktoś uzależniony od szaradziarstwa.

■ **Pierre Pacht**
profesor fizjologii w Tuluzie,
wypowiedź z 1872 roku:
„Teoria Pasteura na temat bakterii
to zabawne bzdury.”

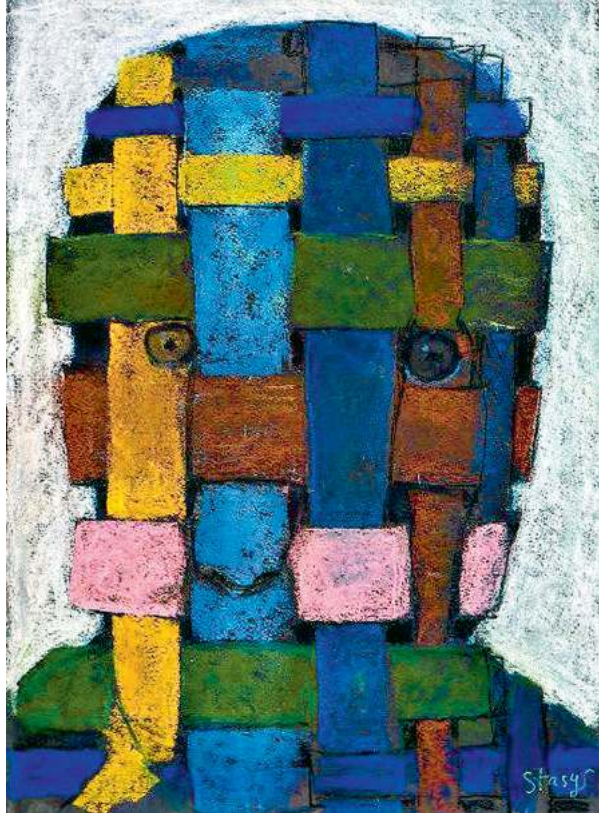
■ **Ferdinand Foch**
marszałek Francji,
Polski i Wielkiej Brytanii,
bohater pierwszej wojny światowej:
„Samoloty to ciekawe zabawki,
ale są bezwartościowe
dla celów wojskowych.”

■ **Albert Michelson**
fizyk, noblista,
wypowiedź z 1903 roku:
„Wszystkie podstawowe prawa fizyki
zostały już odkryte i nie zdarzy się
już nic, co mogłoby
zrewolucjonizować nauki ścisłe”

„Popular Mechanics”
czasopismo naukowe, fragment
artykułu o rozwoju nauki z 1949 roku:
„Komputery przyszłości
mogą ważyć nawet mniej
niż 1,5 tony!”

TYGODNIK

ANGORA | PRZEGŁĄD
PRASY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ
RZECZYWISTOŚĆ POTRAFI ZASKAKIWAĆ



Rozdroża koloru



Cyrk

STASYS EIDRIGEVIČIUS – ROZDROŻA KOLORU

Wystawa pasteli Stasysa Eidrigevičiusa prezentuje najnowsze prace zainspirowane pobytem we Francji pod koniec 2019 r. „(...) Tam po raz pierwszy zobaczyłem duże kredki – wielkością przypominające męski kciuk. Kolory mogłem wybrać sam, więc nie zastanawiając się, z radością zgrupowałem zestaw kolorów, zaczynając od bielei i czerni, odmiany błękitu, zieleni aż do ostrej czerwieni. Sprzedawczynię zapytałem, czym te kredki różnią się od innych firm. Odpowiedziała – kruchością. Ja to wiedziałem, ale było miło, że pani potwierdziła moje przypuszczenia. Był to jedyny mój zakup w Paryżu. Po powrocie wzrokowo

cieszyłem się kredkami, aż jednego razu przygotowałem kartki papieru i zacząłem na nich malować. Dotyk pastelowej kredki do papieru jest niczym dotyk klawiszy palcami pianisty i wydobywanie dźwięku. Te dotyki były niebywalego komfortu. Pastel nawiązał dialog z powierzchnią papieru i nawet nie zauważyłem, że powstaje nowy cykl prac”.

Galeria Sztuki Wirydarz – Piotr Zieliński
Lublin
ul. Grodzka 19
do 7 września

Rozdroże



Miłość





Polska Akcja Humanitarna

62%

osób w Sudanie
Południowym nie
ma dostępu
do czystej wody

POMÓŻ NAM TO ZMIENIĆ

Wpłać:

www.pah.org.pl



KEIR DULLEA JOHN RHYS-DAVIES JAIME RAY NEWMAN JOSEPH RUNNINGFOX

JOSH HARTNETT BERENICE MARLOHE JOHN MALKOVICH

LECH MAJEWSKI

DOLINA BOGÓW

*„Lech Majewski to artysta totalny: reżyser, poeta,
malarz, filozof, rzeźbiarz, kompozytor.*

Ma niesamowite życie wewnętrzne...”

BERENICE MARLOHE (*Dolina Bogów, Skyfall*)

W KINACH OD **21** SIERPNIA

ANGELUS SILESUS • ROYAL ROAD ENTERTAINMENT • "DOLINA BOGÓW" • Casting MARY VERNIEU • VENUS KANANI • Zdjęcia LECH MAJEWSKI • PAWEŁ TYBORA
Muzyka JAN A.P. KACZMAREK • Montaż ELIOT EMS • NORBERT RUDZIK • Scenografia CHRISTOPHER R. DEMURI • LECH MAJEWSKI • Kostiumy EWA KOCHAŃSKA •
EVA MINGE • CAROLYN LEONE • Charakteryzacja DOMINIKA DYLEWSKA • Dźwięk ZBIGNIEW MAŁECKI • LECH MAJEWSKI • Kierownicy produkcji MICHAŁ KOWALIK • ZUZANNA LOPES
Producenci wykonawczy OLGA KAGAN • MAŁGORZATA DOMIN • PETER SAFRAN • NATALIA SAFRAN • Koproducenci JAN HARLAN • LORENZO FERRARI ARDICINI • CARLA ROSEN-VACHER •
ALYSSA SWANZEY • PIOTR GALON • DANIEL MARKOWICZ • MAREK ŻYDOWICZ • ROBERT BANASIAK • JAROSŁAW PERDUTA • DARIUSZ WIEROMIEJCZYK • EWA SĄDKOWSKA •
FILMOTEKA NARODOWA • INSTYTUT AUDIOWIZUALNY • SILESIA FILM • DOLNOŚLĄSKIE CENTRUM FILMOWE • FUNDACJA TUMULT/CAMERIMAGE • LUMICONFX • LIGHTCRAFT •
CENTRUM TECHNOLOGII AUDIOWIZUALNYCH • Film współfinansowany przez POLSKI INSTYTUT FILMOWY • Producenci liniowi DOMINIKA MANDLA • BROOKE REDMON
Producenci LECH MAJEWSKI • FILIP JAN RYMŚA
Scenariusz i reżyseria LECH MAJEWSKI



WP

VIVA!

KINO

Polnet

WYDAWNICTWO

FILMWEB

Classic

kazar

PAKO LORENTE